

<http://rcin.org.pl>

Wp. G. G. G. G. G.

Stan G. G. G. G.

Świat i pustynia



Warszawa—Gebethner i Wolff

<http://rcin.org.pl>

ŚWIAT I PUŚTYNIA.

Stanisław Grudziński

ŚWIAT I PUSTYŃNIA

POWIEŚĆ



INSTYTUT
BADAŃ I PRACEK PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

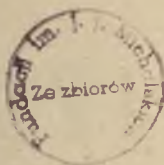
00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA

Gebethner i Wolff

—
1897



Дозволено Цензурою.

Варшава 13 Августа 1896 года.

WARSZAWA.—DRUK ST. NIEMIERY, PLAC WARECKI 4.



I

Cisza była na niebie i na ziemi.

Na niebie słońce zbliżało się ku zachodowi, niby żniwiarz znużony pracą całodzienną, a na jego spotkanie wybiegł tłum rumianych obłoczków, jakby gromadka dzieci, witając ojca. I otoczyły go różnobarwnym wieńcem, i zaczęły płaść w koło, to zasłaniając sobą, to odkrywając znowu twarz jego rozpromienioną, której spojrzenie płynęło w przestrzeń, jasne i wesole. Na ziemi, bujny step otwierał się szeroko, jak dusza ludzka w szczęśliwych chwilach, i oddychać zdawał się błogo, jak ona.

W powietrzu zaś, w tem czystym, balsamicznem powietrzu stepowem, trzepotały skrzydłami skowronki szare, świegocąc jednostajną piosenkę.

Cisza była, a jednak w ciszy tej mogłeś słyszeć majestatyczną harmonią sfer, w której brały udział: wiatr zrywający się chwilami, i bujne trawy

chylące ku zachodowi główki ze szmerem tajemniczym, i dzikie ptastwo, które z krzykiem unosiło się nad stawem. Daleko przez step szła droga do wsi, rozłożonej na stokach szerokiego jaru, środkiem którego wiła się rzeczka beziemienna. Za wsią, na wzgórzu, czerniał las.

Był to więc zakątek Ukrainy, w którym krajobraz jest przeważnie stepowym, ale nie zmienił się jeszcze w tę jednostajność, nie znoszącą przy sobie lasu ani wzgórze, urozmaiconą tylko widokiem karczmy przydrożnej, z dziurawym dachem i okopconym kominem, z którego szara glina odpadła.

Chociaż w jednym końcu horyzontu oko znaleźć mogło oparcie na owym lesie szerokim, w trzech innych kierunkach bujało swobodnie — niczem niepowstrzymane. Nawet wieś, nad jarem siedząca, usunęła się w głąb, tak że zbliżywszy się tuż do kołowrotu, jeszcze jej nie mógł zobaczyć całej i ogarnąć okiem kilkuset chat wieśniaczych.

Po drodze do wsi, wśród bujnych z obu stron łąnów, toczył się wózek zaprzężony w parę siwych koni, lekki, na leżących resorach, nie zbyt elegancki, ale jak na step — nawet wykwintny.

Dwie młode panny siedziały w tym wózku, a jedna z nich, przystojna blondynka o błękitnych oczach, powoziła.

Towarzyszka jej, brunetka białej płci, oczu czarnych, ognistych i ust różowych, stanowiła z nią kontrast tak silny, że niktby nie odgadł, że są to dwie rodzone siostry. Kiedy błękitne oczy rozglądały się w około, jakby szukając przedmiotu, do którego by uśmiechnąć się mogły, — czarne zdawały się raczej patrzeć w głąb duszy, jakby tam, niby w ognisku latarni magicznej, odbijał się obraz otaczającego je świata. Błękitne, nie znajdując punktu oparcia, wyrażały znudzenie i zniechęcenie, — czarne, pod powłoką lekkiej melancholii, błyskały ogniem życia.

— Więc już wracamy do domu — zapytała brunetka.

— Alboż nie dosyć ci jeszcze stepu?

— Słońce tak pięknie zachodzi, że mi żal tego widoku. Wiesz co?... zatrzymaj konie i pójdźmy posiedzieć trochę na kurhanie.

— Jak chcesz.

Konie stanęły i dziewczęta poszły przez wysoką, wyżej pasa sięgającą im trawę, do mogiły stepowej, co się rozsiadła o kilkadziesiąt kroków od drogi. Pierwsza wbiegła na nią brunetka, a gdy stanęła na szczycie, mógłby ktoś powiedzieć, że trudno o piękniejszy pomnik na stepową mogiłę. Dziewczyna zbudowana była kształtnie i silnie, jej postawa miała w sobie coś dumnego i pełnego energii. Podniosła głowę pa-

trząc w zachodzące słońce, oczy jej świeciły ogniem odbieranych wrażeń, pierś podnosiła się szybko. Rzeźbiarz miałby w niej model do posągu pieśni gminnej, w której to zapał, upojenie i rozum łączą się tak harmonijnie. W jednej ręce, opuszczonej bezwładnie, trzymała pęk kwiatów stepowych, drugą gładziła od niechcenia włosy, które z pod lekkiego słomianego kapelusza wiatr rozwiewał.

Blondynka tymczasem wstępowała powoli na mogiłę, podnosząc z uwagą sukienkę, by jej wilgotna trawa nie zazieleniła.

— Wando, patrz, co za śliczny widok.

— A, ładny istotnie, ale taki sam był wczoraj i onegdaj — słońce zawsze jednakowo zachodzi.

— Cóż ty wygadujesz! — trudno o większą różnaitość. Przypatrz się tylko grze kolorów, tym różnobarwnym obłokom, tym kształtom najróżnaitszym a tak fantastycznym! Jakoś dziwnie patrzysz, dla ciebie wszystko jednakowe; a pokażże mi dwa obłoki, dwie chmurki, któreby były zupełnie do siebie podobne?

— Być może — odrzekła Wanda z uśmiechem — jaśię na tem nie znam. Nie jestem poetką jak ty, Heleno. Cóż taka uosobiona proza, jak ja, znaleźć może na stepie, w pustyni!

— Co? swobodę! Patrz jak tu przestronnie, chciałoby się mieć skrzydła, by i ziemia została daleko; — tożby była jazda rozkoszna!

— Wolę na wózku; zgodziłabym się jednak być ptakiem, gdyby mi kto powiedział — w której to stronie świat leży.

— Osobliwe pytanie! — nie masz go w koło siebie?

— Nie!... to pustynia, — świat ztąd daleko... w jednej chwili leciałabym ku niemu. Och! cobym dała za to, by z tej mogiły widać było jakie miasto wielkie — naprzykład Warszawę, z jej pięknymi domami, ulicami, po których snują się tysiące ludzi, z jej gwarem i ruchem.

— I cóż w tem pięknego być może? — zawołała Helena.

-- Pytasz, bo nigdy nie byłaś w wielkiem mieście.

— Prawda, ale łatwo je sobie wyobrazić. W tym gwarze i tłumie musi się tam człowiek gubić, jak kropla w morzu — tu czuję, że jestem, że żyję, i czasem zdaje mi się, iż wszystko na co patrzę, stanęło tu umyślnie dla mnie, i sprawia mi to radość wielką. Do mnie ta pustynia dużo mówi.

— A do mnie, przyznaję, nic a nic. Widzę step, niebo, obłoki, słońce — i nic więcej!

— O ja więcej widzę! Patrz tylko na te dziwaczne, fantastyczne kształty obłoków: ot tam naprzykład, najwyraźniej zamczysko jakieś średniowieczne z basztami, strzelnicami, mostem zwodzonym — widać nawet chorągiew powiewającą z wieży zamkowej. Tam znowu — husarze wyruszają na bój. Patrz tylko, widzisz te wysokie hełmy, te skrzydła w górę wzniesione?.. Ledwo że nie słychać ich szelestu, rżenia koni, i całej wrzawy wojennej... A tu — widzisz te obłoczki, płynące tłumnie po tle lazurowem — jakież to piękne! Tak snuć się musiały lotne czajki zaporozkie, puszczając się na morze... płyną szybko i nikną, nikną — już ich niema. Patrz! widzisz? — zawołała po chwili Helena, porywając rękę siostry, a drugą wskazując zaczerwienione od słońca obłoki — mury miasta stojące w płomieniach: to pożar Carogrodu!

Dźwięczny, przeciągły śmiech Wandy przerwał te marzenia. Siedziała ona u stóp siostry i słuchając jej fantasmagoryi, śmiała się serdecznie.

— Nieporównana jesteś moja Helenko! Ależ to cała poetyczna improwizacya na temat mglisto-obłoczno - niebieski! Cóż ja pocznę, gdy pomimo najszczerzej chęci, nie mogę zdążyć za tobą; gdzie ty widzisz zamki i rycerzy, tam dla mnie widoczne są tylko prozaiczne obłoki, promieniami słońca rozjaśnione.

— Tak, bo nie chcesz widzieć. Trzeba mieć trochę fantazyi i wyobraźni....

— Okazuje się, że mi tych darów natura odmówiła. Ja mam tylko pamięć dobrą; wiesz? czasem tak żywo przypomina mi się Warszawa, jakbym w niej była przed rokiem. A jednak to już ośm lat, jak po śmierci babki do dziadków tu wróciłam. Miałam zaledwo rok dziesiąty wtedy, a dziś jeszcze tak dobrze wszystko pamiętam. Nigdy nie zapomnę, jakem raz pierwszy poszła z babcią do teatru na balet. Ach! żebyś ty raz Helenko była w teatrze, zrozumiałabyś moją tęsknotę do miasta. Co za cudne dekoracye, jakie wspaniałe widoki zamków, gór, lasów dziewiczych....

— Czy wspanialsze od tych moich? — zapytała z uśmiechem Helena, wskazując na zachód.

— Piękniejsze, bo prawdziwe, ładząco prawdziwe! Przysięgłabyś, że to nie malowane!

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że nie mogłabym się tem zachwycać. Tu przynajmniej, jeżeli się ładzę widokiem rzeczy, które nie istnieją, to mam przed sobą żywą panoramę, mam dekoracyę, którą maluje słońce nie człowiek, a moja własna wyobraźnia dopełnia wszystko. Ztąd dla mnie i wieś nasza ma urok....

— Jesteś szczęśliwa... ja bo przywyknąć nie mogę. Pustynia! Jak pomyślę sobie, że od ko-

lei trzeba dzień cały jechać, że poczta o trzy mile a kościół o pięć, — zdaje mi się, że jesteśmy gdzieś na Saharze. Kocham dziadka i babkę, jest mi u nich dobrze, ale jednej chwili uciekłabym ztąd, gdyby mnie kto zabrał.

— Może i przyjdzie do tego, — wszakże wuj Emil oddawna obiecuje przyjechać po nas....

— Obiecuje, ale prędzej by się wybrał do Ameryki, niż do nas w stepy. Człowiek taki światowy — jakby on tu nawet dziwnie wyglądał... Ach świat, wielki świat, Helenko — to marzenie moje!

— Ja do niego nigdy nie zatęsknię; ja mu tego nigdy nie zapomnę, że zatruł najpiękniejsze lata naszego ojca....

— A ja pamiętam, że do tego świata należała matka nasza....

— Zamilkły obie — dalszy spór w tym przedmiocie był niemożliwy. Dla Wandy, starszej siostry, świat wielki miłym się zdawał przez pamięć na matkę, dla Heleny, młodszej, był nienawistnym przez miłość dla ojca. Należało więc wybierać między rodzicami, a oboje już nie żyli, wybór trudny i dla dzieci bolesny, zwłaszcza gdy stawały doń dwa cienia istot drogich.

— Wracajmy do domu — odezwała się po długiej chwili milczenia Wanda.

— Wracajmy — powtórzyła w zadumie Helena.

Wkrótce wózek toczył się w kierunku wsi, a Wanda opowiadała siostrze wesoło o owem przedstawieniu w teatrze, które tak głęboko zapisało się w jej pamięci.

We wsi było gwarno, skrzypiały koła wozów, na których zwożono z pola zboże, nad rzeczką młyn szumiał i huczał, ryczały wracające ze stepu krowy, głosy ludzkie, nawoływania i okrzyki unosiły się nad wioską.

Chaty wieśniacze kryły się w zieloności sadów, drzewa obciążone owocami uginały się pod ich ciężarem, gdzieś tam widziałeś ponakrywane słomą ule, do których pszczoły stepowe znosiły słodycze, a całe gromady wróbli latały z miejsca na miejsce, znajdując wszędzie nieprzebrane bogactwo ziarna.

I ludziom musiało się tu dziać dobrze!... Przy każdej chacie widziałeś stodoły i obórki, wszędzie był ruch i pracowita wrzawa znamionująca dostatek; znikąd nie wyglądała nędza z jej łachmanami, a dwór siadł między chatami jak ojciec, stary, barczysty, z bramą, niby ramiona, narozcież otwartą.

Dwór to był niewielki, z wysokim dachem słomianym, z gankiem o czterech słupkach, z przybudówkami po bokach i niewielkim dziedzińcem, na środku którego wznosił się gołębnik, gniazdo licznych pokoleń białego ptastwa.

Za dworem ciągnął się w górę sad owocowy, niewiele większy od wieśniaczych i łączył się z sędziwym lasem drzew mieszanych. Z drugiej zaś strony, przytykając do chat sąsiednich, stały zabudowania gospodarskie, z kąd teraz na całą wieś płynął gwar różnorodnych głosów.

Po nad tym zapadłym kątkiem świata, nad tą ruchliwą oazą pustyni, rozciągało się niebo czyste, pogodne, jak dusze mieszkańców tej pustelni, a słońce zachodzące rzucało z ukosa złote światło na wybielone ściany chat, na sadki owocowe i warzywne, na głowy starców i niewiast i konopiaste główki dzieci bawiących się w piasku, jakby mówiąc: „błogosławieni cisi i pokornego serca....“

Gdy wózek powracających ze spaceru panienek wtoczył się w podwórze dworu, nadbiegł z kredensu młody i zwinny chłopaczek, by konie odprowadzić do stajni.

— Dziadek już jest, Iwasiu? — zapytała go Wanda, oddając lejce.

— Nie, panienko — pan został w stodole.

— A babcia?

— Pani poszła właśnie do obory — a pan profesor pojechał wierzchem do lasu — niema nikogo w domu.

Dziewczęta wysiadły.

— Przychodziła Oksana — dodał wesoło Iwaś — idzie zamąż w niedzielę.

— Już w niedzielę? Jakaż szkoda, że jej nie widziałam — zawołała Wanda.

— Niech panienska pójdzie do obory — to ona tam jest z panią.

— Słyszysz, Helenko, będziemy mieli weseli-sko! — Chodźmy ją zobaczyć. Obiecałam jej dać wstążek do ubrania.

— Idź, ja tam przyjdę później — odrzekła Helena, wchodząc na ganek.

Wanda, ucieszona projektem nowego widowiska, pobiegła, nucąc coś skoczego, do babki.

Rozmowa w stepie, która w umyśle starszej siostry żadnego nie zostawiła śladu, do głębi przejęła Helenę. Na jej myślącym czole osiadła chmurka jakiegoś smutku; chwilę zatrzymała się na ganku, patrząc jeszcze w zachodzące słońce, poczem weszła do domu.

Starym zwyczajem, z dość obszernej sieni o ceglanej podłodze, szły drzwi na trzy strony, do różnych pokojów. Helena zwróciła się na prawo, drzwi zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach i znalazła się w obszernej izbie gościnnej.

Sprzęty tu były stare, obite splowiałą materią wełnianą, w duże kwiaty. Między oknami stała kanapa ze skrytkami w masywnych poręczach i poduszkami zdobnemi robotą kanwową. Przed nią stół wielki dębowy, dywanem perskim nakryty; po bokach dwa fotele głębokie o wy-

sokich poręczach. Po rogach stały serwantki z porozkładanemi na nich muszlami, symetrycznie ustawionem naczyniem z malowanej porcelany i mnóstwem drobiazgów, które się tu gromadziły przez długie lata. Kilka krzeseł pod ścianami dopełniało skromnego umeblowania.

Nad kanapą, w staroświeckich ramach zczerniałych, wisiały dwa portrety olejne, przedstawiające parę małżonków z ubiegłego wieku, ale tak już przez czas zaciemnione, że ledwo można było dopatrzeć się rysów twarzy. Na ścianie zaś przeciwległej oknom i kanapie, stanowiąc pewien rozdźwięk w staroświeckim charakterze tej izby gościnnej, zwracały uwagę gościa dwa portrety dobrego pędzla i świeżej daty: młodego mężczyzny i pięknej młodej kobiety.

Oto były wszystkie sprzęty w tym pokoju dużym a niskim, z powalą, którą podpierały grube, zczerniałe od starości belki, nigdy nie bielone. W oknach niskich, frankami muslinowemi osłoniionych, rozkładały się gałęzie roślin przeróżnych, którym słońce przez dzień cały dawało światło i ciepło.

Teraz rozpościerał się już w pokoju mrok szarej godziny, tylko dwa owe portrety wprost okien wiszące, dzięki resztkom promieni, płynącym z podwórza i żywym barwom swoim, występowały z szarzejącego tła wyraźniej.

Helena, zdjawszy kapelusz, który zawiesiła na etażerce, usiadła na kanapie, oparła głowę na wysokich poręczach i wpatrzyła się w portret młodego mężczyzny.

To był jej ojciec, ojciec którego zaledwie sobie z lat dziecinnych przypominała, ale który patrzył na nią z portretu, jak żywy. Znała go dobrze z opowiadań dziadka i babki i z tego co mówił o nim pan Ordęga, niegdyś jeszcze nauczyciel zmarłego, a dziś testamentem wskazany nauczyciel i kierownik dwóch dziewcząt osieroczonych. Wiedziała, że był to człowiek dzielny i wytrwały a nieszczęśliwy, że wielkie miasto zła mało mu życie i najlepsze chwile zatręło, bo choć w jego murach poznał i pokochał kobietę, która miała mu przynieść szczęście, źli ludzie stanęli pomiędzy nimi, by szczęście zamącić. I udało się im, osnuli pasmem nikczemnych intryg człowieka, który nic a nic nie mając za sobą, tylko usilną pracę i zdolności własne, ośmielił się pojąć żonę z uprzywilejowanego i bogatego niegdyś gniazda. Mściła się więc cała rodzina, zawiedziona w swych ambitnych nadziejach, na człowieku, który stał się sprawcą mezaliansu i na kobiecie, która zamiast sprzedać się dla widoków familijnych, ukochanemu przez nią człowiekowi oddała serce i rękę; mścili się źli ludzie tak długo, aż młoda małżonka, osierocając dwoje dzieci, które

poznać jej jeszcze nie miały czasu, umarła, a zrozpaczony mąż, trawiony żalem — w parę lat potem poszedł w jej ślady.

Historja tej krótkiej miłości, tego życia, będącego jednym ciągiem pracy i cierpień, żywo przemawiała do wyobraźni Heleny. Ojciec był jej ideałem; cóżby dała za to, by on żył jeszcze! Do jakich ofiar, jakich poświęceń nie byłaby zdolną, byleby mogła oprzeć głowę na jego piersi i zawołać: mój ojczel! drogi, jedyny ojczel!

Matki nie znała wcale, lecz czy to z winy właśnie owej zupełnej niepamięci, czy z winy portretu, który przedstawiał ją piękną, uśmiechniętą, strojną, Helena nie umiała patrzeć na nią z tem uczuciem, z jakim patrzyła na ojca. Ta strojna, piękna dama wielkiego świata oniesmieiała ją nawet trochę; zdawało się, że choćby wystąpiła z ram i ożyła, Helena nie miałaby odwagi rzucić się jej w objęcia tak śmiało, z takim oddaniem się zupełnem, jakby to zrobiła względem ojca.

Niezależnie od tego, jak się na portrety owe córka patrzeć mogła, przedstawiały one obojętnemu oku, dwa kontrasty wielce zajmujące. Przez smutne, pełne wyrazu oczy mężczyzny, patrzyła dusza piękna, głęboka, nieugięta w szczęściu i w niedoli, ale zboleła. Usta jego się uśmiechały łagodnie, ale jak uśmiechnąć się może czło-

wiek, co *jadł świata zatrute kolacze* i całą gorczyz ich poznał.

Towarzyszka jego mówiła patrzącemu wyraźnie, że się jej świat uśmiechał, że do niego wyrwała się dusza z pięknych niebieskich oczu, a usta skłonne do uśmiechu, nie były zgoła stworzone do gorczy, jak i dusza do cierpień i walki z życiem. I mimowolnie można sobie było zadać pytanie: coby się stało z tym egzotycznym kwiatem, gdyby tak wcześniej nie podcięła go kosa śmierci?

Oboje przedstawiali parę piękną, ale jakże niedobraną! A nie mogło też ujść uwagi niczyjej uderzające podobieństwo Heleny do ojca, Wandy do matki; to też i siostry daleko stały od siebie myślą i duszą.

Helena nie mogła pojąć Wandy w jej tęsknocie do owego *świata*, którego się instynktownie sama lękała; Wanda nie umiała znaleźć żadnego uroku w *puszczy*; kochały się jednak jak siostry.

Marzącej przed portretem ojca Helenie tak szybko płynął czas, że ani się spostrzegła, jak ostatnie blaski dzieńne zagasły, a zamiast promieni słońca, blade światło księżyca spłynęło przez okno do pokoju i padło na portrety. Gwar kilku głosów zbudził ją z zadumy, a po chwili wbiegła Wanda śmiejąca się i rozbawiona.

— Szukam cię, Helenko, po całym domu i znaleźć nie mogę, chodź, zobacz jakem ustroiła Oksanę.

Poszły obie przez kilka pokoi do ich wspólnej sypialni. Wanda tak poważna i powolna na stepie, była teraz w swoim żywiole, cieszyła się jak dziecko. Oksana, jedna z piękniejszych dziewcząt na wsi, stała w pokoiku panińskim przed lustrem, zawstydzona i onieśmielona zabawą, jaką sobie z niej starsza panienka zrobiła.

— Patrzaj, Helenko — zawołała Wanda, gdy już przyszły do pokoju, a Oksana schyliła się pocałować rękę.—Patrzaj czy jej nie lepiej w tem uczesaniu? Co za przepyszne włosy — i ktoby się tego domyślił, kiedy je wszystkie skrępuje w warkocze i wkoło głowy oplecie. Teraz — to choć malować!

Istotnie Oksana mogłaby posłużyć malarzowi za model, chociaż dzięki Wandzie wyglądała teraz dziwacznie. Była to tęga, słuszną dziewczoją, rumiana, czarnooka i czarnobrewa, rysów grubych, ale dość prawidłowych i szlachetnych. Śmiejąc się ukazywała co chwila szereg białych zębów, których pozazdrościćby jej mogła nie jedna królowa salonów.

Wanda rozczesła jej nadzwyczaj bujne włosy, rozstrzępiła je nad czołem i powiązała różnokolorowemi wstążkami, a spadająca na

ramiona i poza pas fala rozczesanych warkoczy, nadała urodziwej dziewczynie szczególnego istotnie uroku.

— Gdybym się tak pokazała na wsi, toby się wszyscy ze mnie śmieli — rzekła Oksana w swem dźwięcznem małoruskiem narzeczu, śmiejąc się i wstydliwie zasłaniając rękawem.

— Poczekaj — zaczeszę jeszcze inaczej! — i Wanda uradowana, że kogoś stroić może, wzięła się na nowo do roboty.

— Kiedyż twój ślub, Oksano? — zapytała Helena.

— W niedzielę, panienko.

— A kochasz bardzo swego narzeczonego? Dziewczyna się zapłoniła i roześmiała.

— Czemużby go nie miała kochać — odparła Wanda — porządny gospodarz, ma sporą chatę i ogród i kawał gruntu i kilka koni i wołów. Oksana robi dobrą partyą.

— Ale ja chcę wiedzieć — ciągnęła niezadowolona tą odpowiedzią Helena, — czy ty Oksano wychodzisz za Kornija dla tego, że on bogaty, że ma konie i woły, czy dlatego, że on ci się podoba, żeś go pokochała?

Dziewoja, nieoswojona z podobnemi pytaniami, milczała, obracając w rękach końce czerwonego pasa, ale szczerść pytania zrobiła na niej wrażenie, bo śmiać się już przestała i zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Gdyby mi się Kornij nie podobał — rzekła półgłosem — toby mnie za niego nikt wydać nie potrafił. Nie kto inny, tylko ja z nim żyć będę.

— A widzisz — rzekła Helena do siostry — ona go kocha.

Wanda uśmiechnęła się i zaplatając na nowo kosy, zapytała podstępnie:

— Słuchaj, Oksano — a gdyby Kornijowi piorun spalił chatę a konie i woły mu poginęły, a on sam gdyby musiał iść na zarobek, — cobyś ty zrobiła wtedy?

— Poszłabym z nim razem — odpowiedziała z całą prostotą dziewczyna.

— Ale rodzice by ciebie nie puscili.

— To i cóż, siłą by nie zatrzymali — a i tak nie mieliby ze mnie pociechy.

— Ani przypuszczałam, że ona taka sentymentalna — odezwała się Wanda.

— Będiesz taką samą, kiedy pokochasz.

— Być może, wszakże mówią, że miłość robi cuda. Ale jakoś we mnie mało materiału na heroinę smutnych romansów. Pamiętasz, kto mi to powiedział rok temu? Pan Edward..

Helena uśmiechnęła się i właśnie odpowiedzieć coś chciała, gdy drzwi się otworzyły i weszła staruszka małego wzrostu, z pogodną, uśmiechniętą fizyognomią, i pobrząkując kluczykami, wołała.

— Na kolacyą, dziewczęta, na kolacyą! Co się z wami dzieje? Zasyłyście się w swój kącik i ani was słychać... A! to już Wandeczka znalazła sobie żywą lalkę i cieszy się nią — oj, dzieci, dzieci!..

— Babciu najmilsza! — zawołała Wanda — niech babcia spojrzy, czy ładnie uczesałam Oksanę?

— A, ładnie! bardzo ładnie! — niby do salonu; ale uważajże moje dziecko, iż ona wraca na wieś, a u nas tu nie jak w Warszawie, więc i fryzyerki nie trzeba.

— Cudaka ze mnie robi panienska — odezwała się Oksana, całując rękę staruszki.

— Tak, a ty się cieszysz? Oj to, to! wam wszystkim pstro w głowie. Do kolacyi! do kolacyi, wazę podają.

Tymczasem w izbie stołowej, przestronnej i jasnej, dokoła zastawionego stołu chodziło dwóch ludzi, prowadząc z sobą rozmowę o gospodarstwie. Jeden z nich, niski, krępy, z siwym, krótko postrzyżonym włosiem, białym jak śnieg wąsem sumiastym, krzaczastemi brwiami, z pod których patrzą łagodnie pełne życia oczy — to pan Baltazar Junosza, właściciel Junoszkówki, a dziadek znajomych nam panienek. Drugi — to ich nauczyciel, pan Marek Ordęga, postać ze wszech miar niezwykła. Słuszny, trzymają-

cy się prosto, z jakąś wybitną godnością w układzie, niewiele młodszy od gospodarza, stanowi z nim kontrast zupełny.

Nad pooranem zmarszczkami czołem, nad głową, z której siwiejące włosy spływają aż na ramiona, przejść musiała niejedna burza życiowa, a każda zostawiła ślad na twarzy. W jego ciemnych oczach ognie zagasły, usta zdają się chętniej zamykać niż otwierać — a nawet przylgnął do nich jakiś odcień dumy, której próżnobyśmy szukali śladów w twarzach gospodarzy. Snadź dusza to harda i lada komu się nie otwiera — ale z domem Junoszków zżył się Ordega, jak z rodzinnym.

I strój profesora był niezwykły, miał na sobie surdut długi z grubego płótna szarego, wysokie buty, chustkę na szyi wiązał *antiquo more*. Na wsi upatrywano w nim podobieństwo do księdza, baczniejsze oko dojrzałoby w nim raczej poetę i myśliciela niż pedagoga, a istotnie łączył on w sobie i surowość w pojmowaniu obowiązków, i gorącą miłość natury, i zamiłowanie piękna — pokrywał zaś to wszystko spokojem, pełnym godności.

Pomimo tej maski, która i teraz niezamąconą pogodą powlekała piękną twarz pana Marka, dojrzał Junosza, że przyjacielowi coś dolega.

— Co ci jest?— zapytał wreszcie, przerywając gawędę o pszenicy i rzepaku — wydajesz mi się nie swój.

— Istotnie, niepokoji mnie trochę milczenie Edwarda. Przed tygodniem już powinienem być mieć list od niego; czy nie zachorował... Egzamina już się skończyły z pewnością, dyplom doktorski powinien mieć w kieszeni;— może ze zbytku pracy zaniemógł.

— Niechże Bóg bron! prędzej to wina poczty. Czekajmy jeszcze do jutra. Dodnia, raniutko wyprawiam posłańca do miasteczka; na wieczór wróci i jakąś nam wiadomość przywiezie z pewnością. Mówimy tu o Edwardzie,— zwrócił się gospodarz do wchodzącej z panienkami żony — dziwno, że nic nie pisze.

Staruszka uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Mnie coś się zdaje, że my Edwarda lada chwilę zobaczymy. Śnił mi się dzisiaj tak wyraźnie...

— Ja go się nie spodziewam,— odrzekł Ordega — byłby coś przecie o tem napisał.

— Ha! może właśnie dla tego nie pisze — kto to wie?

Iwaś wniósł wazę, wszyscy usiedli, brząk talerzy i łyżek zastąpił na chwilę rozmowę.

— Cóżście ciekawego w stepie widziały?



— Prześliczny zachód słońca! — odrzekła dziadkowi Helena. — Żałuję zawsze, że nie umiem malować, bo bym takie jak dziś krajobrazy przenosiła na płótno.

— Na ten raz, Halko, żal twój nieuzasadniony — rzekł Ordega — choćbyś najwprawniej władła pędzlem, piękno natury zawstydziloby twoje krajobrazy. Największym mistrzem w tym razie jest dusza, która piękno to odtwarza na tle wyobraźni; a że masz duszę wrażliwą, nie trzeba ci pędzla.

— Ani pędzla ani pióra — dodała z uśmiechem Wanda — Helenka jest poetką. Gdybyście państwo słyszeli jej dzisiejszą improwizacją na kurhanie... Ja, co jestem uosobioną prozą...

— Do czasu — wtrącił Ordega.

— Jakto? więc i ja mam się z czasem rozpoetyzować.

— Możesz się tego spodziewać. W każdej duszy jest na dnie iskierka poezji, którą życie samo rozdmuchuje w nas... czasem uczuciem jakim żywsem, czasem odrobiną szczęścia, a najczęściej i najpospoliciej, niestety, nieszczęściem. Komu tej iskierki braknie zupełnie, ten jest jak ślepy od urodzenia.

— Może ja właśnie do takich należę — kto to wie? Na seryo gniewam się czasem na siebie, że gdzie Helenka widzi cuda i dziwy, ja nic

zobaczyć nie mogę nad zwykle obłoki, światła i cienie. Chyba niema we mnie tej poetycznej iskiarki.

— Ale co też ty gadasz, Wandeczko! — obruszyła się pani Junoszyna — gdyby kto obcy słyszał, gotówby uwierzyć, że jesteś taka zimna i obojętna.

— A może ona i zimna? — zagadnął pan Baltazar. — Cóż dziwnego! alboż tu na naszej pustyni znajdzie się chłopak jaki, coby serduszko rozgrzał, główkę rozmarzył i naszą śpiącą księżniczkę obudził?.. Zobaczycie, niechno tylko jaki królewicz przybędzie..

— Kiedyż żaden nie przybywa! — skarżyła się Wanda.

— A tobie już pilno? — spytała babcia. — Kłopot z tą młodością i tyle. Kochane to, pieśczone — a jednej chwili radeby jak ptaszyna pofrunąć w świat.

— Tylko nie ja, babciu najdroższa! — zaprotestowała Helena — nie chciałabym nigdy wyjechać z Junoszkówki, nigdy się z wami rozłączyć.

— A toż dopiero pochlebniśia! patrzcie ją — i babcia uśmiechając się pogroziła palcem — ona by z nami starymi życie chciała spędzić! Toż by piękne było życie. Do czasu — dobrze, ale na zawsze!..

— Królewicza, królewicza nam tu trzeba koniecznie! — dodał pan Baltazar. — Jak tak dłużej potrwa, ogłoszę w gazetach warszawskich, że tu u nas, na pustyni, kwitną dwa takie kwiatki. Wyobraź tylko sobie Brygido — co za rumor się zrobi! Ze wschodu, z południa, z zachodu — idą, jadą, lecą kawalerów roje. Co tu począć! potop prawdziwy! wędrówka narodów! Zatarasowujemy drzwi, okna, bronimy się, oblegają nas — nie ma rady!

Śmiał się z fantazyi swej staruszek, śmiała się babcia i panienki, gdy Ordęga zwrócił się do okna i słuch natężył. Wszyscy na chwilę zamilkli — a wśród ciszy odgłos pocztowego dzwonka dał się słyszeć najwyraźniej. Odgłos ten stawał się coraz bliższym, nareszcie wszyscy usłyszeli turkot kół w dziedzińcu.

— Masz tobie! — zawołał staruszek — wywabiałem wilka z lasu! Jest jeden królewicz.

Przybycie gościa było zawsze w Junoszówce fenomenem. Blizkiego sąsiedztwa brakowało, interesanci żadni nie zgłaszali się do dworu — nie dziw więc, że każdy bodaj wózek zatrzymujący się przed gankiem, budził zaciekawienie niezmiernie.

Tym razem, za ledwie gospodarz wyszedł na spotkanie nieznanego przybysza, doleciał od izby stołowej, w której reszta towarzystwa zo-

stała, odgłos pocalunków i najserdeczniejszego powitania. Wkrótce też drzwi się otworzyły i pan Junosza wprowadził pod ramię przybyłego młodzieńca.

— Edward! — a co, czy mnie sen omylił? — zawołała pani Junoszyna, i z macierzyńską czułością zaczęła witać gościa, który do rąk jej schylił się z pośpiechem.

Powstał i Ordega, czekając aż syn, powitawszy gospodarzy, do niego się zwróci. Na wyrazistej twarzy starego pedagoga błyskała radość i duma ojcowska.

— No cóż? — zapytał syna po powitaniu — jakże ci się udało?

— Przywiozłem z sobą dyplom doktora medycyny, a że mam różne na przyszłość projekta, chciałem wpieryw przedstawić się państwu, by odpocząwszy trochę w waszem kole, i poradziwszy się was, ruszyć dalej.

— No, dobrze, dobrze, świetnie zrobiłeś! — wołał ucieszony Junosza — siadajże, rozgość się — a wszelkie projekta i plany na potem. Mój Boże — dawnież to czasy, gdy cię widziałem — ot takim, przy niańce jeszcze — a dziś doktor medycyny. Ej, Brygido! — czy ty widzisz jacy my starzy!

Jakby sobie przypomniał coś starsuszek, uśmiechnął się, pokiwał głową, wziął jedną świecę ze

stolu i pobiegł do sąsiedniej izdebki, z kądem drzwi okute w podłodze wiodły do piwnicy domowej.

Tymczasem młody Ordega zbliżył się do pannen, które, zarówno jak wszyscy, ucieszone jego przybyciem, witały go serdecznie. Ojciec patrzył nań i oczy mu niezwykle świeciły.

Młodzieniec to był dwudziestokilkoletni, słuszny, silny, kształtny. Z rysów podobny do ojca, miał tylko więcej ognia w wielkich czarnych oczach, i w twarzy wybitny wyraz wiary w siebie i w przyszłość. Usta różowe, skłonne do uśmiechu, nie ukrywały pod pięknym bujnym wąsem owej goryczy, która na ustach jego ojca osiadła — a na wysokim czole, znamionującym spokojną pracę myśli, żaden cios jeszcze nie zaznaczył się bruzdą wyraźną.

Ojciec patrzył nań takim okiem, jakby widział przed sobą zmartwychwstałą młodość własną, a jednocześnie myśl jego zdawała się dążyć gdzieś w przyszłość, której może nie był tak pewnym, jak młody doktor.

Niedługo pozwolono przybyłemu *królewiczowi* gawędzić z pannami, które znając go od lat tyłu, zwracały się doń jak do brata. Staruszka poprzysuwała mu najrozmaitsze przekąski, zmuszając go do jedzenia, choć się tłumaczył, że nie głodny, tak nasyciła go radość rodzinna. Powrócił wreszcie i pan Baltazar, ukrywając coś za plecami z tajemniczą i rozjaśnioną miną.

— Konsyliarzu szanowny — ile lat sobie liczysz? Przyznaj się, bo pójdziemy sprawdzać w dyplomie.

— Nie jest to tajemnica żadna — odrzekł zapytany z uśmiechem — przed tygodniem skończyłem lat dwadzieścia pięć.

— No, więc patrz! oto twoja rówieśnica — zawołał pan Junosza, podnosząc w górę omszałą ze starości butelkę. Wczoraj skończyła lat dwadzieścia pięć. Wypijemy zdrowie doktora medycyny...

Napróżno chciał protestować młodzieniec, pojawiły się na stole kieliszki, złoty płyn napełnił je po brzegi — zaczęły się powinszowania i życzenia; podwójne życie wstąpiło w zebranych przy gościnnym stole. Gospodarz, choć wyborny znawca wina, słabą do niego miał głowę, a więc, jak tylko fantazyja się podbudziła i werwa oratorska rosła, nie było końca przemówieniom.

— Dwadzieścia pięć lat! — mówił staruszek, podnosząc do światła lampkę wytrawnego nektaru — to kawał czasu! to prawie data naszej przyjaźni z wami. A taka przyjaźń to jak stare wino — coraz mocniejsza! Niechże więc żyje, da Bóg, w najdłuższe jeszcze lata! Nam starym, na was patrząc, serce rośnie — a ty dla nas Edwardzie, jesteś jakby synem rodzonym! Patrząc na ciebie i marzę, iż to mój biedny Stach do

nas powrócił, Stach, po którym tylko te oto pamiątki, dziewczęta zostały! Pójdź więc, niech cię jak syna uściskam — i ty się za syna naszego w tym domu uważaj!

Wszyscy byli wzruszeni, staruszka łyzy ocierała, Edward rzucił się w objęcia gospodarza, potem uściskali się starzy przyjaciele — a tak zaczęta gawędka przeciągnęła się długo, aż pierwsze kury głośnem paniem napomniały o potrzebie spoczynku.

— Kazałam ci posłać w pokoju ojca — rzekła pani Junoszyna, ściskając młodego gościa na dobranoc — ależ nie gawędźcie już dziś proszę, trzeba byś się wywczasował po podróży, a i tak cię przecież prędko nie puścimy.

Nareszcie, pożegnawszy się kilkakrotnie, wszyscy udali się na spoczynek.

— A wiesz — przemówiła Wanda do siostry, rozczesując przed snem włosy — Edward bardzo wyprzystojniał. Na naszej pustyni to brylant prawdziwy, ale cóż z tego, kiedy i on zamierza osiąść w Warszawie. Kto żyje, ciągnie do świata.

Helena nic na to nie odpowiedziała; machinalnie, jakby w marzeniu jakim pogrążona, zrzucała z siebie suknie a oczy jej biegły gdzieś w dal, po promieniu księżyca, który z poza firanek zazierał.

— Zdaje mi się — ciągnęła niezrażona milczeniem Wanda — że gdy ten doktor medycyny przeniesie się do Warszawy, może i ty nie będziesz się tak wzbraniała wyjść z pustyni do świata? Co o tem myślisz?

— Myślę, że mi szkoda Edwarda dla wielkiego miasta...

— Wolałabyś go pewnie zagrzebać tu, na wsi, gdzie nikt o nim nie wiedział. Nie możesz się pozbyć swego uprzedzenia! Cóżby zresztą robił tu lekarz, którego powołaniem jest nieść pomoc cierpiącym.

— Alboż ich na wsi nie ma? Alboż do szczęścia potrzeba koniecznie gwaru, wrzawy i rozgłosu.

— Nie wszyscy mają podobnie sielankowe jak ty gusta. Zresztą, wiesz co, powiem Edwardowi, by został w Junoszwówce, bo może się znajdzie tu istotka chora na serce, którą on tylko jeden uleczyć zdoła.

— Dobranoc — niepocziwa żartowniszu!

— Dobranoc — kochana marzycielko. Śpij spokojnie, a co się przyśni, to przyciśnij — pamiętaj!

II.

„Na pustyni“ żyć zaczynało wcześniej.

Pomimo że rozmowa wieczorna, wbrew zwyczajowi przyjętemu w Junoszówce, przeciągnęła się do północy, wkrótce po wschodzie słońca, oboje staruszkowie byli już na nogach i brali się do pracy.

Zdawało się, że gospodarstwo czekało na ich skinienie, stwierdzając prawdziwość naszego przysłowia o znaczeniu *oka pańskiego*.

Zaledwo pan Junosza, odmówiwszy ranne pacierze, udał się w stronę zabudowań gospodarskich, natychmiast ciche dotychczas zagrody zaczęły się ożywiać, powietrze napełniało się rosnącym wciąż gwarem różnorodnych głosów i dźwięków, skrzypiały koła u wozów, otwierały się bramy, rozlegały się nawoływania dokoła, w ulicach wsi zaczynał się ruch pracowity.

Staruszek witał napotykanych po drodze ludzi, każdemu jakieś słowo powiedział, każdego nazwał po imieniu — a tak znał wszystkich miesz-

kańców swej wioski, ich stosunki rodzinne, i interesa, tak znanym był wzajemnie, ze wszystkimi nawet stronami swego charakteru, że między nim a tymi ludźmi zachodził stosunek zażyłości, jakby byli jego domownikami.

— A jakże tam dziecko wasze, Matwiju — lepiej?

— Kto go tam wie, proszę pana — odpowiadał chłop, zdejmując czapkę — ciągle jeszcze niedobrze.

— No to przyjdź do dworu, doktor wczora przyjechał, niech je zobaczy, to coś poradzi. A cóż ty, Iwanie, zaczęłeś już żać swoje?

— A no dziś zaczynam, wielmożny panie.

— Szczęść ci Boże — a jak zbierzesz, to przyjdiesz do mnie do młyna. A niech Hryćko jedzie jutro na jarmark wcześniej, bo czasu szkoda — broń Boże deszczu...

Stan pogody, kwestya wielkiej wagi podczas żniwa, nie mogła być dla nikogo na wsi obojętną. Zaczynały się tedy przeróżne w tym względzie prognostryki i pytania — a Junosza, pilnie obserwujący barometr a potrosze i w przepowiednie kalendarzowe wierzący, bywał w tym względzie wyrocznią.

Podczas gdy gospodarz odbywał swą zwyczajną przechadzkę ranną, niby wódz doświadczony przegląd wojska karnego — pani Junoszy-

na, w obrębie rządów sobie właściwych, dysponowała już także i doglądała roboty. Tu bywało różnie — dziewczki dworskie, naród leniwy a nie karny, nie zawsze stawiały się w porę do apelu; klucznica miała zawsze na nich jakieś kondemnaty i skargi, które pani wysłuchiwała z uśmiechem pobłażliwym. Kończyło się zwyczajnie na łagodnem wygderaniu winowajczynie, a obietnica poprawy osłabiała wszystkie gromy, przez klucznicę zapowiadane.

Był jednak punkt, na którym staruszka nie była pobłażliwą i wyrozumiałą; dwór cały nosił na sobie cechę klasztornej surowości obyczajów. i jeżeli się komu romansów chciało, wymykał się ostrożnie na wieś, szukał schadzek daleko od dworu, bo w jego obrębie panował pod tym względem rygor wielki.

Podobne potajemne wyprawy odbywały się szczególnie w zimie, kiedy to wieczornice po chatach i *doświtki* nęcą młodzież ku sobie. Ale pani Junoszyna znała swoje królestwo tak dobrze, jak mąż jej swoje, i co się działo nawet zdala od dworu, nie zawsze uszło jej wiadomości. Wieś była niewielka, wszystkie matki i gospodynie wiejskie, znane były dobrze troskliwej pani, więc gdy ją wieść jaka niedobra doszła, wdawała się w sprawę osobiście. Wiedziano na wsi, że niejedno małżeństwo skojarzyło się dzie-

ki tylko wdaniu się staruszki, niejeden parobek, co chciał być wiejskim Don-Żuanem, ani się spostrzegł, jak go małżeńskim czepcem nakryto — a potem, gdy do chrzcin przyszło, staruszka, co małżeństwo skojarzyła, trzymała do chrztu potomstwo, i z każdym rokiem przybywało jej kumów i kum na wsi.

Właśnie stała pani Junoszyna koło obory, rozmawiając z kobietą, która się przed nią na jakąś biedę żaliła, gdy przybiegła do niej Helena, i do rąk babki się schyliła na dzień dobry.

— Jakto, ty wstałaś, dziecko? tak wcześnie.

— Codzień, babciu, tak wstaję — dlaczegóż-bym dziś miała się lenić?

— Bośmy wczora tak późno spać poszli. Byłam pewna, że śpicie jeszcze w najlepsze.

— Wanda śpi — ja usłyszałam, że krowy już z pola wróciły i oto przychodzę do mego obowiązku.

Uśmiechnęła się, raz jeszcze uścisnęła staruszkę, i w jednej chwili skoczywszy na przełaz u płotu, znalazła się wśród obory, gdzie odbywała się ważna czynność poranna — dojenia krów.

W Junoszówce nie wolno było nikomu próżnować, więc i panny, chociaż się uczyły jeszcze, i codzień ze starym Ordegą miały kilka godzin lekcyi, w chwilach wolnych od książki, pozna-

wały życie praktyczne. Do nich należało asystować przy wydoju w oborze, doglądać ptastwa domowego w kurniku, pielęgnować drzewa i kwiaty w ogrodzie, smażyć konfitury, gotować soki i powidła, zbierać i suszyć owoce i t. d. Zajęcia te, przechodzące kolejno co tydzień od jednej do drugiej, nie były, ściśle biorąc, zbyt uciążliwe; wszystko by się dokonało szczęśliwie i bez nich, ale z planu wychowania, zakreślonego głównie przez Ordeę, wynikał obowiązek brania udziału w całym gospodarstwie domowym.

Obowiązek ten pełniła z prawdziwym zamiłowaniem Helena. Pomimo poetycznego usposobienia, które nakłania zwykle bardziej do zadumy i refleksyi, niż do zajęć praktycznych, chętnie brała się ona do wszystkiego czynnie, wstawała raniutko, pieściła swe ulubione krówki, prowadząc rachunek otrzymanego nabiału; śpiewając piosnki Zaleskiego, smażyła konfitury; deklamując z zapalem Maryą Malczewskiego, uprawiała kwiaty, a gdy wypadła potrzeba, nucąc dumki ukraińskie, prasowała sobie sukienki, lub prała kołnierzyki.

Nie uchylała się od zajęć tych i Wanda, ale było to z jej strony jedynie obowiązkiem, trochę wbrew woli i upodobaniom narzuconym, który też uprzyjemniała sobie na swój sposób. Smażąc konfitury, marzyła o wspaniałych cukier-

niach warszawskich, które w jej dziecinnej pamięci, stokroć piękniej niż w rzeczywistości się przedstawiały, a chodząc koło kwiatów, stroiła sobie niemi w myśli suknię balową, jak to jej w pamięci z dawnych lat utkwiło.

Helena czuła się zawsze u siebie — tu był jej świat, jej ludzie, z którymi pragnęła spędzić życie. Wanda wybiegała myślą dalej, jakby wyczekując tej chwili, w której wolno jej będzie spać choćby do południa, bawić się dystyngowanym towarzystwem salonów, oddychać ich atmosferą. A wierzyła, że chwila ta nadejść musi.

Kiedy około godziny ósmej pan Junosza powrócił ze wsi, a żona jego, obejrzawszy całe swoje gospodarstwo, zdążyła także wraz z Heleną do domu, — na ganku od strony ogrodu zastali już gotowy stół do herbaty, przy którym krzątała się Wanda, żywą prowadząc rozmowę z Edwardem Ordęgą. Przynosił on jej z sobą jakby echa wielkiego świata: zamierzał osiąść w Warszawie, gdzie go mogła świetna czekać karyera; wszystko to nadawało mu urok w oczach tęskniącej na pustyni panny.

— Oho! patrzcie, jak Wandeczka rano wstała, kiedy przyszło chłopca bałamucić! — zawołał z daleka już pan Junosza.

Młoda para ruszyła z miejsca na powitanie przybyłych, a w tejże chwili od ogrodu nadszedł

i stary Ordega, z pękiem zbieranych ziół w ręku. Zaczęto się witać i opowiadać sobie wrażenia przebytej nocy.

— My tu wszyscy tak wcześnie wstajemy, żeś się pewnie nie wyspał? — zapytała gospodyni młodego gościa.

— Owszem, babciu dobrodziejko, przywykłem spać mało, szczególnie w tym ostatnim roku; a powietrze tutejsze ma w sobie coś tak krzepiącego, że i kilka godzin snu wystarczyć może.

— Nie wszyscy tak myślą — rzekł Ordega, patrząc z uśmiechem na Wandę, — są tu między nami wielcy nieprzyjaciele rannego wstawania.

— Jak czasem! jak czasem! — wtrącił Junosza — dziś jakoś wcześnie zesłiśmy się wszyscy — choć to nie bez kozery... A cóżeś ty za zdobywca przyniósł z ogrodu, kochany Marku, — zielisko jakies?

— Cenny nabytek do dzisiejszej lekcji botaniki. Trzeba ci bowiem wiedzieć Edwardzie — rzekł, zwracając się do syna, pan Marek — żeśmy już bardzo w znajomości natury postąpili: nie zawstydzimy się i ciebie, coś jeszcze niedawno miał do czynienia z klasami, rodzajami i gatunkami. Mamy tę korzyść, że z przyrodą poznajemy się bezpośrednio, nie z książek i z zielników.

— Akademia tu u nas! — dodał Junosza — prawdziwa akademia. Żeby nie to, iż na kilka mil w około Junoszówki, nie znajdziesz żywego ducha, wiedzianoby o nas na świecie.

— A po co? — odrzekł pan Marek — niech my się tem właśnie różnimy, że naukę mamy dla siebie, nie zaś dla rozgłosu. Niechby sobie świat nigdy o nas nie wiedział; i owszem, zyskać tylko na tem możemy.

— Kochany pan Marek zawsze jest nieprzyjacielem wielkiego świata; — wtrąciła staruszka.

— Bo go znam dobrze, niestety!

— Wszędzie są ludzie dobrzy — a gdzie ich więcej, tam i miłość wzajemna większą być powinna, i życie może pożyteczniejsze, niż tu u nas, w małym kółeczku.

Pan Marek pokiwał głową z powątpiewaniem, uśmiechnął się gorzko, chciał coś powiedzieć, ale spojrzawszy na słuchające go dziewczęta, zamilkł i westchnął; westchnęła i staruszka, przypomniawszy sobie syna.

— A no, tak być powinno, pani dobrodziejko — prawda święta, ale bywa różnie. Ot, dowiemy się o tem później, od naszego doktora, który się puszcza na bystre wody...

Tymczasem kiedy starzy gwarzyli w ten sposób, młodzież daleka od przewidywań złego i nie znająca jeszcze wspomnień bolących, półgłosem

wesołą zawiązała rozmowę. Jak panny ucieszone były widocznie, przybyciem miłego gościa, tak i on zdawał się być w usposobieniu jaknajlepszym; mieli o czym mówić, bo się znali oddawna, a pewne wrażenie powagi doktorskiej, które w pierwszej chwili onieśmiało trochę dziewczęta, szybko zniknęło. Co do Edwarda, obyty ze światem, umiał on łatwo poprowadzić rozmowę z pannami, zwłaszcza, gdy tu tak wiele znajdowało się do niej materiału. Od czasu jak się raz ostatni widzieli — panny zmieniły się znacznie, urosły, rozkwitły, pozbyły się cechy dzieciństwa, a młodzieniec przyznać to w duchu musiał, że obie były ładne, choć każda w innym rodzaju.

Patrząc na to ożywienie młodego towarzystwa, Junosza zwrócił się do pana Marka.

— Wiesz co? — zróbmy dzieciom naszym wakacje — niech się sobą nacieszą, i zabawią swobodnie. I naszym pannom i Edwardowi potrzebny wypoczynek zupełny.

— Wiesz, przyjacielu, że ich nauką nie przeciążam, wypoczywać więc nie potrzebują, — ale na czas pobytu Edwarda, chętnie odłożę na stronę i botanikę i historję, bo dla dziewcząt takich i towarzystwo męzkie jest swego rodzaju nauką — więc i na tem coś skorzystają. A jakże ci się teraz mój Edward wyduje?

— Ten sam zawsze! zacny, nieoceniony chłopak! Bóg wie co dał bym za to, by go u nas zatrzymać.

Ordega powstał i ujął starego przyjaciela pod rękę. Zostawiając resztę towarzystwa przy stole z panią Junoszyną, która robiąc na drutach kaftanik dla męża, przypatrywała się młodym z rozkoszą, zeszedli obaj do ogrodu i udali się ulicą idącą w głąb, krzakami bzu i drzewami czeremchy osłoniętą.

— Mówisz, kochany Baltazarze — żeby go u nas zatrzymać... Dużobym i ja może dał za to, bo się boję, żeby mu świat tak życia nie zła-mał, jak waszemu ongi synowi. Ale — nie ma na to sposobu, — chłopiec nie ma co tu robić, jedna wieś za ciasne dla niego pole, a naokoło pustki!

— Ha! jużci prawda, że gdyby o praktykę chodziło, miałby tu jej mało, i to nic by mu nie przyniosło. Ale mnie co innego oddawna się marzy... Edward — to jakby przez Opatrzność zesłany mąż jednej z wnuczek naszych, niechby którą pokochał — o to przecież nie trudno, dziewczęta obie jak łanie, a dobre i pocziwe. Co my mamy — to ich, a dodawszy do tego twój kapitałik — byłoby o czym żyć wszystkim spokojnie i nie dbać o świat, ani ludzi.

Uśmiechnął się pan Marek.

— Dobrze to nam tak mówić, bośmy starzy i swoje przeżyli, i wiemy czego od świata spodziewać się można. Młódzież rwie się do niego, cudze doświadczenie nie nauczy nikogo, jej się chce samej pić z tego kielicha, który nas goryczą i trucizną napoił — a nie dozwól jej tego, czułaby się nieszczęśliwą...

— Halka nie rwie się wcale do świata, — wtrącił Junosza, którego była ona towarzyszką najmilszą.

— Wiem, bośmy ją tak wychowali, bo nie znała wcale świata poza Junoszówką; patrz na Wandę, co dzieckiem była w Warszawie. jak się to rwie do gwaru, ruchu i blasku. Nic na to nie poradzimy. Zresztą, choć o nas ludzie zapomnieli, i nie wspominają zapewne, jakby to wyglądało, gdybym ja dziecko nieboszczyka Stanisława, dla mego syna wychował. A niechżeby, Boże broń, Edward nie dał mu zupełnego szczęścia — bo i gdzież zresztą bywa ono zupełnem? — nie miałbym na chwilę spokoju sumienia, że się do tego przyczyniłem.

— Ale cóż znowu do głowy ci przychodzi! Gdyby mój Stach żył, ręczę, że sam córkę swoją oddałby Edwardowi, choćby dla tego samego, że jest synem twoim. On cię tak kochał, jak drugiego ojca. A jakże on nas prosił i zaklinał, byśmy dziewczątek jego nie puszczali w świat

od siebie, chyba gdyby mąż przez którą z nich wybrany domagał się tego. Zresztą, myśmy oboje starzy i ty przyjacielu nie wiele młodszy, — rok, dwa, może nas wszystkich zabraknąć... i sieroty zostaną bez opieki...

— Ha! Bóg opiekuje się sierotami. Gdyby to można było przyszłość przewidzieć, kto wie? może i memu Edwardowi nie długo tu życie dano... Wszyscy jesteśmy śmiertelni! — któż może wiedzieć — czyja chata z brzegu!...

Przez chwilę milczeli, dumając.

— Chłop strzela, a pan Bóg kule nosi! — zakonkludował pan Junosza. — Stanie się co Bóg da, ale bądźco bądź nie puścimy ztąd Edwarda pędko, a tymczasem niech się młodzi poznają dobrze, niech się oswoją z sobą — kto wie co z tego być może...

Zaczęły się dni niezwykłej w Junoszówce wesołości. Lekcje zostały zawieszane, a natomiast każdy dzień prawie przynosił coś nowego, jakąś niespodziankę miłą, przygotowaną przez gospodarzy. Podwieczorek w lesie, wyprawa łodzią po rzece, odwiedziny jakie na wsi, łowienie ryb sieciami, wszystko to, jedno po drugim, urozmaicało czas, szybko schodzący na zwykłych zajęciach gospodarskich młodych wychowanek pani Junoszyny. Odbyło się też huczne wesele owej Oksany, co przychodziła do dworu, wesele, któ-

rego obchody uroczyste ciągnęły się, zwyczajem miejscowym, dni kilka.

Edwardowi nigdy jeszcze tak rozkosznie nie schodziły wakacje; zostawał pod urokiem tej milej, patryarchalnej prostoty, jakiej przykładowo próżno szukałby gdzieindziej. Serce jego otwierało się do przyjęcia wrażeń najśłodszych, głowa słodkim marzeniem jakimś się kołysała; on, co nigdy nie czuł w sobie usposobienia do poezji, spostrzegał częstokroć, że wpada w ów stan upojenia, w którym tworzą się łagodne i promienne obrazy poetyczne. Czytana niegdyś *Sielanka młodości* Gaszyńskiego często stawała mu w myśli niespodziewanie i mimowolnie...

Panna była prześliczna — z błękitnych jej oczek
Zaledwo że piętnasty uśmiechał się rozek...

Panna była prześliczna... ale która? Sielanka mówiła o błękitnych oczach — więc to Wanda. Bywały chwile, w których nie wątpił, że o niej mowa. Wanda ożywiła się teraz bardzo, co wpłynęło korzystnie i na jej układ, dawniej ociężały nieco, i na twarzą, przedtem noszącą na sobie niemiłą cechę niezadowolenia. Przytem okazywała ona niekiedy ową wrodzoną kokieteryę, która magnetycznie działa na mężczyzn i pociąga ich ku sobie nieprzepartym urokiem.

Jednej jasnej nocy gwiazdzistej, a właściwiej mówiąc późnym wieczorem — towarzystwo całe po kolacyi, udalo się spacerem w step. Była to jedna z owych improwizowanych rozrywek, które tak bardzo podobają się młodzieży, zamiłowanej w nadzwyczajnościach. Ordęga ojciec podał rękę pani Junoszynie, panny szły przy sobie, trzymając się pod rękę, Edward z panem Junoszą zamykali pochód.

Komu mianowicie przyszła myśl owej wyprawy? nie wiadomo; chyba staremu Ordędze, który kochał się w przyrodzie i nieraz sam do późnej nocy spacerował po alejach ogrodu, lub wydalal się nawet poza wieś, ku sterczącym opodal mogiłom.

Z początku rozmowa toczyła się swobodnie, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, a podtrzymywana przez panny i Edwarda, mającego zasób niewyczerpany pomysłów, ale zaledwo towarzystwo wyszło poza kołowrót i roztoczyła się przed niem olbrzymia przestrzeń stepowa, oblana światłem gwiazd palących się na niebie — urok i majestat natury zapanował nad wyobraźnią wszystkich, panny zaczęły wzdychać, starzy zagłębiać się w owę zadumę rzewną, w której cała przeszłość niekiedy nam przed oczyma staje, pociąga ku sobie serce i żałować siebie każe.

Cisza stepu w dzień biały nie może się różnić z tą głęboką, pełną tajemnic ciszą, wiszącą nad nim w noc pogodną. Żadnego szmeru, żadnych dźwięków... chyba gdzieś w trawie trwożliwie przepiórka się odezwie, albo świerszcz zaświerka po cichu; chyba od strony wsi doleci psa szczekanie lub wycie żałosne, gdy z niedalekiego lasu wilk przemknie się koło płotów, wietrząc zdobycz.

Od stepu trudno się było oderwać — nikt nie miał odwagi wezwać do odwrotu.

— No, panny moje,— przemówił Ordega — według naszego zwyczaju, łącząc miłość wiedzy z miłością natury i poezji, skorzystajmy teraz z takiej nocy gwiazdzistej i dalej błądźmy po tych oto gwiazdach z astronomami... Wando, może ty nam zechcesz być po nich przewodnikiem — dobrze?

Panny nie były przyzwyczajone do opierania się wezwaniom nauczyciela, którego kochały. Miał on ten sposób kierowania ich umysłami, przy którym różne rodzaje wiedzy łączyły się w jeden łańcuch, najrozmaitsze tony spływały w harmonijną całość. Były w tem tylko główne zarysy przedmiotów, ale właśnie dlatego, że było ich niewiele, że wiązały się one konsekwentnie z innymi, żadne prawie słowo nie ginęło marnie i pożytek z nauki był wielki. Sta-

ruszkowie, którzy dobrem wnuczek swoich żyli, bywali często świadkami takich popisów, a pani Junoszyna nie mogła się nadziwić uczoności dziewcząt.

Tym razem wyjątkowo Wanda nie była usposobiona do kosmografii, rozciągnięty nad nią wielki atlas gwiazdzisty budził mniej chęci badania, niż oznaki wrażeń, jakie wywierała na młodym doktorze medycyny. Nie oparła się jednak wezwaniu i odbył się krótki przegląd główniejszych konstellacyj, w którym żadne nazwisko, szczególnie najmniejszy, z tych jakie jej poprzednio podane zostały, nie wypadły z pamięci.

Ale Edward nie słuchał już tego popisu, patrzył on jeszcze na zadumaną czy rozmarzoną Helenę i myślał, że dusza jej jaśniejsza była niż gwiazdy *Oriona*, a czarny warkocz lśniących włosów, spleciony nad białem czołem dziewczem, piękniejszy był dlań od *warkocza Bereniki* na lazuruwem sklepieniu.

Dziwny był zapewne ten popis naukowy, w noc pod gwiazdzistem niebem, dziwaczny, wyda się czytelnikom, ale działo się to na pustyni, wśród ludzi zbliżonych do natury, wśród ludzi, którzy nie wiedzieli nic o gwiazdach scenicznych, o kometach salonowych, o meteorach wielkiego świata — więc myśli ich odrębnym szły torem.

— A teraz może już do domu?— rzekł z uśmiechem Ordega.—Zwiedziliśmy ziemię i niebo, zajrzeliśmy w przeszłość daleką— czas wracać!

— Wracajmy!— zawołano jednogłośnie.

— Ale jakże?—tak, po cichu, jakbyśmy z jakiejś smutnej wracali wycieczki. Hej! doktorze— odezwał się Junosza— kolej na ciebie— masz głos piękny, zaśpiewaj co— my będziemy ci wtórować. Przecież i moja Brygisia godzinki śpiewa w kościele, a jaki ma jeszcze głos donośny— ani byś przypuszczał.

— A wstydź się, wstydź się stary, żartować sobie ze mnie— gdzie mnie tam do śpiewu! Jest Halka przecież, a ona śpiewa tak, że aż mi żal czasem, że nikt jej nie uczy.

— Jakto? pani śpiewa?— zawołał Edward— to dla mnie niespodzianka prawdziwa!.. Jako lekarz nie śmiałybym namawiać do śpiewu teraz— powietrze trochę chłodne, ale musi mi pani zaśpiewać jutro... koniecznie.

— Zrobię panu zawód tylko, nigdy się śpiewać nie uczyłam i nie umiem. Tak samo śpiewa i Wanda.

— Zaśpiewajcie razem! prosił staruszek,—zaśpiewajcie— nam starym młodość się przypomni. Wasza matka śpiewała prześlicznie— głos twój Halko często mi ją przypomina.

Młodzi porozumieli się z sobą prędko i oto znowu wśród ciszy stepowej zabrzmiał chór trzech głosów. Silny baryton Edwarda, czysty sopranowy głos Heleny i kontralt Wandy łączyły się z sobą nie uczenie, ale sympatycznie. Majestatyczny hymn do Boga, śpiewany przez te trzy młode, dźwięczne głosy, zakolała i do starych piersi, i one odrzmiały tem błaganiem, płynącym przed ołtarze święte — a ołtarzem w tej chwili był schylający się ku ziemi lazur niebieski, na którym miliony światła płonęły jasno, spokojnie.

Wkrótce po owym wieczorze romantycznym, którego wrażenie nie mogło się zatrzeć w duszy Edwarda, wypadła niedziela. Dzień to był zawsze podwójnie świąteczny w Junoszówce, gdyż w nim tylko odbierano wieści ze świata i gazety, które przywozili z poczty chłopci, wracający z jarmarku.

Jakkolwiek do świata zrażeni i nieżądni wcale stosunków z nim, starzy mieszkańcy dworu Junoszowskiego odbierali jednak niekiedy listy, a pisma należały do potrzeb życia samotników. Pani Junoszyna miała gdzieś w Krakowskiem krewnych, z którymi korespondowała; rodzina zaś panien po matce, jakkolwiek bardzo rzadko, dowiadywała się jednak, jak się kuzynki miewają, zapowiadając czasem, że ktoś po nie

przyjedzie i zabierze na kilka tygodni do Warszawy.

Ile razy nadszedł list z zapowiedzią podobną, pani Junoszynie przyczyniało to niepokoju, i drżała na samą myśl, że się rozstać może z ukochanymi wnuczkami, choćby na tydzień. Uspakał ją mąż.

— Nie bój się! zdaleko od nich siedzimy, gdzieby tam zechciało się komu jechać na taką pustynię. Piszą ot tak, bo trzeba czemś miejsce zająć, ale nie ma obawy. Gdyby dziewczęta posagi miały — byłoby inaczej, a tak trzymają się zdaleka — i dobrze robią.

Ordega potwierdzał zdanie przyjaciela, i on wątpił, by się te zapowiedzi kiedykolwiek spełnić miały.

Owej więc niedzieli, gdy wieczorem siedziało przy kolacyi, przyszedł żyd arendarz, przynosząc pakiet z poczty. Listów tym razem nie było do nikogo, ale nadeszły książki dla Ordegi, dawno oczekiwane, kilka numerów gazety prenumerowanej wspólnie z Junoszą, i pismo tygodniowe, stanowiące najulubieńszą lekturę panien. Jak to więc bywa na wsi, zaledwo się kolacya skończyła, zabrano się do otwierania i przegładania nowin ze świata. Junosza zapalił fajkę i zajął się odczytywaniem telegramów politycznych; Ordega zaczął rozcinać kartki książek,

a młodzież wzięła między siebie ilustracyą, robiąc nad nią różne uwagi.

Jedna tylko pani Junoszyna, przypatrując się z upodobaniem wnuczkom i Edwardowi, czekała aż jej co ciekawego powiedzą.

Pan Junosza lubił czytywać do poduszki, szczegółowe więc rozpatrzenie zachmurzonych horyzontów politycznych zostawił sobie na później i odczytawszy telegramy składał już gazetę, gdy go uderzyło nazwisko jakieś, w rubryce nekrologów. Włożył napowrót na nos okulary i całą rzecz uważnie odczytał.

— Wiecie kto umarł?— rzekł zwracając się do żony i Ordęgi,— pan prezes, jest tu wspomnienie o nim.

— Krewny wasz — dodała staruszka, widząc, że na wiadomość o śmierci dziewczęta uszu nadstawiły.— Stryj matki waszej, więc wasz niby dziadek. Chociaż nigdy go w życiu nie widziałyście, pomódlcie się za jego duszę.

Dziewczęta słuchały obojętnie — ów dziadek nigdy się do nich nie odezwał.

— Oddawna o nim żadnej nie miałem wiadomości — rzekł Ordęga — myślałem, że już umarł dawniej. Był to podobno człowiek bardzo zamożny, cóż się tam stało z majątkiem?

— Przecież miał córkę — dodała pani Junoszyna — było komu zostawić.

— Ha! niech z Bogiem spoczywał!

Staruszek umyślnie urwał rozmowę o tym przedmiocie, gdyż mieli sobie wszyscy za zasadę nie mówić źle przy sierotach o krewnych ich matki, a o zmarłym prezesie nic dobrego nie było do powiedzenia. Mówiono o nim, że się wzbogacił kosztem małoletnich, oddanych mu w opiekę, że miał nawet z tego powodu sprawy i procesa, opinia była o nim nieosobliwa.

— Od wuja Emila dawno już nie było wiadomości — przemówiła Wanda — myślałam, że teraz list przyjdzie. Zapomniał o nas.

— A tobie już pilno wyrwać się z Junoszówek! pragnęłabyś w jednej chwili ztąd odlecieć — wtrąciła staruszka — oj dziecko, dziecko!

Dziewczę zaczęło się tłumaczyć i uniewinniać, że chciałoby tylko zobaczyć się z rodziną matki, poznać kuzynki dotąd jej nieznaną -- i znowu wrócić do dziadków.

Starzy załagodzili jakoś tę drażliwą sprawę. Nie tajno było nikomu, że o ile Helena przywiązana była do pamięci ojca i do jego rodziny — o tyle Wanda, marząca najchętniej o matce, lgnęła do jej krewnych, zwłaszcza, że mieszkali oni głównie w Warszawie.

Od chwili owej wycieczki, Edward coraz serdeczniej zajmował się Heleną. Umiał nie zdradzić się z tem; jednakowo dla obu siostr uprzejmym był i grzecznym, ale baczne oko ojca ła-

two dostrzegło rodzącą się w sercu młodzieńca miłość.

Co do Heleny — miała ona dla Edwarda uczucie jakies siostrzane, które zbyt otwarcie i naiwnie się objawiało, by można je było nazwać zakochaniem. Mniej prostoty okazywało się w obejściu Wandy z doktorem, umiała się nawet czasem zarumienić nagle, gdy do niej przemówił i — co się przedtem nigdy nie zdarzało, wzdychała nawet pokryjomu, patrząc na przystojnego młodzieńca, może zazdroszcząc mu, że jedzie na wielki świat.

W parę dni potem zdarzyła się nowa okoliczność, przeważająca stanowczo szalę sympaty Edwarda. Było to w porze poobiedniej. We dworze panowała cisza. Staruszek gospodarz używał zwyczajnej w tym czasie drzemki, pani Junoszyna udała się na koniec ogrodu, gdzie były inspekta, stary Ordega powędrował do lasu, Wanda pisała list jakiś w swoim pokoju.

Na ganku, wychodzącym na dziedziniec, siedzieli Helena i Edward. Ona haftowała czepek, przeznaczony na imieniny babuni, on czytał głośno ustępy z nowego dzieła historycznego, które przywiózł z sobą z Kijowa.

Dzień był skwarny — dokoła ani żywej duszy — młodzieniec zostawał pod wrażeniem miłego sam na sam i często przerywając czytanie,

podnosił oczy z książki na słuchającą go z uwagą dziewczynę. Niekiedy spojrzenia ich spotykały się, ale twarz jej nie zdradzała wtedy żadnego wzruszenia, samotność nie pozbawiła ich zwykłej swobody.

Nagle furtka przy bramie wjazdowej skrzypnęła i weszła na dziedziniec kobieta wiejska, splakana i jęcząca, zdążając wprost do ganku.

— Co wam się stało? — zapytał Edward.

— Oj panoczku! — jęknęła, całując go w rękę — nieszczęście! poratujcie, bo duszę wyzionę. Skaleczyłam sobie rękę sierpem i krwi nie mogę zatrzymać.

Edward zauważył dopiero, że miała rękę obwiązaną płachtą jakąś; zaledwo ją odsunął, krew trysnęła strumieniem.

— Zaczekajcie no chwilkę! zaraz wam poradę — i pobiegł do pokoju po narzędzia potrzebne i bandażę. Gdy za chwilę wrócił, już i Wanda zaciekawiona rozmową wbiegła na ganek.

— Co się stało?

— Nic groźnego, mam pacjentkę.

Kobieta zbliżyła się do Wandy, chcąc ucałować jej rękę, ale ta, na widok krwi płynącej obficie, cofnęła się ze wstrętem, zakryła oczy i uciekła.

Edward zabrał się do obejrzenia rany; głęboka była i niebezpieczna, sierp przeciął jedną z arteryj — potrzeba ją było zawiązać.

Ale kiedy przyszło do dokonania tej operacyi, Edward obejrzał się wkoło siebie — wymagała pomocy dwóch rąk. W dziedzińcu było pusto, nikt nie przechodził — tylko o kilka kroków stała Helena zmieszana i blada.

— Pan potrzebujesz pomocy? — zawołała — oto jestem — co mam robić?

— Pani widoku tego nie zniesie... może się znajdzie kto inny.

— Niech się pan o mnie nie boi, jestem wytrzymała. Co mam robić?

— Trzeba trzymać — tu, w taki sposób — odrzekł lekarz, decydując się z konieczności przyjąć i tę pomoc. — Proszę się zwrócić w tę stronę — tak — ale trzymać trzeba mocno, póki nie skończę.

Helena odważnie przystąpiła do chorej i ujęła jej zbroczoną rękę, tak jak Edward wskazał; kobieta jęczała boleśnie i rzucała się — improwizowana jednak asystentka, zacisnąwszy zęby, trzymała ją mocno, choć krew bryzgnęła nieraz na palce i suknię...

Operacya odbyła się, bandaż został założony i przewiązany, dopiero Edward spojrział na Helenę i przestraszył się o nią. Blizką była omdlenia.

Odprowadził ją do ławki i wpadł znów do pokoju po krople trzeźwiące. Kiedy jednak wrócił — Helena już oprzytomniała i uśmiechnęła się doń łagodnie.

— Już przeszło, już mi jest dobrze... Wstydzę się tylko, że tak niewytrzymała... Nie śmieję się pan ze mnie — proszę bardzo!

Że Edward nie upadł przed nią w tej chwili na kolana — zawdzięczyć mógł tylko umiejętności panowania nad sobą. Tak mu się wydała piękna z tą siłą woli, z tem omdleniem chwilowem, z temi cudownemi oczyma, które zwróciły się nań z błagalnym wyrazem.

— Pani! widziałem w klinice nieraz kolegów, mdlejących na widok takiego krwotoku. Pani się zachowałaś dzielnie, odważnie, szkoda że ja sam tylko podziwiać to mogłem. Przepraszam — stokroć przepraszam, że panią na to naraził...

— O jakże rada jestem, że się przydać mogła... Ale wszak już jej biednej nic nie grozi, nieprawdaż? nie ma niebezpieczeństwa?

— Nie, niech pani będzie spokojna. Tylko matko, nie rozwiązujcie tego! — rzekł do pacjentki — sam przyjdę do chaty jutro; możecie teraz iść do domu i spocząć.

— Niechże wam, panoczku, Pan Bóg i Matka Boża błogosławi... — zaczęła dziękować kobieta, odchodząc od ganku.

— Czy już? — zapytała w tej chwili Wanda, zaglądając przez półotwarte drzwi.

— Już — niech się pani uspokoi.

— Ach rzeczywiście, widok był straszny! nie mogę patrzeć na rany i krew! Jak ty mogłaś wytrzymać, Halko?

— Musiałam — nie było nikogo do pomocy.

Gdy zeszło się towarzystwo na herbatę i Edward zaczął opowiadać całą scenę, nie znajdując słów na pochwałę Heleny, starzy uśmiechali się porozumiewająco — zapał młodego lekarza zdradził stan jego serca. I nie mylili się: kochał on Helenę całą siłą pierwszej miłości.

III.

Z konferencyi odbywanych przez Edwarda z ojcem wynikło, że młody lekarz, po ostatecznem załatwieniu interesów w Kijowie, miał się udać na stały pobyt do Warszawy.

Upływały jednak dni za dniami i tygodnie, a on oderwać się nie mógł od Junoszkówki; o wyjeździe nie było mowy.

Przypuszczać trzeba, iż starzy domyslali się co go tu trzyma i radzi byli, by został jaknajdłużej. Każdego wieczora zasypiał z postanowieniem szybkiego wyjazdu, a po przebudzeniu się, decyzją znowu odkładał.

Miło bo też, rozkosznie schodził czas we dworze junoszowskim, wśród serdecznych ludzi, w otoczeniu pięknej natury.

Pozorna wegetacya na pustyni urozmaicaną bywała pracą pożyteczną. Edward codzień prawie udawał się na wieś, odwiedzając po chatach pacjentów, jakich tu zyskał i w których obudzić potrafił zupełne zaufanie, pomimo tradycyjnej

u ludu niewiary w sztukę lekarską i głęboko zakorzenionych przesądów.

Przewodniczką po wsi bywała Edwardowi najczęściej Helena, do której protekcji we wszystkich wypadkach ważniejszych udawali się ludzie, pomocy potrzebujący. O ile bowiem Wanda zajmowała się przeważnie wszelkiego rodzaju uroczystościami wiejskimi, Helena miała pod swoją opieką biedę i niedolę.

W godzinach poobiednich i wieczornych, zwłaszcza gdy pogoda nie dopisała, Edward stawał się lektorem; wokoło niego gromadziło się całe towarzystwo domowe, a on czytał głośno dzieła różnego rodzaju, historyczne, ekonomiczne i literackie, wydobyte z kufra podróznego, który też grozić już zaczynał wyczerpaniem. Życie to miało więc i unysłową barwę, dla panien towarzystwo młodego lekarza było bodźcem do myślenia, zmuszało je do samodzielnego zastanowienia się nad wielu rzeczami.

— Prawdziwa u nas akademia! — powtarzał pan Junosza.

Jak by natura sprzysięgła się z wewnętrznym usposobieniem Edwarda, przyszły dni słotne, brzydkie, w których trudno było myśleć o podróży. Odkładano też ją z dnia na dzień lub — co ważniejsza, nie chciano dotykać tego przedmiotu.

W jeden taki dzień słotny i wietrzny, późnym wieczorem, mieszkańcy dworu Junoszówki siedzieli w pokoju stołowym. Gospodarz palił fajkę na długim cybuchu, jego żona i panny miały w rękach roboty. Staruszka robiła coś na drutach. Wanda haftowała dla siebie kołnierzyk, Helena szyła wyprawkę dla dziecka, które niedawno do chrztu trzymała, stary Ordega kończył oprawiać książkę jakąś, co dla oszczędności i z powodu braku introligatora w miasteczku zwykle sam robił — Edward czytał głośno.

Już się staruszce oczy sklejały i pan Junosza poziewał coraz częściej, zbliżała się chwila spoczynku, gdy naraz z dziedzińca dał się słyszeć dzwonek pocztowy i turkot ciężkiego powozu, który się zatrzymał przed gankiem.

Trudno wyrazić zdziwienie, jakie się odmalowało na twarzach wszystkich; u obojga staruszków połączyło się ono prawie z przestraczeniem jakimś niewytłumaczonym. Życie ich płynęło tak spokojnie i tak się do niego przyzwyczaili, że wszelka niespodzianka przyjmowaną była z największym niepokojem.

Kto mógł przybywać do Junoszówki o tej porze? Nikogo się nie spodziewano zgoła, nikt przybycia swego nie zapowiadał — a jednak ktoś przybył! — to jedno nie ulegało wątpliwości; psy na dziedzińcu ujadły zawzięcie, a gość już w gan-

ku dawał znać o sobie chrząkaniem i mrużeniem jakimś niewyraźnym, które zakrawało na przekleństwo.

Ruszył się wreszcie pan Junosza z miejsca. Edward poprowadził go do sieni ze świecą. Wanda zaczęła wyglądać przez nieco uchylone drzwi, tem ciekawsza, że jej przeczucie jakieś zapowiadało gościa z Warszawy.

W sieni stał mężczyzna średniego wzrostu, dobrej tuszy, pełnych, lśniących policzków, otoczonych jasnymi faworytami, oczu niewielkich i zmrużonych, które wraz z charakterystycznym składem ust, nadawały jego twarzy wyraz nieco ironiczny. Miał na sobie strój podróźny z grubego angielskiego kortu, długi, z kilkoma kieszeniami z góry i z boku, na głowie czapkę niemiecką kortową, ze wstążkami z tyłu, na nogach kamasze kortowe, zapinane na guziki, a przez plecy zwieszała mu się wytworna torebka podróźna ze srebrnymi ozdobami. Nim jeszcze gospodarz mógł poznać gościa, nim ten zdjąwszy z głowy czapkę, wyciągnął do niego rękę na powitanie, Wanda wpadła do sieni i rzuciła się w objęcia przybyłego.

— Wuj Emil! Wuj Emil! doczekaliśmy się nareszcie! — wołała z uczuciem, jakiego po jej zwykłej obojętności trudno się było spodziewać.

Wuj Emil czuł się nieco zmieszany tak obcesowem powitaniem.

— Jakto? poznałaś mnie, Wando? Bo domyślałam się, że to jest starsza siostra, — mówił, biorąc obie ręce młodej dziewczyny i patrząc na nią z uśmiechem ujmującym.

— Poznałam wuja po fotografii — a zresztą już od tak dawna spodziewaliśmy się jego przybycia.

— A to jest siostra młodsza — przemówił pan Junosza, gdy Helena przyszła także powitać wuja i schyliła się do jego ręki.

— Ah *pardon!* — wykrzyknął zaambarasowany pan Emil, cofając rękę — nie tak ceremonialnie!

I z czułością trochę przesadną wyciągnął ramiona, ujmując w nie zmieszaną i zawstydzoną nieco Helenę.

— Witam — witam państwa i niezmiernie czuję się szczęśliwy, że się już do was dostał — mówił dalej gość, rozpinając swój długi paltot angielski. — Zacząłem tracić nadzieję, że dojadę; prędzejbym się dostał do Londynu, czy Madrytu — toż to straszne rzeczy, jak wy daleko od świata mieszkacie!

— Na pustyni, — rzekł gospodarz z uśmiechem — na pustyni.

— Ach prawda! — przechodzi wszelkie pojęcie! Jadę od stacyi kolei blisko dwanaście godzin! Coś straszego! Całe jeszcze szczęście, że mi się udało na poczcie wynająć jakąś landarę

krytą — byłbym przemókł do nitki — cóż za jakiś czas fatalny! *c'est horrible!*

To mówiąc rozebrał się nareszcie pan Emil a gospodarz ująwszy go pod rękę, wprowadził do pokoju stołowego, w którym mocno zmieszana i zaniepokojona czekała pani Junoszyna. Gość z elegancką układnością salonowca ucałował staruszkę w rękę i przypomniał się dawnej znajomości.

— Po raz ostatni miałem zaszczyt widzieć panią dobrodziejkę — lat temu podobno dziesięć, kawał czasu, a jednak poznałbym ją w jednej chwili.

— Widać, że nasze życie na pustyni konserwuje, — odparła z uśmiechem — gdyby nie fotografia, przyznaję, że nie poznałabym pana, bardzo się odmieniłeś.

Szczerość ta nie była snadź do smaku panu Emilowi, ale pokrył niemiłe wrażenie pełnym uprzejmości uśmiechem.

— Miasto oddziaływa na ludzi w ten sposób, pani dobrodziejko, zresztą życie, kłopoty, troski... Żona mi choruje często... podróże. Choć nieznajoma, żona moja przesyła przezemnie szanownej pani najpiękniejsze pozdrowienie.

I znowu ucałował ręce staruszki, poczem zwrócił się do obok stojącego Ordegi.

— Jeżeli się nie mylę — pan Ordega... bardzo mi miło powitać, dawno już poznać go pragnąłem i podziękować za korzyść, jaką z pracy odniosły moje siostrzeniczki. Cieszę się serdecznie.

— A otóż panienki — ciągnął dalej niestrudzony w słodyczach pan Emil — jak jestem szczęśliwy, że je widzę. Wanda — żywy obraz nieboszczki siostry mojej — uderzające podobieństwo! Helena przypomina więcej ojca, — ach! był to człowiek, którego kochałem jak brata; nieodżałowana go szkoda!

W ten sposób, w kwadrans po przybyciu, pan Emil umiał już wszystkim zebrany powiedzieć jakieś słodkie słówko, do każdej z osób oddzielnie zwracał się z pociągającym uśmiechem, ucieszył się nawet w imieniu Warszawy, na wiadomość, że Edward wybiera się do tego miasta; trudno było o większą zręczność w ujmowaniu sobie ludzi, nad tę, jaką okazał gość warszawski.

Zachowanie się jego wszakże, i niespodziewane przybycie, jedną tylko Wandę ucieszyło naprawdę; gospodarze byli zaambarasowani, jak tu przyjąć gościa z wielkiego świata, pani Junoszyna pobiegła zarządzić dla niego jaką przekąskę, któraby zepsutemu smakowi dogodziła, Ordega — domyślając się celu przybycia, trapił się

myślą pożegnania ukochanych mu dziewcząt, a Helena nie wiedziała jak się ma zachować wobec blizkiego krewnego, który był dla niej dotąd obcym człowiekiem, a teraz nie budził bynajmniej zaufania.

Spotkawszy się w drugim pokoju, starszko-
wie spojrzeli po sobie markotnie.

— Ktoby się mógł spodziewać, że on przy-
jedzie!

— To prawda — ani mi przez myśl nie prze-
chodziło.

— To nie bez przyczyny!

— Zapewne, — coś w tem być musi. Gdzie
go umieścić, żeby mu było wygodnie? W ofi-
cynie nie wypada.

— Ustąpię z mojej kancelaryi — każ tam,
Brygisiu, zanieść łóżko, powinno mu być wy-
godnie.

Rozeszli się, nic już więcej do siebie nie mó-
wiąc.

Bali się oboje wymienić powód istotny przy-
jazdu pana Emila, drżeli na myśl, że im zabie-
rze wnuczki ukochane, bez których trudno już
im wyobrazić sobie życie. A jednak dobrze
oboje wiedzieli, że cel tych odwiedzin nie mógł
być innym.

Gość nic jeszcze o tem nie wspominał, jakby
radość znalezienia się w kółku rodzinnem, nie

pozwalala mu pomysleć o jutrze. Nawet na zręczne wzmianki Ordegi, umiał jeszcze zręczniejsze dawać odpowiedzi w tym przedmiocie wymijające; interesów ani słówkiem nie zaczepił. O ile przeraziła go podróż, po której czuł się mocno zmęczonym, o tyle teraz wszystko mu się podobało, zaczynając od panien, które wypiękniały i rozwinęły się nad jego spodziewanie, a kończąc na kolacyi, którą jadł z ogromnym apetytem i — jako znawca, podziwiał doskonałość kucharza, i nieocenioną zapobiegliwość gospodyni.

— Wyobrażam sobie, cóż to za doskonale gosposie być muszą z naszych panienek! — mówił, zajadając potrawkę z kurczęcia. — Potrzeba przyznać, że tradycya naszych gospodyń ginie, nasze panie miejskie nie mają o niej wyobrażenia — szczęście to dla was, moje panienki, żeście miały taką wyborną szkołę...

Kiedy nareszcie pan Emil, pożegnawszy całe towarzystwo, udał się do przeznaczonego mu pokoju na spoczynek, dokąd odprowadził go pan Junosza, wszyscy rozeszli się powarzeni. Krzywił się Ordega, mówiąc synowi, że nie lubi zbyt słodkich ludzi, i długo w noc zasnąć nie mógł, dręczony przykreimi myślami; dłużej też niż zwykle modliła się pani Junoszyna, zaniepokojona i zgryziona, Helena zaś, nie odpowiadając na

wesołe szczebiotanie siostry, ukryła twarz w poduszkach i płakała tak rzewnemi łzami, jakby ją nieszczęście jakie spotkało.

Oprócz Wandy, jeden tylko jeszcze Edward spokojniej patrzył w przyszłość. Że pan Emil przyjechał w celu zabrania do Warszawy siostrzeniczek, łatwem było do przewidzenia — ale ta właśnie okoliczność, tyle niepożądana dla wszystkich mieszkańców Junoszówki, dla młodego Ordegi mogła być miłą: jechał do Warszawy i Helena tam się znaleźć miała; kochał ją — nadzieja więc ciągłego widzenia ukochanej musiała go uszczęśliwiać. Było to szczęście samolubne, bo okupione wielką boleścią innych — ale któż w takich razach nie jest samolubem?

Nazajutrz z rana wszyscy się zeszli do herbaty później niż zwykle, należało się bowiem dać wywczasować gościowi. Dopiero około dziewiątej, pan Emil, w eleganckim stroju porannym, wygolony, wynyty i wyczesany najstaranniej, przyszedł oddać dzień dobry gospodarzom. Twarz jego promieniała zadowoleniem.

— Nie pamiętam już oddawna, bym gdziekolwiek spał tak wybornie, jak dziś pod gościnnym dachem państwa; — od tego zaczął rozmowę, odpowiadając na zapytanie.

— No, teraz chodźcie panienki moje, niech się wam po dniu przypatrzę — dodał zaraz zwraca-

cając się z serdecznością do siostrzenic. Kazał się uściskać jednej i drugiej, obie pocałował z uczuciem w czoło, a nie mógł się dość nacieszyć ich widokiem.

— Dziwna to istotnie siła uczuć rodzinnych— rzekł do staruszków, którzy z pewnym niepokojem patrzyli na jego zachowanie się.—Można powiedzieć, żeśmy prawie nie znali naszych kuzynek, a jednak sama myśl o tem, że są one dziećmi siostry mojej, Amelii, kazała nam zwracać się do nich z utęsknieniem. Nie było dnia, żebyśmy z żoną moją nie mówili o Junoszówce, i projektowanej przezemnie wyprawie do państwa. Trzeba tylko na to całego chaosu życia miejskiego, by tak długo być zmuszonym do odkładania tyle upragnionej chwili. No — a wy, moje panienki — czyście też myślały o swoich krewnych, tak blizkich, choć tak daleko będących?

— Wspominaliśmy o wuju często — odezwała się Wanda.—Przykro nam było, że tak długo kazał nam wuj czekać na spełnienie miłej obietnicy.

-- Jeżeli mam temu wierzyć, to chyba razem z wami udać mi się przyjdzie do łaski dziadka i babki dobrodziejki, by nie odmówili mi prawa zabrania was z sobą, panienki moje, do Warszawy.

Nastąpiło milczenie ogólne, przykre dla wszystkich.

— Wiem — ciągnął dalej pan Emil — że przykro będzie państwu rozstać się z ukochanymi wnuczkami, ale... przemawiam tu w imieniu całej rodziny ich matki, wszyscy je kochamy, wszyscy pragnęlibyśmy mieć je u siebie, choć na czas krótki. Mam nadzieję, że mi państwo nie odmówicie, bym zabrał panienki do nas — na kilka tygodni. Nieprawdaż?

Pani Junoszyna, której ręce drżały ze wzruszenia, że omal nie upuściła filiżanki do ust niesionej, spojrzała na męża błagalnie, by ją w odpowiedzi zastąpił.

— Ciężko nam będzie — przemówił staruszek — rozstać się choćby na krótko z dziewczętami naszymi, to prawda, ale nie możemy zaprzeczyć państwu prawa do nich. Powinny się przecież zapoznać i z rodziną swej matki. Ale... czyby tego nie można odłożyć na później... Obie jeszcze tak młode, że wprowadzać je w świat zawczasie... przytem przerwa w naukach...

— O! proszę państwa! jeżeli o to idzie, możecie nie mieć żadnych skrupułów. Kilka tygodni żadnej różnicy nie robi, a dom nasz, zwyczajnie szlachecki, skromny, do wielkiego świata nie należy... Przyjmiemy je całym sercem, jak

własne dzieci, łembardziej, że bezdzietni jesteśmy, a żona moja tak spragniona widoku i towarzystwa kuzynek.

— Niech się pan nie dziwi — odważyła się przemówić pani Junoszyna — że tak trudno pogodzić się nam z myślą pożegnania wnuczek... Toż to jedyne pamiątki po naszym biednym Stanisławie, a jesteśmy starzy oboje, i nie możemy wiele rachować na przyszłość.

Głos staruszki drżał i lzy kręciły się w oczach. Obie dziewczęta zdawały się także wzruszone; Wanda spuściła głowę, obracając w palcach końce fartuszka, Helena zbladła i patrzyła na babkę, jakby błagając ją o odpowiedź odmowną.

— Możeby to odłożyć jeszcze na później, na rok choćby tylko — kończyła babcia — może się przez ten czas oswoimy trochę z tą myślą, i lżej nam przyjdzie potem uczynić zadość woli państwa.

— Nie chcielibyśmy sprawić przykrości — odparł pan Emil.—Panienci mają tyle obowiązków względem obojga państwa, że powinny o nich myśleć najpierwej, ale tym razem tak się złożyło, że interesa familijne także potrzebują bytności Wandy i Halki w Warszawie. Wiadomo państwu zapewne, że prezes, stryj mój, zmarł niedawno...

— Czytaliśmy o tem w dzienniku — rzekł Junosza.

— Otóż nieboszczyk zostawił majątek i przekazał go w testamencie nam i dzieciom ś. p. Amelii.

— A córka ś. p. prezesa? — zapytała staruszka.

— Córkę stracił przed paru laty, zesłała bezpotomnie; więc choćbyśmy, ze względu na żądanie szanownych państwa, chcieli odroczyć własną przyjemność, potrzeba wymaga teraz bytności obu panienek w Warszawie. Mają one razem otrzymać do podziału przeszło pół miliona złotych...

Wiadomość ta przeraziła obojga staruszków, jakby niespodziewana owa sukcesya była nieszczęściem dla ich wnuczek. Panny i bez niej miały przyszłość zabezpieczoną. Junoszówka, majątek niewielki, ale znakomicie zagospodarowany i czysty, była ich faktyczną własnością, i przedstawiać mogła kapitał nie mniejszy może od tego, jaki miał im się dostać teraz po prezesie. W razie wyjścia za mąż której z panien, staruszkowie oddaliby majątek swój wnuczkom natychmiast, nie czekając aż go odbiorą po najdłuższem ich życiu. Ludzie prości, na pustyni żyjący, nie pojmowali tego, że ktoś, mając dosyć, pragnąć może jeszcze więcej, a natomiast instyktownie bali się świata i jego darów niespodziewanych. Był dostatek — po cóż

bogactwo? Zasepił się też na wieść owę Ordega, zamysliły się panny, nie bardzo również pojmujące, że cieszyć im się należy.

Widząc wrażenie uczynione na całym towarzystwie wiadomością o sukcesyi, pan Emil zdumiony był naiwnością tych ludzi, i lekki, ledwo dostrzeżony uśmiech ironii przemknął po jego ustach.

— Nie jesteż to pustynia? — pytał się w duchu. — Oni się boją bogactwa — słyszaneż to rzeczy!

Udał jednak, że go to nie dziwi i ciągnął dalej.

— Podział spadku i wylegitymowanie się z praw do niego, potrzebuje koniecznie, bym panielki nasze zabrał z sobą do Warszawy. Cała manipulacya sądowa nie potrwa długo, wrócimy wiec tu po kilku tygodniach. Tak, moje panie, — dodał, zwracając się do dziewcząt — jesteście zamożne. Cóż ty Heleno myślisz o tem? nie cieszysz się?

— Nie wuju! — odparła śmiało, — myślę owszem, że dziadek mógł lepiej rozporządzić swym majątkiem, niż zapisując go nam.

Rozśmiał się pan Emil i zatarł ręce.

— Nie ma to — powiadam — jak błogosławione życie na wsi. W mieście wszyscy gonią za groszem, prześcigają się, materyalizm wciska

się do wszystkich stosunków; jakże mi błogo spotkać się z ludźmi, którzy szczęście rodzinne stawiają nadewszystko, a gardzą mamoną! Jesteście szczęśliwi, państwo — Warszawa poza zdrościć wam może spokoju i ciszy serca. Skarby to nieocenione! nieocenione! — powtórzył patetycznie pan Emil, smarując masłem kawałek bułki, co robił z precyzyą i gracyą smakosza. Wanda podziwiała wypieszczoną rękę wuja i długie jego paznokcie.

— Więc ciebie, Helenko, nic a nic nie cieszy, że zostałyście zamożnymi pannami; o rękę waszą dobijać się teraz będą kawalerowie, a wy będziecie mogły wybierać między nimi, jak między ulęgalkami.

— Wuj żartuje z nas — odrzekła Helena — czyżby mogły komu pochlebiać hołdy składane jego kieszeni. Zdaje mi się, że tylko wstręt we mnie budziłby człowiek, który, mając na względzie mój posag, udawałby, że mnie kocha.

— Ślicznie, ślicznie i mądrze! — zawołał wuj Emil — żartowałem sobie istotnie. Pójdź moja Helenko, niech cię uściskam za takie szczere i piękne wypowiedzenie swego zdania.

Po uścisku, któremu dziewczyna poddała się obojętnie, nastąpiła chwila milczenia, jakby pan Emil pohamować potrzebował wzruszenie doznane.

— Gdybym miał córki — odezwał się wreszcie — przyprowadziłbym je do szanownych państwa i prosił na wszystko, abyście raczyli wziąć je pod waszą opiekę. Niestety! Bóg nam tej pociechy odmówił. Jakież to szczęście, że dzieci mojej biednej siostry, znalazły nad sobą opiekę taką!.. Jakżeby się ona cieszyła, gdyby je widzieć teraz mogła — a biedny, zacny Stanisław! Jak żywo przypominam sobie dzień, w którym go ostatni raz widziałem... było to przed wyjazdem ich z Warszawy. Mówiliśmy z sobą wtedy długo i serdecznie... on wiedział, że go kocham i zaszczycał mnie także przyjaźnią...

Tu zaczęły się wspomnienia dawnych czasów, przeplatane najserdeczniejszymi pochwałami dla Stanisława. Staruszkowie słuchali rozrzewnieni, pan Junosza pociągał z fajki coraz gwałtowniej, staruszka co chwila chustkę do oczu podnosiła, — zaczęli tak opowiadać różne epizody z przeszłości, a coraz serdeczniej i poufniej. Nareszcie, gdy po długim posiedzeniu herbatniem, towarzystwo się rozeszło, a pan Emil siostrzenicom oprowadzić się kazał po ogrodzie, gdzie już po wczorajszym deszczu ścieżki poosychały, staruszkowie, zostawszy sami, okazali się zupełnie zjednanymi przez wymownego gościa.

— Cóż począć, Brygisiu! — niechaj jadą! trudno się temu sprzeciwić — i oni mają do nich prawo.

— I ja też to myślę — a przytem jaki miły i serdeczny człowiek z pana Emila — nieprawdaż? Jak widać to po nim, że istotnie kocha nasze dziewczęta; przecież serce się w nich odezwało!

— No — i patrzajże — a toż będą dziewczęta całą gębą bogate! Może tam w Warszawie i mę-
ża sobie upatrzą — wszędzie są ludzie.

— Ha! zapewne... są wszędzie, ale nie chcę myślać o tem, by one w Warszawie zamaż wychodziły. Boję się tego.

— Czegóż się bać — Opatrzność nad niemi — nie da zrobić krzywdy sierotom. A zresztą przecież bez naszego zezwolenia i błogosławieństwa żadna wyboru nie robi.

— No — zapewne. Wiedzą one jak są nam drogie.

Wszedł właśnie do pokoju Ordega.

— Jakże się panu to wszystko wydaje, — pan Emil jak się podoba?

— Bardzo mi się niepodoba! — odrzekł wręcz Ordega; — znam takich ludzi i nic im nie wierzę.

— A jednak widać, że kocha nasze dziewczęta istotnie, kiedy dla nich puścił się w taką podróż.

— Tak, puścił się, gdy półmilionowa sukcesja na nie spadła; przedtem były same obietnice.

— Nie godzi się o ludziach tak źle sądzić, wszakże sukcesyą i on także odziedziczył, —

cóżby go więc tak bardzo obchodził posag Wandeczki i Halki.

— Ha! ja nie wiem, ale coś w tem być musi — to pewne. Coś w tem jest, — wolelibyśmy nie słyszeć o spadku tym wcale.

— To prawda — i mnie on nie ucieszył. Ale cóż począć, będziemy się musieli rozstać z naszymi dziewczętami na kilka tygodni...

— Zapewne — nie ma rady! — szepnął Ordega i zamyślił się, powtarzając jeszcze sobie: na kilka tygodni... byle na kilka tygodni...

Przy obiedzie oświadczył pan Emil, że chociaż mu jest nad wyraz miło i rozkosznie w Junoszwówce, za tydzień musi już być w Warszawie. Ponieważ zaś sama podróż trzech dni potrzebowała, należało już myśleć o wyjeździe i wybierać się zawczasu.

Dla pani Junoszyny, która od dziesięciu lat nie jeździła nigdzie dalej jak do kościoła, wyjazd panienek tak prędki wydawał się prawie niemożliwym. Jakże tu w tak krótkim czasie zebrać wszystko co potrzeba, spakować i do drogi dalekiej przysposobić! Zabrała się jednak staruszka do przygotowań podróży, wzdychając i popłakując często.

Dnie upływały szybko, pełne niepokoju i trwóznego wyczekiwania. Pan Emil dokazywał cudów zręczności, by odwrócić uwagę wszystkich

od zbliżającego się wyjazdu, ale mu się to nie udawało. Wszyscy byli jak powarzeni. Po wsi gruchnęła wieść o wyjeździe panien, przyjęto ją także z żalem największym. Schodziły się codzień do dworu baby i dziewczęta pożegnać Helenę, którą kochano powszechnie, i Wandę, której także żal im było. A jak to u prostych ludzi bywa, że nie zawsze potrafią myśli zataić, choćby to komu z obecnych przykrość zrobić mogło, niejedna z kobiet tych mówiła przy Wandzie do Heleny:

— Niechby już choć panienka z nami została, jeżeli obie zostać nie możecie.

Odwiedziny te i pożegnania utrzymywały przykre wrażenie zbliżającego się wyjazdu.

Wieczorami, dawnym zwyczajem, towarzystwo całe wychodziło na spacer. Pogoda wróciła, dni były piękne, noce spokojne i gwiaździste. Wuj Emil jednak, choć zapewniał, że przepada za naturą, nie okazywał gustu do podobnych wycieczek. Napróżno Helena kazała mu się zachwycać stepem; mówił, że gdyby mu na nim kazano parę dni spędzić, oszalałby z nudów i tęsknoty. Po pierwszej wyprawie wieczornej zakatarzył się mocno, po drugiej dostał już chrypki i kaszlu, — trzeci wieczór spędzono w pokoju, grając w wista.

Na panią Junoszynę troska o wyjeżdżające dziewczęta oddziaływała tak boleśnie, że gdyby przygotowania dłużej potrwały, groziłaby staruszce choroba.

Przyszedł wreszcie wieczór ostatni — naza jutrz z rana miano się już udać w drogę. Wieczór ten cały spędziła babka w towarzystwie ukochanych wnuczek, całowała je, pieściła, dawała im przestrogi i nauki moralne, jak się mają bez niej zachować, jak starać się o zyskanie sobie przychylności wujostwa, jak uważać na siebie i pamiętać o tych zasadach, w których zostały wychowane. Była ciągle mowa o kilku tygodniach, a jednak staruszka, jakby przypuszczając, że pobyt w Warszawie dłużej przeciągnąć się może, dawała dziewczętom swoim rady i nauki daleko sięgające a związane z losem ich przyszłym.

Gdy zaproszono na kolacyą, panny przyszły z zaczerwienionemi oczami, splakane, smutne, z czego wuj Emil, choć głośno żartować nie mógł, w duszy śmiał się serdecznie.

Nazajutrz z rana, ledwo słońce się pokazało, Helena wybiegła do ogrodu. Chciała się tu z kwiatami, drzewami, i każdą bodaj ścieżką pożegnać.

Ogród przedstawiał się uroczo. W powietrzu unosiła się woń ziół, kwiatów, drzew błyszczą-

cych rosą. Ów świeży chłód poranku, będący dla zdrowych piersi rozkoszą, wionął na rozognione policzki dziewczęcia i na czoło, osłonięte zarzuconą na pędcę chusteczką. Drzewa szumiały cichutko, jakby witając swą przyjaciółkę, a wiszące na nich, blizkie już dojrzałości owoce, zdawały się mówić do niej: zostań! któż nas zrywać będzie? Po zaroślach i krzewach orkiestra ptasia grała w najlepsze — ale jakoś smutniej niż zwykle, a słońce, choć nie było żadnej chmurki, patrzyło przez splecione drzew gałęzie nieśmiało, jakby zagniewane.

Takiego wrażenia doznała Helena, idąc po zaciemnionej ulicy ogrodu, wprost przed siebie. Zerwała kilka gwoździków po drodze i przycisnęła je do ust, niekiedy zatrzymywała się dłużej, by posłuchać świegotu ptaków, lub naparzeć się ulubionym drzewom.

Tak doszła aż do miejsca, gdzie ogród się kończył. W głębokim parowie biegła rzeczka wązka i bystra, za nią tuż z jednej strony zaczynał się las, mostkiem połączony z ogrodem, z drugiej — step.

Stała tu Helena przy płocie opasującym ogród dokoła, i słuchając szmeru rzeki, wpatrzyła się w panoramę stepu, po nad którym rosło właśnie słońce promieniste.

Otoczone gromadą obłoczków różnobarwnych, rzuciło ono blaski swe na bezgraniczną powierzchnię stepową, odbijając się w rosie nicoschłej jeszcze na trawach i kłosach. Tu i owdzie w powietrzu trzepotał się skowronek, jednostajną świegoczącą piosenkę, na cześć nowego dnia. Zdaleka, z ponad stawów, dochodził odgłos dzikiego ptastwa. Po drodze dobrze znajomej posuwał się wóz z kołami skrzypiącemi i para wołów z wielkimi rogami postępowała leniwo. Leżący na wozie parobek śpiewał donośnym głosem jakąś piosnkę smętną i żalną, której tony przenikały do serca Heleny.

Z zadumy zbudził ją odgłos kroków ludzkich. Od strony lasu szła stara cyganka. Dojrawszy pannę ze dworu, zbliżyła się do niej i wyciągnęła pomarszczoną rękę.

— Daj, powróżę tobie, krasna panienko!

Helena podała jej dłoń z ochotą.

— Oj, *sumujesz* ty, dziecko — odezwała się stara — (smucisz się), ciężko tobie czegoś na sercu. A ja wiem czemu. Przed tobą daleka droga... oj daleka! Ale ty zostań, nie jedź — tam nic cię dobrego nie spotka: same łyzy — a może i gorzej. Wyjechać ci trudno — trudniej przyjdzie wrócić. Pokochasz ty ładnego panicza — ale co z tego! — same łyzy. Oj, żal mi cię! żal! Zostań, będzie lepiej — a jak starą wspomóżesz, pocieszysz cię Bóg!

Dziewczęciu serce się ścisnęło na te smutne przepowiednie: nie obcą jej była wiara we wróżby i cudowności.

— Przyjdźcie babko do dworu, tam was wspomogą — odrzekła i zadumała się bardziej jeszcze. Postąpiła chwilkę przy płocie i wróciła znów do ogrodu.

— Dzień dobry pani — odezwał się tuż przy niej głos Edwarda. Spotkali się na brzegu dwóch ścieżek.

— Dzień dobry, panie Edwardzie — odrzekła z tęsknym uśmiechem panna, podając mu rękę, którą on do ust przycisnął.

Dziewczę się zmięszało i zarumieniło. Pierwszy raz mężczyzna pocałował jej rękę.

— Żegna się pani z Junosząwką?

— Tak... i ciężko mi się z nią żegnać... Wie pan? cyganka z którą się spotkałam, wywróżyła mi przyszłość.

— Jakież wróżby?

— Smutne. Gdybym mogła się oprzeć — nie pojechałabym za nic do Warszawy.

— Czyż się godzi wróżbom wierzyć!

— Ja wierzę. Wierzę także w sny i przecucia. Dziś sen miałam tak ciężki, że się zbudziłam jeszcze przed świtem. O! nie pojechałabym — gdyby to tylko można... a może spróbuję! — dodała z determinacją właściwą jej usposobieniu.

— Zrobi pani jeszcze większą przykrość dziadkowi i babce... Oni przecież także nie radzi rozstać się z paniami — ale kiedy trzeba...

— To niech jedzie Wanda, ona starsza, może się obejść bezemnie. Dla niej to będzie spełnienie dawnych marzeń — dla mnie nie!

— A o czymże pani marzy?

— Ja? — odrzekła, patrząc mu śmiało w oczy — o niczem. Mnie tu było tak dobrze... nie miałam czego pragnąć wcale. Od chwili wyjazdu ztąd, zaczęłam marzyć o powrocie do Junoszówki.

— Więc będziemy marzyć oboje... i ja ztąd odjadę wkrótce... za jakie dwa tygodnie spotkam panią może w Warszawie.

— Ach! to dobrze! — zawołało z serdecznością dziewczę — to dobrze, że i pan tam będzie! Zapomniałam o tem zupełnie. Ile razy pana zobaczę, przypomni mi się Junoszówka. A kiedy pan tu powrócisz?

— Nie wiem! nie prędko... dla mnie nie ma tu nic...

— Jakże można tak mówić... tu pana wszyscy kochamy!

— Wszyscy? więc i panią mogę do tych zaliczyć?

— A jakże! czasem mi się zdaje, żeś pan moim bratem...

Młodzieniec ujął ją znów za rękę i pocałował.

— Dziękuję pani!

— O! nie całuj mię pan w rękę! — ja się wstydzę. Dziękować nie ma za co. My się tak dawno znamy, prawie urosliśmy razem — czyż mogłabym być dla pana obojętną.

Mówiła tak szczerze, z taką prostotą serdeczną, a jednak on wolałby ją widzieć mniej otwartą, mniej śmiałą — czuł bowiem, że ją kocha nie jak brat siostrę.

Szli obok siebie przez chwilę w milczeniu.

— Wiesz pan? cyganka przepowiedziała mi także, iż kogoś pokocham.

— Więc pani i w to wierzy?

— Dlaczegożbym wierzyć nie miała. Poznam tam tyle osób, tyle krewnych mojej matki. Kochać rodzinę swoją to tak miło!

— Cyganka nie taką pewnie miłość miała na myśli. Czyż pani nigdy jeszcze nie przeczuwała miłości innej?

— Owszem — wiem o niej z pieśni, z książek, z poezyi, i wyobrażam sobie, że wielkie to szczęście — kochać. Ale brak mi jakoś przecucia szczęścia; zdaje mi się, że nie może go być dla mnie poza Junosząwką...

Znowu upłynęła chwila milczenia.

— Z tej miłości, o jakiej mi cyganka mówiła, mają być tylko łzy... Jak to smutno, że na tym dziwnym świecie miłość zawsze z tęsknotą i smut-

kiem chodzi... Naprzykład — biedny mój ojciec... tak krótko był szczęśliwym. Ile razy czytam *Maryą* Malczewskiego, zdaje mi się, że Wacław to on, a jednak czuję, że za taką miłość warto oddać życie!

Każde słowo Heleny dotykało boleśnie Edwarda. Zdawało mu się, że ona go nigdy kochać nie może. Wolał przerwać już tę rozmowę.

— Na pamiątkę tego poranku, niech mi pani da jeden z gwoździków.

— Proszę — odrzekła — podając mu wszystkie. Nietrwała pamiątka.

— Trwałą będzie dla mnie pamięć dni spędzonych w domu państwa — i dzisiejszej naszej rozmowy. Wszak i pani nie zapomni w gwarneńm życiu Warszawy, że ma we mnie brata, który cię kocha... Nieprawdaż?

— O tak, nigdy nie wątpię o pańskiej przyjaźni — jak ojciec mój zaufał przyjaźni pańskiego ojca.

Na tem się rozmowa skończyła.

W parę godzin potem stał już przed gankiem dworu powóz, zaprzężony w sześć koni, opakowany do drogi. Służba wynosiła jeszcze zawiątki i węzłki przeróżne, gdyż pani Junoszyńska przygotowała dla podróżnych tyle prowizyi, że starczyć jej mogło na tydzień. Kury pieczo-

ne, pierogi z kapustą a także z serem i z konfiturami, szynka, kielbasy, masło, jaja na twardo, placki, obwarzanki, pierniki, owoce, herbata, cukier — to wszystko w obfitości służyć miało na drogę. Pamiętano o najmniejszej drobnostce, cokolwiek która z panien lubiła — wszystko się tu znalazło. Ale też nim się to upakowało, sporo upłynęło czasu.

Ordega naglił, żeby jechać, gdyż w razie spóźnienia przyszłoby nocować w miasteczku; staruszkowie nie mieli odwagi rozłączyć się już raz stanowczo z ukochanymi dziećmi.

Ile razy się żegnano — nie zliczę, ile łez wyjazd ten kosztował — niech czytelnicy się domyślą. Wszystko jednak ma swój koniec — powóz wreszcie ruszył z miejsca.

Na ganku stali wszyscy domowi, patrząc za odjeżdżającymi. Staruszka żegnała ich obrazkiem Matki Boskiej Berdyczowskiej — a łzy płynęły jej po białych policzkach. Junosza także oczy ocierał i głową kiwał. Ordega chrząkał i marszczył się. Stare sługi płakały w głos.

Tymczasem z powozu, jak długo tylko dojrzeć było można, wyzierały główki obu dziewczątek i powiewały dwie białe chustki na pożegnanie, aż powóz, potoczywszy się po drodze stepowej, znikł w oddali bez śladu.

— Już ich nie ma, — jęknęła staruszka i drobnym krokiem udała się do swego pokoju.

— Już ich nie ma! — powtórzył Junosza, machnął ręką i powlókł się do gospodarstwa.

IV

Na trzeci dzień po przybyciu podróżnych naszych do Warszawy, w salonie państwa Emilowstwa, urządzonym z całym komfortem miejskim, siedziało liczne towarzystwo, z samych tylko osób domowych złożone. Był więc pan Emil, żona jego, pani Ernestyna z Korwinów Kostrobackich (jak stało na biletach jej wizytowych), osoba w średnim wieku, dobrze zakonserwowana, biała, szatynka, ruchliwa, gadająca, nerwowa; była ciotka jej, zwana powszechnie panią generałową, cała w czerni, w czepcu koronkowym i z krzyżem na piersiach; była cioteczna siostra pana Emila, niemłoda panna Hortensya, wysoka, sucha, słynąca z dowcipu, wreszcie dwie nasze panienki — Wanda i Helena.

Odbywała się naprędce narada familijna.

— Otóż tak, moje najmilsze panienki, — mówiła pani Emilowa — musimy najpierw pomyśleć o przystrojeniu was. Sukienki, w których przyjechałyście, dobre są na wsi, ale tu niemożliwe...

— Trochę zanadto oryginalne — wtrąciła panna Hortensya — pierwotne.

— I powyrastałyście z nich zupełnie. Któż słyszał, żeby panienki dorosłe chodziły w takich krótkich sukienkach, to nawet żenujące, słowo wam daję. Musimy najprzód pojechać do Hersego...

— Do Szubertowej — poprawiła panna Hortensya.

— Ależ — *ma chère*, powtarzam ci, że tylko do Hersego, — daj mi przyjść do słowa! Pojedziemy więc do Hersego i obstalujemy kilka sukienek odrazu. Dla ciebie, Wandziu — jedwabną niebieską, taką różową, dwie wełniane, na codzień, jedną z czarnym aksamitnym stanikiem (zobaczysz jak ci będzie do twarzy) — no i dwie czarne jedwabne, do odmiany. Dla Halki zaś, oprócz codziennych i czarnych — jabym proponowała jedwabną żółtą, jedną jasno-popielatą aksamitem ponsowym ubraną i jedną szafirową.

— Protestuję przeciwko żółtej — odezwał się pan Emil, nie będzie do twarzy Helenie.

— Ależ — mój drogi — pozwól, że się na tem znam.

— Nie przeczę, ale kolor żółty...

— Daj że mi przyjść do słowa — brunetka, biała jak Halka, w żółtym kolorze wygląda przesłicznie.

— Niby mucha w jajecznicy — dodała panna Hortensya.

— Ciebie to się zawsze żarciki trzymają, kiedy ja mówię całkiem seryo. Sama powiedz, Halko — nieprawdaż, że ci w żółtym kolorze dobrze?

— Nie wiem, wujenko — nigdy nie miałam żółtej sukni; obojętnie odrzekła zapytana.

— Otóż daję ci słowo, że będzie prześliznie! Cioci Hortensyi nie słuchaj, bo ona mówi byleby mi przeczyć.

— Cóż znowu! pięknie mię rekomendujesz siostrzeniczkom, jestem najzgodniejszą z kobiet — nieprawdaż ciociu? — Zapytała, zwracając się do milczącej dotąd jenerałowej.

Zapytana, pokiwała głową, uśmiechnęła się i pukając białym, pulchym paluszkim w złotą tabakierkę — odrzekła:

— Święta rzecz być za zgodą... święta.

— Ale niechże ciocia sama powie — odeszła się pani Emilowa, czy nie mam słuszności?

— Nie wiem — moja Tyniu, nie wiem, to rzeczy światowe, jabym zawsze radziła unikać kolorów... bo jak święcie mówi kanonik...

— Ależ, ciociu! nie będę się przecie radziła kanonika, jak mam ubrać młodą dziewczynę.

— Tyniu! Tyniu! odrzekła ze zgorzeniem ciocia, składając ręce.

— Już, już milczę — kochana cioteczko — przepraszam. Zresztą, ze strojami dam sobie radę. Teraz idzie o co innego. Chciałabym, moje panienki, żebyście przez czas pobytu u nas jak najwięcej skorzystały; czy wy płynnie mówicie po francusku?

— Nie mówimy wcale! — odrzekła wesoło Wanda — nie miałyśmy z kim. Pan Ordega uczył nas tylko czytać.

— Nie mówicie wcale! — ależ to okropnie! trzeba na gwałt zaczynać lekcye konwersacyi; wam to przyjdzie łatwo, bo powinnyście mieć zdolności, — matka wasza mówiła prześlicznie, jak paryżanka. A teraz — jakże z muzyką? uczyłyście się grać?

— Nie miałyśmy nawet fortepianu, wujencko — a zresztą, któżby nas uczył?

Pani Emilowa załamała ręce.

— Ależ na Boga — czegóż was tam uczono! — pisałyście zawsze, że macie czas zajęty nauką... Nie pojmuję naprawdę! cóż to było za dziwactwo ze strony nieboszczyka Stanisława — dodała zwracając się do męża — zagrzebywać panienki na takiej pustyni, gdzie nawet fortepianu brakowało!

Milcząca dotąd Helena czuła się dotkniętą owem wspomnieniem jej ojca.

— Ojciec nasz nie chciał widocznie — odezwała się spokojnie — byśmy się kształciły na ar-

tystki, mieszkając zaś na wsi, nie potrzebowaliśmy nigdy francuskiej konwersacyi.

Pani Emilowa spojrzała z pewnem zdziwieniem na mówiącą i z uprzejmym uśmiechem odrzekła po chwili.

— No, zapewne, moje dziecko — idzie tylko o to, by o ile możności naprawić te braki w waszem wykształceniu, a przeciwko temu, jak sądzę, i babcia Junoszyna nicby nie miała. Chyba wy same się temu sprzeciwiacie. Z muzyką nie ma już rady, ale możecie się uczyć francuzczyzny i — uważałabym za konieczne — lekcye tańców. Jesteście obie zgrabne, łatwo to wam przyjdzie.

— O tak! — odezwał się pan Emil — tańce są konieczne. Ale zapominasz Tyniu jeszcze o jednej rzeczy — obie panienki nasze, a szczególnie Halka, mają głos bardzo miły i dźwięczny, bardzo dźwięczny.

— Czy tak! — nie wiedziałam o tem! A to dobrze — sama was wypróbuję — zobaczymy.

Jenerałowa zaczęła pukać w tabakierkę, co znaczyło, że pragnie przemówić. Słuchano więc.

— Słyszę — odezwała się kiwając głową — o francuzczyźnie, tańcach, śpiewach, a o najważniejszej rzeczy ani słowa. Czy wy, moje dzieci, uczyliście się religii świętej? bo jeżeli nie, to ksiądz kanonik...

— Tak pani — odezwała się Helena — ale pani Emilowa poprawiła ją łagodnie: babciu — nie pani.

— Tak, babciu — religii uczyliśmy się przez trzy lata, pan Ordega wykładał nam także historią kościoła...

— A no to dobrze... bardzo dobrze... czy tylko ten pan Ordega... jest, że tak powiem, człowiekiem, który...

— O może być ciocia spokojną — zapewniał ją pan Emil, — cały dom państwa Junoszków bardzo religijny...

— To dobrze, bardzo dobrze, ale jak mówi ksiądz kanonik — jest religia i religia...

— Ależ kochana ciociu, zakończyła pani Emilowa — nie chciałabym znowu męczyć moich pаниenek zbyt, będą miały dosyć i tak zajęcia...

Jenerałowa pokiwała głową i westchnęła.

W tej chwili dzwonek odezwał się w przedpokoju; wszedł lokaj anonsując hrabiego Korczaka.

— Prosimy, prosimy! — zawołali jednogłośnie pan Emil i jego żona, a gospodarz pośpieszył do drzwi, powitać gościa.

— A! już pan jesteś z powrotem? — przemówił ten, podając panu Emilowi rękę, trochę protekcyjnie. — Małżonek wzorowy — dodał zbliżając się do pani Emilowej, — przypuszczałem,

że go nie tak prędko zobaczymy. Uszanowanie moje pani generałowej... a, panna Hortensya... *charmé de vous voir...*

— Pozwolisz hrabio przedstawić sobie siostrzenice mego męża, panny Junoszanki, — piękne ukrainki, o których niedawno mówiliśmy; — rzekła pani Emilowa.

Hrabia poprawił na nosie złote *pince-nez* i skłonił się dziewczętom, patrząc na nie z uwagą.

— Znałem niegdyś matkę panien — *une charmante personne*, perłę naszych salonów — miło mi poznać teraz córki.

Panny skłoniły się nieco zmięszane; Wanda zwłaszcza, pierwszy raz w życiu widząc żywego hrabiego, przypatrywała mu się uważnie.

Człowiek to był już niemłody, mający lat z pięćdziesiąt, ale poznać to mogło tylko wprawne oko, po twarzy noszącej piętno zużycia, po oczach bez blasku i białych ustach, charakterystycznie skrzywionych. Hrabia trzymał się prosto, ubierał młodo z nadzwyczajną starannością, włosy i wąsy czernił umiejętnie, zęby paryskie olśniewały swą białością, a lekki na policzkach rumieniec mógł dać pewne złudzenie młodości. Idąc, utykał nieco na prawą nogę, ale umiał to tak wytwornie pokrywać, że kalectwo dodawało mu nawet pewnego wdzięku. Hrabia słyszał ze swego znawstwa powabów kobiecych i rasy końskiej.

Zacząła się rozmowa jakaś ogólna, ale gość, mieszając się do niej półsłówkami, przypatrywał się ciągle pięknym ukraïnkom i usiłował wciągnąć je do rozmowy.

Znalazł wreszcie sposobność zbliżenia się do Wandy, kiedy nowoprzybyły gość jakiś odwrócił uwagę powszechną.

— Pani jesteś żywym obrazem matki — przemówił siadając przy niej — im dłużej na panią patrzę, tem żywiej staje mi przed oczami pani Stanisławowa.

— Wszyscy mi to mówią — odrzekła Wanda — i cieszę się bardzo, że tak jest.

— O! ma się pani z czego cieszyć. Podobieństwo uderzające, a matka pani była to osoba bardzo piękna i nadzwyczaj miła... Jakże się Warszawa przedstawia?

— Jestem zachwycona! Nie miałam wprawdzie czasu rozpatrzyć się w niej jeszcze, ale było najmiłszem marzeniem mojem znaleźć się tu, więc jestem szczęśliwa, iż to przyszło do skutku.

— Lubi się pani zapewne bawić? tańczyć — nieprawdaż?

— Przypuszczam, że lubiłabym. Dotychczas nie znam wcale uroku zabaw i balów.

— Czy być może! Ależ, na Boga! czy się panie w klasztorze chowały?

— Tak jak w klasztorze — na pustyni!

— I to jest pierwszy wyjazd pani do miasta?

— Pierwszy od lat ośmiu — dzieckiem jeszcze byłam w Warszawie.

— O! kiedy tak — to rodzina pani i przyjaciele tego domu, do których i ja mam zaszczyt należeć, dołożymy wszystkich starań, żeby paniom pobyt uprzyjemnić, albo też w Warszawie zatrzymać je na długo.

Wanda przejęta zaszczytem, który ją spotykał, rumieniła się, patrzyła na mówiącego oczyma rozjaśnionemi radością — a ta świeżość i wrażliwość dziewczęcia, przy jej trochę onieśmielonym układzie i po parafiańsku skromnej sukience, oddziaływały na starego wielbiciela kobiet magnetycznie. Nie zdarzyło mu się już oddawna spotkać w salonie z takim pączkiem kwiatu wyrosłego na pustyni; z lubością obejmował okiem jej całą postać, włosy blond gładko uczesane, i napawał się dźwiękiem głosu, nacechowanym nieudaną naiwnością. Badawcze oko dojrzało w tem na pustyni chowanem niewiniątka, materiały na lwicę.

Siedziałyby jaknajdłużej zajęty rozmową, gdyby nie pan Emil, który zbliżył się ku niemu i rękę wyciągnął.

— Darujesz mi, hrabio, że cię z damami zostawię, żona obarczyła mię różnemi komisami — idę na miasto.

— A dokąd mianowicie?

— Na Krakowskie.

— Ha, to pójdziemy razem — mam się stawić na słowie u Boucquerella; dziękuję, żeś mi pan przypomniał.

Pożegnawszy się, obaj panowie wyszli z salonu, a hrabia musiał przyrzec gospodyni, że będzie ich teraz często odwiedzał.

— Ha! muszę przyznać — rzekł hrabia, gdy byli już na ulicy — że siostrzeniczki pańskie są ładne — *très gentilles*. Szczególniej starsza — szczególnie! Tyle w niej wdzięku młodości, tyle owej *candeur* dziewczęcej, a przytem nie dzika wcale — wcale, owszem ma odrębny rodzaj kokieteryi wrodzonej, bardzo oryginalny. *Je vous felicite*.

— Ale nie pytasz, hrabio, co musiałem przebyć, żeby te dwa kwiatki przewieźć z pustyni do świata. Dotychczas jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Zresztą ledwo mi się udało uprosić parę zdziecinniałych starców, by pozwolili zabrać wnuczki. Chcąc ich wziąć za serce, łąziłem gdzieś po stepie, objadałem się jakimiś obrzydliwemi pierogami, wstawałem do dnia — coś straszego!

Hrabia się śmiał serdecznie.

— I to wszystko nicby jeszcze nie pomogło, gdyby nie ów szczęśliwy pretekst sukcesyi —

choć sama wiadomość o niej, *imaginez-vous*, przeraziła poczciwych niedołęgów.

— Ale, *à propos!* — rzekł hrabia — liczę na pańską pamięć przy odbiorze sukcesyi, pragnąłbym otrzymać moje kilka tysięcy rubli, bo potrzebuję je właśnie włożyć w pewne przedsięwzięcie. Nie nalegałem dotychczas, znając wasze powikłane interesa, ale teraz, gdy odbierasz pan krocie...

Uśmiechnął się z politowaniem pan Emil.

— *Entre-nous disant*, z owych kroci mało mi co się dostanie. W testamencie tego dziwaka jest punkt wyraźny, że wszystkie jego fundusze, licząc w to już należności w wekslach i rewersach oznaczone, isć mają do podziału na dwie równe części.

— Więc — cóż z tego?

— To niestety, że moich własnych weksli jest tam na 30 tysięcy rubli. Gotówki więc dostanę bardzo mało.

— Bądźcobądź — należność moja będzie bagatelą wobec tego co zostanie...

— Gdyby nie myśleli w ten sposób wszyscy moi dłużnicy, mógłbym istotnie wyjść na swoje — ale hrabia nie jesteś unikatem...

Jakby nie chcąc w tej sprawie przedłużać rozmowy, zamilkł i skinął na przejeżdżającego dorożkarza.

— Wszak jedziemy w jedną stronę? Proszę.

Wsiedli i pojechali na Krakowskie - Przedmieście.

Od tego dnia w domu państwa Emilowstwa zaczęło się życie zdwojone. W dzień odbywały się ciągle lekcye; przychodziła rodowita paryżanka na dwugodzinną z pannami rozmowę; pani Emilowa, która miała niegdyś alt wysoki i teraz jeszcze niekiedy występowała na koncertach Towarzystwa muzycznego, pragnęła koniecznie zachęcić siostrzenice do nauki śpiewu, codzien w tym celu spędzając najmniej godzinę przy fortepianie. Uśmiechały się jej w myśli wieczorki artystyczne, na których mogłaby i sama znaleźć możność popisu i pochłubić się uczennicami. Do śpiewu okazała się potrzebną także znajomość języka włoskiego, a ten podjęła się wykładać kuzynkom panna Hortensya, przeznaczając honorarium na ubogie rodziny, któremi się opiekowała. Nareszcie codzien wieczorem przychodził baletnik, nauczyciel tańca, i odbywała się lekcyaw zamkniętem kółku, do którego z obcych mieli tylko przystęp hrabia i pewien kuzynek pani Emilowej, Dorcio, służący wraz z gospodarzem domu do złożenia dwóch par tańczących. Jeśli dodamy jeszcze, że w przerwach między lekcyami odbywały się często konferencye z modniarkami i przymierzanie sukien — to nie trzeba będzie dowodzić, że dni upływały pracowicie.

Po tygodniu takich studyów, których kosztą pan Emil skrupulatnie wciągał do księgi, by je pokryć następnie z pieniędzy spadkowych, późno, bo już po dwunastej, panienki nasze, w przeznaczonem dla nich pokoju, przygotowywały się do snu. Wanda rozczesywała przed lustrem włosy, usiłując oswoić się z nowym a skomplikowanym ich układem, jaki im wujenka Emilowa despotycznie trochę narzuciła; Helena zaś klęczała przed łóżkiem, modląc się z twarzą w dłoniach ukrytą.

Kilka razy Wanda chciała coś przemówić do siostry, ale widząc, że się modli, zamilkła. Dziwiło ją, że modlitwa przeciąga się nad zwykłą miarę, lecz znając usposobienie Heleny, wrażliwe i fantastyczne, czekała aż się to przedłużone nabożeństwo skończy.

Gdy się tylko tamta podniosła, Wanda ozwała się do niej z zapalem:

— Prawda, Halko, jakie to życie, jaki ruch i wesołość w Warszawie!

— Prawda — ten ruch zawraca mi już w głowie.

— Ale przyznaj, że to jest życie, to dopiero praca. W porównaniu jakież były nudy i próżniactwo w Junoszwce!

— Gdybym mogła — w jednej chwili bym tam wróciła.

W głosie Heleny brzmiał żal tak wyraźny, że Wanda ze zdziwieniem spojrzała jej w oczy i ujrzała, że są zaczerwienione od płaczu.

— Co ci jest, Halko? — czego płaczesz? — zapytała, biorąc ją za rękę.

— Nic! nic mi nie jest. Tęskno tylko i smutno. Zdaje mi się, że gdyby mi tu zawsze żyć kazali, udusiłabym się z braku powietrza.

— Zawsze z ciebie marzycielka! Ja nie pojmuję, jak można nie lubić takiego ruchu, jaki nas tu otacza. Nie możemy się też skarżyć na ludzi — wszyscy nas kochają, wszyscy życzą jak najlepiej. Nawet sama to przyznać musisz, że dużo korzystamy. Metr tańców z podziwieniem mówił dziś wujowi o naszych zdolnościach, za tydzień nie będzie już miał tu co robić. Co do M-le Blanche, chwaliła także nasz akcent francuzki — a nie zaprzeczysz, że z każdym dniem łatwiej nam przychodzi z nią mówić. Wołałabym wprawdzie skwitować z włoszczyzny i cioci Hortensyi, która jest nieznośną ze swoją złośliwością, ale i to się przydać na coś może.

— Nie przeczę, lecz wiem, że każdy dzień upłyniony jedną ma tylko dla mnie przyjemność — przybliżył powrót do Junoszkówki.

Wanda uśmiechnęła się z powątpiewaniem i główką pokręciła.

— Moja droga Halko, nie uwierzysz jak się ucieszę, kiedy powiesz pewnego wieczoru: bardzo mi się Warszawa podoba! A nie zarzekaj się jeszcze, nie byłaś dotąd w teatrze, nie widziałaś baletu, nie znasz prawie miasta; niechno jutro przyniosą nam suknie, zaczniemy jeździć wszędzie — zobaczysz?

— Zobaczę...—odrzekła z uśmiechem Helena.

— Dotychczas nawet znajomości mamy niewiele — zabawny kuzynek Dorcio i hrabia... Wujenka mówi, że jak tylko skończymy lekcye tańców i będziemy miały nowe sukienki, wyda wieczór tańczący, na którym ma być mnóstwo osób... Ale, ale, nigdyśmy jeszcze nie mówiły z sobą o hrabi Korczaku — jak ci się podoba?

— Grzeczny... układny — niewiele mam o nim do powiedzenia.

— Bardzo przyjemny, dystyngowany i nadzwyczaj dla nas ugrzeczniiony.

— Nie lubię tylko, gdy na mnie patrzy — dodała po chwili Helena.—Ma coś w spojrzeniu takiego, co mi robi przykrość i zawstydzia prawie... nie umiem sobie wytłumaczyć czemu.

— A ja nie uważałam tego wcale...

Tak rozmawiając, dziewczęta się porozbierały i Helena pierwsza skoczyła do łóżka, nakrywając się kołdrą. Chciała pójść za jej przykładem

dem Wanda, ale przypomniawszy sobie pacierz wieczorny, uklękła. Modlitwa nie długo trwała.

— Nie śpisz — Halko?

— Nie.

— Uważałaś jak ślicznie leży na mnie ta suknia niebieska? Śliczna! Jak to dobrze, że już jutro będziemy miały wszystkie nowe; w naszych dawnych okropnie wyglądamy. Wujenka ma gust doskonały; żebyś widziała jak ci do twarzy w nowem uczesaniu...

— Mnie się ono nie podoba.

— Nie oswoiłaś się jeszcze, powiadam ei, wyglądasz prześlicznie!

Przez chwilę obie milczały.

— Czy też doszły już do Junoszówki nasze listy? — odezwała się Helena.

— Może — przecież to już blisko dwa tygodnie jak tu jesteśmy a z dziesięć dni jak listy wyprawione.

— Smutno pomyśleć, że to tak daleko...

— Koniec świata!

— Może by mi się Warszawa prędzej podobała, gdyby Junoszówka była bliżej.

— Zapewne! — i jabym chętnie się na to zgodziła... Śpijmy już, blisko pierwsza, a przed południem muszę jeszcze przejrzeć moje opracowanie włoskie... Dobranoc.

— Dobranoc — i Helena zdmuchnęła lampę.

Gdy panienki toczyły z sobą powyższą rozmowę, w sypialni państwa Emilowstwa płonęło także światło. Pani, w koronkowym peniuarze, siedziała przed toaletą, obok niej na krześle, w eleganckim szlafroku pan Emil, zajęty misternym szlifowaniem paznogi.

— Kiedyż na koniec będą te pieniądze? — mówiła pani — tyle wydatków najrozmaitszych, przytem musimy koniecznie wydać wieczór tańczący na otwarcie sezonu jesiennego.

— Lada dzień otrzymam, moja droga; mnie już także obiegają ze wszystkich stron wierzyciele, nawet hrabia dwa razy przypominał swoją należność.

— Potrzeba mu oddać najpierwej.

— Zapewne, ale poderwie mię to mocno. Licząc z procentami, winien mu jestem blisko dziesięć tysięcy rubli...

— To dużo... nie spodziewałam się. Na cóż mu tak gwałtownie potrzeba? — człowiek zamożny...

— Wszedł do spółki akcyjnej i wkłada tam wszystkie kapitały. Znakomity interes, będą mieli zyski olbrzymie. Gdyby mi się udało wziąć w tem udział — stanęlibyśmy świetnie.

— Przecież przez hrabiego zrobić to możesz.

— Tak ci się zdaje. Napomykałem mu kilka razy — udaje że nie rozumie. Zresztą trzeba na to pieniędzy.

— W każdym razie po odebraniu sukcesyi będziesz je miał.

— Żeby się hrabia dał skaptować.

— O niego się nie troszcz, to mój kłopot. Widziałeś jak mu wyraźnie wpadła w oko Wanda, nie mógł się wstrzymać od zachwyków. Przez Wandę zrobię z nim co zechcę; dziewczyna nie w ciemną bita, umie kokietować starego, a pochlebia jej wyraźnie hołd hrabiowski.

— A jeżeli Korczak zakocha się w dziewczynie? — w starym piecu dyabeł pali.

— To i owszem — wtenczas zmięknie jak wosk.

— Tak, ale ja go znam, gotów się domagać jej ręki.

— A cóżby w tem było złego? Człowiek bogaty, hrabia, pięknie wychowany; że niemłody — to bagatela! Gdyby to zrażało Wandę, potrafię jej wyperswadować. A pamiętaj, że jeśli do tego przyszło, wcale inaczej stanąłby stosunek między wami. Jesteś opiekunem sierot, przy wyplacie posagu Wandy mógłbyś uzyskać dla siebie korzyści jaknajwiększe.

— Wiesz co — to wcale dobra myśl!... Czy tylko nie krzyknęliby na nas ludzie...

— Za co? że siostrzenicę wydaliśmy za hrabiego? Jeżeli by co mówili, to tylko przez zazdrość. I kto by tam na to zważał!

— Zapominasz o starych Junoszach...

— O! z nimi przecież żadnej trudności nie będzie. Ludzie prości, parafianie — jakież mogą istotne przeszkody stawiać nam, tobie, który jesteś rodzonym wujem panien? Masz do nich większe prawo niż oni. Zresztą niech tylko Wanda zechce naprawdę — przez nią wszystko się zrobi.

— Gdyby się to udało, możnaby na uspokojenie staruszków Helenę im odesłać. Mają do niej widocznie większe przywiązanie.

— Na Helenę mam inne projekta, chcę ją wyswatać za Fredzia. Niech tylko ten szalapat wróci ze wsi, zaraz zacznę koło tego chodzić. Już pisałam żeby wracał natychmiast. Chłopiec młody, przystojny, z pięknem nazwiskiem i nieubogi. Oboje zrobiliby dobrą partya, bo posag Heleny uratowałby jego Zakluczyńce, a to piękny przecież majątek.

— Fredzia jako męża i poważnego człowieka nie mogę sobie wyobrazić; chociaż twoja myśl niezła.

— Zobaczysz, że się przerobi; czego ciocia generałowa nie mogła na nim wymódz z księdzem kanonikiem — to mnie łatwo pójdzie.

— Ha, i to prawda, że ty moja Tyniu umiesz robić interesa. Tymczasem pora iść spać, jeszcze nie zapomniałem tej sławnej podróży.

V

Ułynął czas owych sześciu tygodni, na które pan Emil wywiózł do Warszawy siostrzenice swoje, a o powrocie do Junoszówki nie było mowy. Wandzie przykrości to nie sprawiało, owszem, z dniem każdym wcielała się ona bardziej w towarzystwo światowe, coraz milej jej było w nowem otoczeniu — salon zdawał się właściwą dla niej atmosferą, do której wróciła, jakby z wygnania. Helena częściej wspominała o dziadku i babce, tęskniła do nich, szły od niej listy co tydzień, ale widoków prędkiego powrotu być nie mogło. Pan Emil utrzymywał, że sprawa odbioru sukcesyi napotyka przeszkody, przewlec się musi, a on przed jej ukończeniem opuścić Warszawy nie może.

Świat nie pozostał bez wpływu i na wierne dziecko pustyni, jakim była Helena; nie mogło być inaczej, przedstawiał się jej bowiem uroczo. Hrabia, codziennym będący gościem w domu pana Emila, wysiłał się na uprzyjemnienie pannom

pobytu w mieście, a działając jakby w znowie z gospodarzami, umiał dopiąć celu. Wykwintny jego ekwipaż, zaprzężony w parę najpiękniejszych w Warszawie koni, codzień był na rozkazy pani Emilowej; jeżdżono do Wilanowa, Wierzbna, Marcelina, Jabłonny, urządzane bywały pikniki i obiadki wystawne, wieczory zaś schodziły w teatrze, na koncertach i zabawach. Nie było czasu na tęsknotę.

Dla dziecka wychowanego na pustyni, mniej miały uroku owe wyprawy zamiejskie, spacer i wycieczki, ale opera, dramat, przemawiały ze sceny do jej wyobraźni i serca z tem większą siłą. Kiedy Wanda, nieumiejąca żadnej piękności znaleźć w stepie, zachwycała się pięknnością natury Wierzbna lub Marcelina, kiedy się unosiła nad zręcznością baletniczek i efektami dekoracyj — Helena zachowywała się obojętnie; lecz na operze i dramacie, gdy Wanda w najważniejszych chwilach była w stanie lornetować krzesła albo łoże, wówczas siostra jej zdawała się tracić całkowicie pamięć rzeczywistości, czerwieniła się i bladła na przemiany, ze sceny płynęły ku niej tajemnicze prądy magnetyczne i przenikały ją do głębi. Napróżno było wtenczas mówić do niej; gdy Wanda zapytała ją o co energicznie, biorąc za rękę, Helena budziła się

jakby ze snu, nierozumiejąc na razie czego chce od niej.

I na pustyni krzewią się w młodych sercach i młodych głowach uczucia i marzenia gorące, które nie mając podstawy realnej błędzą w powietrzu, jakby nić babiego lata w promieniach słońca. Wyobraźnia Heleny i tam już roila jakieś senne, gorączkowe nieco kształty życia, miłości i czynu; teraz, marzenia te znajdowały wcielenie swoje w miłości Romea i Julii, w bohaterstwie Wilhelma Tella, w poświęceniu dla miłości Gildy, córki starego Rigoletta, w nieszczęściu Halki, w nieskończonych odmianach uczuć i namiętności ludzkich w nowoczesnych dramatach i komediach.

Wszystko to oddziaływało na wrażliwą duszę Heleny, rozkosznie jakoś ale rozstrajająco; że zaś państwo Emilowie nie robili wyboru w sztukach scenicznych, zdarzało się też często, że po powrocie z teatru Helena spędzała noc bezsennie, chodziła nazajutrz zamysłona jakaś i smutna, nie mogąc pogodzić w sobie sprzecznych uczuć i wyobrażeń, jakie wiały do niej ze sceny. Jasny, czysty horyzont jej myśli mącił się i zachmurzał, pod wpływem tych niezdrowych owoców, jakie rodzi zwłaszcza dramaturgia francuzka; spotykała się tu na scenie z rzeczami takimi, jakich oko jej nie widziało w Ju-

noszówce nigdy, o jakich tam nikt mówić nawet nie śmiał.

A jednak rzeczy te, tak dziwnie sprzeczne z jej dotychczasowem otoczeniem, przyjmowane były oklaskami, wywoływały już to śmiech wesoły, już to łzy gorące — i ona sama oprzeć się nie mogła silnemu wzruszeniu.

Nie miała z kim podzielić tych różnorodnych myśli i wrażeń; Wanda, pamiętająca dokładnie strój aktorek, mająca dużo do powiedzenia o piękności tego lub owego artysty, lub o dojrzanej śmieszności jakiej — nie zajmowała się wiele główną treścią rzeczy i jak zwykle zrozumieć nie mogła Heleny.

— Moja Halko, kiedy się ty pozbędziesz swojej egzaltacyi! Nie trzeba brać wszystkiego do serca. Gdyby na mnie teatr robił takie rozstrajające wrażenie, nie chodziłabym do niego wcale! Powinniśmy częściej bywać na balecie...

— Balet mnie nudzi.

— No widzisz! — trudno ci dogodzić. Poznałaś tyle młodzieży, żaden cię nie zachwycił, a przecież bywa u nas młodzież najlepszego towarzystwa. Pan Alfred jest w tobie zakochany, a ty uwagi nawet na niego nie zwracasz.

— Pan Alfred! — Helena ruszyła ramionami.

— Nie podoba ci się? — Wiesz, że miałabyś zasługę przed Bogiem, gdybyś za niego wyszła.

Słyszałam, że jest to najlepszy w gruncie chłopiec, chociaż hulaka i utracysz. Wujenka mówiła, że z takich najlepsi bywają mężowie. Zresztą, chociaż on majątek swój mocno podobno obdłużył, ciocia generałowa ma jeszcze kapitały...

— Cóż to mnie obchodzi? — zapytała ze zdziwieniem Helena.—Nie mam zamiaru być jego żoną.

— Ależ czemu? czemu? Nosi piękne nazwisko, jest młody, przystojny, nieubogi — o cóż ci idzie?

— Nie kocham go i nie mam za co szanować, a nie pojmuję jak można wychodzić zamaż bez miłości i bez szacunku.

— No, zapewne — odrzekła Wanda — ale zdaje mi się, że ty marzysz o takiej książkowej, dramatycznej miłości, jakiej w życiu nie ma. Poco się ludzić!

Wanda powtarzała dosłownie prawie wyrazy wujenki Emilowej, która postanowiła wydać Helenę za kuzynka Fredzia.

— Być może — odparła Helena — wiem tylko, że jeżeli kiedy wyjdę zamaż, to za człowieka którego pokocham.

— To dobrze, ale będąc tak wymagającą możesz nie znaleźć takiego.

— To nie wyjdę za nikogo. Wiesz jak kocham dziadka i babcię, jak przywiązałam się do Junoszkówki, zostanę tam z przyjemnością.

— Tak ci się zdaje!

Rozmowy dwóch siostr, tak różnych od siebie, zazwyczaj się podobnie kończyły. Teraz trudniej niż kiedykolwiek było porozumieć się im nawzajem, gdyż Wanda zostawała pod wpływem wujenki Emilowej, babci jenerałowej i cioci Hortensyi, podczas gdy Helena, prowadząc częstą korespondencyę z Junoszkówką, ku niej zwracała się myślą i sercem.

Co tydzień, czasem i częściej, szły listy na Ukrainę, w których zapisywany był skrupulatnie każdy prawie szczegół nowego życia dziewcząt naszych, gdyż Wanda opisywała zabawy, wycieczki i rozrywki wszelkiego rodzaju, słowem — całą stronę życia tego zewnętrzną, Helena zaś przelewała na papier wrażenia swoje, bezwiednie prawie spowiadając się ze stanu swej duszy.

W natłoku zajęć przeróżnych trudno było o chwilkę zupełnie swobodną do korespondencyi, listy więc stawały się coraz rzadsze, zwłaszcza listy Wandy, która wyczerpawszy zapas nowości, nie wiedziała już o czym pisać. Listy Heleny wciąż jeszcze długie i jednakowo gorące, kończyły się zwykle tak: „Tęskno mi do Was bardzo, najdrożsi moi. Wszystko co mię

otacza zadowolnić zupełnie nie może, w każdej chwili chciałabym się znaleźć przy Was, na naszej ukochanej pustyni, która śni mi się często, a budząc się żałuję, że to był sen tylko...“

Państwo Emilowie przypisywali się niekiedy, oswajając staruszków z myślą, że jeszcze nie prędko zobaczą swoje wnuczki, oraz zapewniając ich o wielkich korzyściach, jakie one z pobytu w Warszawie odnoszą.

Po rozpoczęciu jesiennego sezonu daniem wieczoru tańczącego, w domu państwa Emilów odbywały się częste zabawy, na których gromadziło się dużo osób, a szczególnie młodzieży, znęconej wieścią o posażnych ukrajkach — jak mówiono: dziko na stepie wychowanych.

Niejeden z kawalerów szedł na wieczór w tem przekonaniu, że będzie miał jedynie kłopot w wyborze tych *gąsek* prowincjonalnych, nie wątpiąc, że przed taktyką donżuaneryi warszawskiej nie ostoją się ani na chwilę. Ale oczekiwania zostawały zawiedzione: Wanda okazała się nadspodziewanie zbrojną w pewną przebiegłość i złośliwość nawet, rażącą zaufanych w sobie tryumfatorów, Helena zaś nudziła się najwyraźniej mniemaniami dowcipami i konwencyonalną rozmową, a niejednokrotnie niespodzianem zapytaniem w kwestiach poważniejszych zbijała z tropu doświadczonych w choreografii i podbijaniu serc fatygantów salonowych.

W rocznicę ślubu państwa Emilów zapowiedziany został wielki bal, z muzyką Lewandowskiego, wielką kolacją, z sarniną, szampanem, z wielką piramidą cukrową i t. p.

Gdy przyszedł ów dzień oczekiwany, w salonie państwa Emilów, pięknie przystrojonym, pojawił się najpierwszy, o godzinie dziesiątej wieczorem, pan Alfred (powszechnie zwany Fredzio), syn jenerałowej, kuzynek gospodyni, uproszony przez nią na wice-gospodarza i kierownika tańców, którą to godność piastował Fredzio na wszystkich prawie wieczorach tańczących.

Przybył tedy lew salonu w całym swym majestacie: ze starannie upomadowaną i na dość nizkie czoło naczesałą grzywką, z resztą włosów najstaranniej rozdzieloną pośrodku głowy. Miał szkiełko w jednym oku, frak od Chabou, koszulę ze sztywnym gorsem i bardzo nisko wyciętym kołnierzykiem, który pozwalał oglądać ciekawemu oku łabędzią szyję kawalera, aż do miejsca jej połączenia z piersią, zbudowaną na wzór krawca, tylko nie Fidyasza, jak chce Słowacki. W salonie nie było jeszcze nikogo. Fredzio rzucił okiem znawcy wokoło, zrobił kilka obrotów walca dla wypróbowania posadzki, przyjrzał się sobie od stóp do głowy w lustrze, musnął ręką wąskie po obu stronach policzków faworytki i kazał lokajowi podać srebrną tacę

dla rozłożenia na niej przygotowanych orderów kotylnonowych.

Po chwili pokazała się gospodyni, której rękę na powitanie młody lew do ust swych podniósł, z ironicznym nieco okrzykiem.

— *Toujours comme une rose!*

Uderzyła go za to wachlarzem po rękę.

Fredzio o tyle się tylko pomylił, że pani Emilowa nie zawsze wyglądała jak róża; bywały dni, w których niedyskretne zmarszczki, owe hieroglificzne pismo lat ubiegłych, występowały wyraźnie, zdradzając okres więdnięcia róż i nadchodzącej jesieni.

Ale dziś, przy świetle kandelabrow i lamp, w pięknym stroju balowym, misternie podnoszącym wdzięki, pani Ernestyna z Korwinów Kostrobackich wyglądała jeszcze pięknie i młodo. Ciemne jej oczy miały dużo blasku, rumiane usta składały się do żywego uśmiechu, biała płeć, upiększona jeszcze umiejętnie sztuką, odbijała dość efektownie od ciemnych włosów, nader starannie upiętych i kameliami ozdobionych.

Pani Ernestyna oparła rękę na ramieniu kuzynka i zaczęli przechadzać się po salonie.

— Mam do ciebie słówko, mój Fredziu; wiedz o tem, że bal dzisiejszy zaimprovizowałam wyłącznie dla ciebie.

— Czy być może! — kuzynka tak łaskawa...

— Tak, *mon cher*, ale pamiętaj, że reszta od ciebie zależy, powinienesz stanowczo oświadczyć się Helenie.

— Ach! *chère cousine*, głowa mię już boli od tego wszystkiego; matka od tygodnia o niczem innem ze mną nie mówi, a dziś wymogła na mnie słowo, że się oświadczę.

— Bardzo słusznie — nie można się z tem ociągać, dziewczyna posażna, ładna, lada chwila kto ją nam sprzątnie. A znam ją już z tej strony, że samowolną jest; w razie gdybyśmy się spóźnili, na nicby się nie zdały nasze perswazye i namowy. Dotychczas serce ma wolne...

— Ach! to serce! — żartobliwie westchnął Fredzio — z tem najtrudniejsza sprawa, nie wiem sam czy trzeba wzdychać, czy modlić się do niego, dotychczas okazuje mi najzupełniejszą obojętność. Gdy się wysadzę na koncept, od którego inne umierały od śmiechu — ona ledwo się uśmiechnie; o czemkolwiek mówić zacznę — widzę, że ją to nudzi; sam nie wiem z jakiej beczki zaczynać, nawet taniec nie robi na niej wielkiego wrażenia... Gdym ją raz, tańcząc walca, mocniej przycisnął, wyrwała mi się i wyszła z sali! Nigdy mi się jeszcze coś podobnego nie zdarzyło.

— To nic, to nic — nie trzeba zapominać, że jest chowana na pustyni, dzika trochę. To i owszem.

— Gdzie tam — kuzynko! Znam gąski prowincjonalne i zastosowałem tu już wszystkie środki podbijające tam serca. Wszystko napróżno!

— Nie pozostaje więc nic innego jak się oświadczyć; wtenczas my wszyscy będziemy mogli wdać się w tę sprawę i poprzeć ciebie. Choćby się nawet wzbraniała z początku — jakoś to się zrobi.

— To samo powtarza mi codziennie matka.

— I bardzo słusznie. Tymczasem zacznij od zapewnienia sobie tańców. Panienki! panienki! — zaczęła wołać pani Ernestyna — jeżeliście już gotowe, chodźcie!

Po chwili Wanda i Helena pojawiły się na wołanie, obie piękne, ale tak inaczej niż dawniej wyglądające, że w Junoszówce nie poznano by ich wcale. Nie były to już owe młode panienki w krótkich sukienkach, z włosami skromnie uczesanymi, za całą ozdobę stroju mające żywy kwiatek we włosach lub kolorową wstążeczkę u szyi; — teraz wchodziły do salonu uroczę panny na wydaniu, piękne, strojne, w sukniach jedwabnych z oponami, ubranych w kwiaty i koronki, dekolowanych, tak niepodobne do owych dziewczątek z Junoszówki, jak niepodobny jest bukiet ułożony przez miejskiego ogrodnika do wiązanki kwiatów zebranych na stepie.

Fredzio witać je zaczął i zamawiać do tańców, tymczasem odezwał się dzwonek w przedpokoju, po nim drugi, trzeci, goście przybywali, przyjmowani u progu salonu przez gospodarzy. Towarzystwo było wykwintne, panie w sukniach balowych, młodzież jak z żurnalu mody wycięta, prawdziwa *złota młodzież* warszawska.

Wkrótce też, umieszczona w pokoju sąsiednim muzyka zabrzmiała walca i liczne pary puściły się w tany.

Obie panny nasze odznaczały się wśród innych zręcznością i lekkością w tańcu, procesyonalnie też ciągnęła ku nim młodzież i na chwilę spocząć im nie dawała.

Było już po jedenastej a hrabia jeszcze się w salonie nie pokazał. Dziwiło to panią Ernestynę i niepokoiło trochę, bo uważając się za przyjaciela tego domu, zwykł był przychodzić wcześniej, miała jednak nadzieję, że nie zaniedba uświetnić swą obecnością zgromadzenia, które składało się wprawdzie z ludzi „dobrze wychowanych“ ale nietytułowanych. Jeden bodaj hrabia potrzebny był koniecznie przy szampanie i lodach.

Wierny zobowiązaniom swoim, Fredzio asystował zawzięcie Helenie, może też i jaka struna serdeczna odezwała się w nim, na widok tyłu wdzięków.

Helena wyglądała przesłicznie: słuszną, kształtną, urokiem siły i zdrowia górowała nad wybladłymi towarzyszkami, a miała przytem płeć białą bardzo, układ zręczny i pełen ujmującej prostoty, wreszcie pełne głębokiego wyrazu oczy, myślące i wymowne, w których zarówno mgły zadumy, jak i promienie wesołości odbijały się natchniamiast, niby w czystym zwierciadle.

— Czy pani nie przestała jeszcze tęsknić do wsi? — zapytał ją w kontredansie Alfred.

— Nie, i wątpię czy to kiedy nastąpić może. Życie miejskie nie daje mi tego spokoju, do jakiego przywykłam.

— A czyż sama różnaitość i werwa naszego życia nie zdoła zastąpić pani uroku ciszy wiejskiej? Czy być może, by się one pani wcale nie uśmiechały?

— Nie przeczę, że czasem znajduję i w tem upodobanie, ale to tylko chwilowo. Życie ciągle tym gwarem i weselem, dosyć bezmyślnem, nie można.

— Mówi pani tak dlatego, że brak jej podstawy w tem życiu; gdyby serce pani przywiązało się do kogoś w mieście, poszłoby za niem i upodobanie.

— Może — nie doświadczyłam tego.
Fredzio westchnął.

— Jakichby potrzeba warunków — zapytał — by serce pani do siebie przywiązać?

Helena się uśmiechnęła.

— Dziwne pytanie! Zdaje mi się, że uczucie podobne przychodzi samo przez się i bezwiednie.

— A gdyby kto nie potrafił wzbudzić go w pani odrazu, czy nie byłoby już dla niego nadziei?

— Mówi pan językiem, którego ja nie rozumiem — odparła z prostotą.

— Więc się wytłumaczę. Gdyby kto kochał panią i starał się o zjednanie sobie nawzajem serca, w jaki sposób mógłby je pozyskać? Znam kogoś, kogo to bardzo obchodzi... dałby on za to bardzo wiele, abys pani tęsknić do wsi przestała...

— Cóż komu na tem zależeć może!

— Temu o kim mówię zależy bardzo, wiem nawet, że byłby zdolnym ze wsią się pogodzić, gdyby już nie mógł przywiązać pani do miasta.

Helena bawiła się wachlarzem, nie zdradzając żadnego zainteresowania się rozmową.

— Pani nawet nie jest ciekawą, o kim mówię?

Ona, jakby nie słysząc wcale co do niej mówił, tańczyła obojętnie, a przerwy powodowane tańcem ułatwiały jej milczenie.

Ale rozgrzany tą obojętnością Fredzio, przyzwyczajony dotychczas do łatwych zwycięstw, nie dawał za wygraną.

— Ponieważ pani nie pyta o kim mówię, więc sam powiem. Człowiekiem, który znalazł się prawie do miejskiego bruku, zdecydowałby się najchętniej osiąść na wsi, byle obok pani — jestem ja sam.

— Pan?! — zapytała z wesołym śmiechem Helena — pan? Tak się panu zdaje; ja kocham wieś, ale my mamy zupełnie różne gusta.

— Tak, pani, ale i gusta się zmieniają pod wpływem okoliczności. Natura wydaje się nam stokroć piękniejszą w promieniach słońca. Gdyby słońce takie oświecało mi ukochany step pani, mógłbym się i w nim rozmiłować — czuję to.

— Cóż pan rozumie przez to słońce?

— Miłość — odrzekł Alfred, dość jak na złotego młodzieńca gorąco. — Miłość pani. Pani tak wytrwale odpycha możliwość porozumienia się naszego, że muszę mówić otwarcie: kocham panią!

Helena spoważniała, szczerzy ton tych słów młodzieńca oddział na nią nagle, była nieco znięszaną, jakby oświadczyły te przyszły niespodziewanie.

— Myślałam dotychczas, że pan żartuje — przemówiła poważnie — widzę, że się omyliłam.

Nie śmiałabym lekceważyć czyjegobądź przywiązania, ale pozostajmy z sobą tak, jak byliśmy dotychczas. Ja panu życzę jak najlepiej, jestem dla niego z przyjaźnią, wiem że to nie wystarcza babci generałowej i wujence, ale nam niech wystarczy!

I podała mu rękę tak jakoś serdecznie i uprzejmie, że młodzieniec gniewać się nie śmiał. Szczerze i pocziwe znalezienie się dziewczęcia, tak różne od tego z czem się w świecie spotykał, oddziałało nań dziwnie; jeżeli przed godziną jeszcze mógł obojętnie mówić o ułożonym przez matkę projekcie, teraz czuł się rozgrzanym i wzruszonym.

Wołano nań z różnych stron, musiał odejść, Helena została smutna i podrażniona.

Po raz pierwszy w życiu usłyszała wyznanie miłosne, ale w jakich warunkach, jak dalekiem to było od tego, o czem marzyła. Czyż Alfred powiedział: *kocham panią* z tem przejęciem się serdecznem, z wyrazem, któryby mówił, że od jej odpowiedzi jego szczęście zawisło? z drżeniem w głosie, świadczącym, iż głos ten płynie z serca? Bynajmniej! jego matka i rodzina cała życzyły sobie tego związku — on więc okazał im posłuszeństwo.

Nigdy Helena głębiej nie uczuła niechęci do świata jak teraz, za to, że świat tak bezdusznie

igrał z najważniejszymi potrzebami serca. Do Fredzia nie czuła żalu, ani też doznała obrazy — cóż on ją zresztą mógł obchodzić. Zdziwiła się nawet tą odrobiną uczucia, na jakie się zdobył, i dlatego dała mu odpowiedź serdeczną.

Podczas gdy siedziała tak zadumana, z bolesnem uczuciem niesmaku i spotęgowaną znowu tęsknotą w sercu, oczy jej zatrzymały się na wchodzących w tej chwili do salonu gościach. Przybył hrabia, a z nim nieznamy jakiś, który przykuł do siebie uwagę Heleny.

Wysoki blondyn, z dużemi czarnemi oczami, zarówno z urody jak postaci i układu musiał zwrócić na siebie oczy całego towarzystwa. Z pozorów wyglądał na artystę, długie obfite włosy, w pięknych liniach spływające w około twarzy, oczy pełne ognia, nos orli, wąsy i bródka małe, jak u Van Dycka, wszystko to nadawało mu cechę człowieka poświęcającego się której ze sztuk pięknych, o ile typ podobny ustalił się w pojęciu ogółu.

Ów piękny nieznamy nie był obcym towarzystwu, niektórzy z obecnych witali go jak kogoś, co po dłuższej niebytności powraca do miasta, w którym mieszkał dawniej. Hrabia przedstawił go Wandzie i nim Helena się obudziła z jakiejś mimowolnej zadumy, w którą ją widok

nowego gościa wprowadził, zbliżyli się obaj do niej. Korczak wymówił nazwisko:

— Krewny mój — Ludomir Oporowski.

Helena podniosła oczy i spotkała się ze zwróconem na nią spojrzeniem młodzieńca. Śmiała zazwyczaj i obojętna na przedstawienia podobne, zarumieniła się zlekka, pod wpływem błyszczących oczu pana Ludomira. Słyszała o nim trochę, jako o człowieku słynnym z piękności, różnorodnych talentów artystycznych i pełnego przygód dziwacznych życia; wiedziała, że bawił we Włoszech, czy w południowej Francyi, z żoną suchotnicą.

Niedługo dano jej kombinować wiadomości, jakie posiadała o krewnym hrabiego: muzyka grała właśnie mazura, porwano ją w wir tańca. Ilekroć jednak przebiegając po salonie, zwróciła oczy w stronę gdzie stał Oporowski, spotykali się z sobą spojrzeniem, jakby jakaś siła magnetyczna pociągała ich do siebie.

Zdarzyło się, że gdy Fredzio, dyrygujący tańcami, zawołał: *Rond des dames!* Helena znalazła się obok siostry.

— Jakże ci się podoba Oporowski? — prawda, że piękny? Zapytała Wanda półgłosem. Pochował żonę i wrócił do Warszawy. Pilnuj swego serca!

Helena nic nie odrzekła; zrozumiała teraz dlaczego piękny blondyn nie tańczy i dlaczego oczy jego patrzyły tak smutno. W sercu jej odezwało się żywe współczucie dla nieszczęśliwego, nie wątpiła bowiem, że był nieszczęśliwym.

Mazur ciągnął się długo, gdy wreszcie tancerz odprowadził ją, po skończeniu, na miejsce pod oknem, ujrzała przy sobie tego, który tak dziwnie pociągał jej myśl i oczy.

Usiadł przy niej i dźwięcznym męzkim głosem odezwał się:

— Uważałem, że mazur nie działa na panią tak upajająco jak na innych. Czy spostrzeżenie moje słuszne?

— Owszem, panie, przekładam taniec ten nad inne, ale w ogóle nie jestem zapaloną tancerznicą.

— To dziwne; jak mi mówiono, jest pani mieszkanką wsi, a nigdzie się tak ochoczo jak na wsi nie bawią.

— Mieszkamy nie na wsi, ale — jak wuj Emil powiada, na pustyni, więc w domu nie tańczyłam wcale.

— I jakże się pani wydaje świat z jego ruchem, życiem i wesołością? Czyś się pani już z nim pogodziła.

— Niezupełnie — męczy mię trochę i rozstraja.

— Dziwnym trafem znajduję w pani odbicie własnego usposobienia. Sądzę, że świat wielki, z jego życiem gorączkowym, gwałtownym, pociągając może do siebie tylko natury lekkie, powierzchniowe. Kto w życie patrzy głębiej, temu chaos i zgiełk nie mogą być mile; zdawałoby się, że zagłuszają w nas tętno serca i tłumią tajemną mowę duszy. W ciszy, zdala od gwaru, jesteśmy sobą, tu panuje nad nami otoczenie i narzuca nam swoje prawa.

W ten sposób zaczęta rozmowa przeciągnęła się dłużej, gdyż Helena odmawiała zbliżającym się ku niej tancerzom, tłumacząc się zmęczeniem wielkiem. Nareszcie otworzono szeroko drzwi do sali jadalnej i pary zaczęły iść na kolację. Oporowski podał ramię swej towarzyszce; poszli razem za innymi, gdzie zastawione wspinały się niemal pod ciężarem wytwornej porcelany i srebra, z herbem Korczak i literami gospodyni.

Pani Emilowa szepnęła przechodzącemu Fredziowi:

— Czemuś odstąpił Heleny?

— Dałem za wygraną — odmówiła mi stanowczo.

— Ależ to być nie może! Muszę się z nią zaraz rozmówić — nie trzeba opuszczać rąk...

— Na wszystko proszę, kuzynko — daj pokój, pośrednictwo nie zda się na nic, jestem przekonany. To nie dziecko...

— Lecz cóż znowu z tobą się stało! nie poznaję cię!

— Potem o tem — kuzynko — urwał Fredzio, odchodząc do gości, przy których grał rolę wice-gospodarza.

Tymczasem Oporowski, siedząc przy Helenie, prowadził z nią w dalszym ciągu rozmowę. Przedmiotem jej była sztuka; mówiono o muzyce i o malarstwie, okazało się, że znał Ukrainę, zachwycał się pięknnością stepu i urokiem melodj ludowych. Zajęli się sobą oboje tak, że nie mogło to ujść uwagi kogoś, kto na nich patrzył.

— Artysta zajął siostrę pani wyraźnie — rzekł hrabia do Wandy, obserwując młodą parę z drugiego końca stołu.

— Wcale się temu nie dziwię — ona ma usposobienie tak poetyczne, sztuki piękne wywierają na nią wpływ wielki.

— Czyż pani nie podziela w tym względzie gustów siostry?

— Owszem, lubię sztukę, ale nie umiem brać jej tak do serca, jak Helena.

— Więc artyści nie są dla pani niebezpieczni?

— Nie znam niebezpieczeństwa tego rodza-

ju! — odparła śmiejąc się wesoło; wszakże uchodzę za najprozaicniejszą istotę w świecie.

— Czy w przekonaniu panny Heleny?

— Może nie tylko w jej samej...

Gwar ogólnej rozmowy przytłumił odpowiedź hrabiego, zresztą zachowanie się jego zwracało nań uwagę towarzystwa. Mówiono, że się stara o Wandę, skąd płynęły przeróżne o tem zdania.

— Mógłby być jej ojcem.

— A cóż to szkodzi! W starym piecu dyabeł pali.

— Panna zrobi świetną karierę.

— Ha! i on też na tem nie straci.

— Prowincjonalne gąski mają szczególne szczęście do naszych panów; — mówiła jakaś podstarzała panna.

— Różne są gusta! — odrzekła druga — dla różnaitości trzeba i takich *sauvegeons!*

— Oporowski pozbył się nareszcie żony suchotnicy, więc mu się taki obraz zdrowia podoba.

— Zlitował się Bóg nad męczennicą i powołał ją do swej chwały!

— Czy mu co jeszcze zostało?

— Długi, w których siedzi po uszy. Cały wielki posąg żony stracił na baletnice i karty, a w dodatku obchodził się z nią jaknajgorzej.

— Biedna kobieta! znałam ją jeszcze panną — kochała go do szaleństwa, odrzuciła dla niego

najświetniejsze partye! Że też my nigdy nie potrafimy ocenić należycie podobnych lwów jak Oporowski, zawsze gotowe się znaleźć dla nich nowe ofiary!

W innej stronie kółko mężczyzn mówiło o tym samym przedmiocie.

— Kobiety nasze zaczną znowu szaleć za Oporowskim, uważajcie tylko, jak się przysiadł do Junoszanki.

— Cóż chcesz, wydobył się na swobodę, więc z niej korzysta. A panna ładna i posażna.

— A i to ma swoje znaczenie, że na dzisiejszy wieczór hrabia go tu sprowadził. Sam poluje na jedną, kuzynkowi podsuwa drugę.

— I Fredzio pójdzie z kwitkiem, a mówiono prawie na pewne, że się stara.

— Fredzio się stara? Dajcie mu pokój; ukartowały to mama, ciocie i babcie; Emilowstwo sprowadzili tu ukrainki swoje nie bez kozery.

Takie rozmowy dawały się słyszeć w ogólnym gwarze. Bawiono się wesoło, kucharz znalazł uznanie, wino było dobre, gospodarze uprzejmi i o wszystkich pamiętający.

Dwóch złotych młodzieńców podzieliło się z tego powodu następującymi uwagami:

— Ty! — czy wiesz, że kolacya wcale niezła, wcale niezła, zawsze byłem tego zdania, że to miły dom tych Emilowstwa.

— Tak, i to dobrze, że sukcesya przyszła w porę. Emilek siedzi w interesach po uszy, gdyby się prezes nie znalazł tak przyzwoicie — byłoby już po kolacyjkach. *Parbleu!* niezła to wcale instytucya — sukcesya, wygodniejsza niż posag.

— Ale, ale -- opłaciłoby się może wziąć się do tych ukrainek, jak myślisz?

— Rzecz niezła, ale fatygująca. Ja tam kwituję. Nie opłaci się, przy takim zwłaszcza opiekunie jak Emil. Kto wie jakby cię on z posagiem wykierował.

— Tak myślisz? — to kłaniam uniżenie!

— Fredzio dostał od kosza.

— E??

— Słowo honoru!

— No, to szkoda, przyrzekł bibkę.

— Nic nie znaczy! musi urządzić bibkę na pocieszenie. Już ja to na nim wymogę...

Ochocza zabawa przeciągnęła się prawie do świtu. Helena wróciła do swego pokoju milcząca i rozmarzona. Napróżno Wanda chciała ją nakłonić do jakiego wyznania, zbyła ją ni tem ni owem.

-- O! źle, pomyślała sobie Wanda; kiedy się tai, widać że ma z czem. Długo na nas czekać będą w Junoszówce!

VI.

W Junoszówce dni schodziły smutno; dwór sposepniał po wyjeździe panien i wyglądał potrosze niby klatka osamotniona, z której śpiewające ptaszki odleciały.

Z początku staruszkowie pocieszali się myślą, że rozłączenie potrwa niedługo, pan Junosza zrobił kredą na ramie okna czterdzieści pięć kressek i co dzień ścierał jedną, ciesząc się, że jest już bliżej do końca owych sześciu tygodni.

Ale wszystkie kreski zostały starte, minęła jesień i zima przyszła nareszcie, a panny do Junoszówki nie wracały, a co gorsza i nadzieja przedkiego powrotu słabła.

Państwo Emilowstwo okazywali niezmierną zrzeczność w wymijaniu stanowczych odpowiedzi i obietnic, oraz w wyszukiwaniu powodów zwłoki. Umiano zachować wszelkie pozory względów, należnych obojgu staruszkom. Zdawało się, że na pierwsze słowo zażądania z ich strony, panny gotowe są przyjechać do Junoszówki,

a z tem wszystkim pan Emil i jego żona umieli tak zręcznie przedstawić korzyści z pobytu Wandy i Heleny w Warszawie wynikające, że nie tylko państwo Junoszowie ale i od nich ostrożniejszy, a podejrzliwy Ordega musiał się na to zgodzić.

— Ha! mówił Ordega — wolalbym, żeby do tego wyjazdu wcale było nie przyszło, ale skoro się już tak stało, niechże przynajmniej skorzystają z tego; kto wie co się w przyszłości stać może i czy której z pańien naszych nie wypadnie zamieszkać w mieście, boć przecież w Junoszówce im nie wiekować. I ta francuzczyzna, i tańce przydać się mogą. Zaczynać od tego niema sensu, ale na tem skończyć — nie zaszkodzi.

Najwięcej jednak cierpiała pani Junoszyna; każdy list nowy od wnuczek był przez nią oczekiwany z upragnieniem, z ukrytą nadzieją w sercu, że oznajmi blizki powrót do ich domu. Po doznanym zawodzie, staruszka ze łzą w oku chowała pismo do szufladki, między pamiątki najdroższe, i znowu żyła nadzieją, do przyścia następnej poczty.

Oprócz tęsknoty inna jeszcze okoliczność przyczyniała jej niepokoju i zmartwienia: Edward Ordega, który miał wprost z Kijowa udać się do Warszawy, pojechał niespodziewanie zagranicę. Jeden z jego profesorów polecił go, jako

towarzysza, zamożnemu obywatelowi M., udającemu się do Paryża, w celu poddania się operacyi. Chory poszukiwał młodego lekarza, któryby z nim chciał odbyć tę podróż. Była to dla Edwarda wyborna sposobność rozejrzenia się trochę po świecie, połączona z korzyścią materialną a zarazem i naukową, o ile zwiedzić mógł kliniki i zakłady lecznicze w Paryżu i przypatrzyć się różnym wynalazkom w dziedzinie tej umiejętności.

Nie mógł też Ordega odrzucić tak ponętnej okazji, chociaż serce ciągnęło go do Warszawy, gdzie była ukochana przezeń Helena.

Staruszka marząca o połączeniu tej pary, drżała na myśl, że kto inny posiąść może serce pieśczołki. Z nie mniejszą niecierpliwością oczekiwała listów z Paryża jak i z Warszawy, chcąc się jaknajprędziej dowiedzieć o powrocie do kraju Edwarda. Listy nie były częste.

„Mam tu bardzo wiele zajęcia — pisał w jednym z nich Ordega, — chory mój, po operacyi, musi kilka tygodni odsiedzieć w pokoju, trudno mi go odstąpić, a nawet korespondować mogę nocami tylko, by go w dzień nie pozbawiać mego towarzystwa. Kiedy zaś sam wyprawia mię do miasta, zwiedzam szpitale i laboratoria, a tyle tu ciekawych i ważnych dla mnie rzeczy, że radbym i chwili jednej nie stracić.

„Poznałem też tu trochę polaków między lekarzami, a także między chorymi, witają mię serdecznie i dużo doznaję od nich dobrego. Między innymi poznałem jedną bardzo nieszczęśliwą osobę, która budzi we mnie najżywsze współczucie: jest to niejaka pani Oporowska, nie wiem z jakich stron pochodząca, ale tak nielitościwie porzucona na obczyźnie w biedzie ostatecznej i ciężkiej chorobie, taka samotna w nieszczęściu, że gdybym mógł rozporządzać moim czasem, starałbym się przede wszystkim o ulżenie jej ostatnich chwil życia. Oddawna rozwinięte suchoty skrócą prędko to życie nieszczęśliwe, ale co to jest umierać na obczyźnie, zdala od swoich — teraz dopiero rozumiem.

„Lekarz — francuz, który ją w szpitalu dogląda, nie umiał mi nic szczegółowiej o niej powiedzieć; sama unika rozmowy o sobie i o swej przeszłości. Wiem tylko tyle, że była piękną, bogatą, że ma rodzinę gdzieś daleko... dziś zostaje prawie na łasce szpitala.

„Smutne są losy ludzkie i potworne bywają smać serca!“

Pani Junoszyna spłakała się nad tym ustępem listu, a odwrotną pocztą przesłała Edwardowi pieniędzy trochę dla opłacenia jakich wygód tej nieszczęśliwej i mały szkaplerzyk z obrazkiem Matki Boskiej Berdyczowskiej, który poleciała jej

wręczyć, jak *od matki*. Odtąd też w modlitwach wieczornych nie zapomniała nigdy westchnąć na intencją owej opuszczonej.

Jeżeli w lecie cicho i pusto bywało w Junoszówce, w zimie stawała się ona tak zapadłym kątem, że i żywa dusza się w niej nie pojawiła. Kiedy śnieg pozasypywał drogi, trudno było nawet i do miasteczka wyprawić kogo, na pocztę, czasami też i dwa tygodnie upłynęło bez żadnej wieści ze świata, gdyż staruszkowie nie odważali się wyprawić posłańca, który mógłby się zbłąkać i zmarznąć w stepie. A kiedy już niepokój zbyt mocno czuć się dawał i drogi jako tako przetarte pozwalały na wyprawienie po nich człowieka, trzeba było widzieć, jak staruszka po macierzyńsku chodziła koło tego posłańca, jak sama zaopatrywała w prowizyą i wódkę, by go niejako przeprosić za to, że jedzie.

Tymczasem, w miarę zbliżania się świąt Bożego Narodzenia, zima srożyła się coraz bardziej, zamiecie bywały coraz częstsze, pani Junoszyna ze strachem przewidywała, że dziewczęta na święta nie wrócą, chociaż to obiecywano ciągle na uspokojenie dziadków.

Myśl ta była bardzo bolesną; jakże smutne, sieroce będą owe święta, po raz pierwszy od lat tylu we troje tylko spędzane! Ale — co począć! Pocieszała się trochę staruszka myślą, że może przecie nadjadą.

Oczekiwanie zawiodło. Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia — panny zostały w Warszawie.

Przez cały ten dzień staruszkowie byli w niezwykłym ruchu, wynajdywali sobie najrozmaitsze zajęcia, by się oderwać od myśli, która ich przejmowała boleścią, nie wspominali o nieobecnych, okłamując siebie nawzajem, że są spokojni. Na nic się to nie zdało! Gdy przyszło zasiąść do stołu wigilijnego, po zablýsnięciu pierwszej gwiazdy na niebie, gdy się zeszli we troje w izbie stołowej i pani Junoszyna zbliżyła się do męża z opłatkiem w ręku, splakali się wszyscy, i nie prędko można się było wziąć do jedzenia. Klucznica, pisarz dworski i parę jeszcze domowników, co przy tym samym stole zasiedli staropolskim zwyczajem, nie przyczyniali się też do rozweselenia towarzystwa. Wszyscy byli marcotni, we wszystkich oczach błyszcząły łzy.

Najpierwej odzyskał zwykłą pogodę umysłu Ordega. Stały na stole fotografie Wandy i Heleny, niedawno z Warszawy nadesłane. To mu dało możność zaczęcia weselszej nieco gawędy.

— Patrzcie no państwo, co to miasto robi, wyjechały od nas dziećmi, dziś ani poznać! panny skończone — i to piękne panny! Tylko patrzeć jak na wesele zaproszą.

— Ale to już chyba w Junoszówce! — odrzekła gospodyni.

— Kto to może wiedzieć! — dodał pan Junosza — śmierć i żona od Boga przeznaczona; tak samo i mąż. A z kąd my go tutaj dla panien naszych znajdziemy! Świat naszej pustyni nie ciekawy.

— I my też nie ciekawi świata! Gdyby nie te interesa, dziewczęta nasze zostałyby dotychczas z nami. Ale co do wesela — kiedykolwiek tam ono przyjdzie — to już tylko u nas — tylko u nas; — powtórzyła staruszka.

— Trzeba powróżyć, której też z naszych panien przeznaczono pierwiej wyjść za mąż — odezwała się klucznica, sięgając ręką pod obrus na sianie rozesłany. — Jeżeli pełny kłos wyciągnę — to panna Helka, a jak nie — panna Wandzia.

Po chwili wyciągnęła długą słomkę bez kłosa.

— Więc panna Wandzia! — to i to dobrze, starsza zacząć powinna.

Zaczęto sobie na ten temat fantazyować, pijąc zdrowie nieobecnych i jakoś się powoli twarze rozjaśniły, zwłaszcza że Ordega, choć mu samemu na sercu nie było wesoło, nadrabiał miną i puszczał żarciki, z których się śmiać musiano.

Już się też wieszczę skończyła i wszyscy od stołu wstali, gdy na dziedzińcu psy zaczęły ujadać zawzięcie i stary sługa wyszedł zobaczyć, co tam takiego.

Okazało się, że przyjechał z miasteczka jakiś krewniak arendarza i listy przywiózł z poczty.

Niespodzianka ta podwójnie była miłą. Jeden list się okazał z Warszawy, drugi, Ordegi z Paryża. Obaj starzy, włożywszy na nos okulary, wzięli się do czytania, podczas gdy pani Junoszyna łamiąc przysłany opłatek, czekała z upragnieniem, jakie też przyszły wieści.

— Wielka! wielka nowina! — wykrzyknął pan Junosza, — no, ktoby to się spodziewał!

— Cóż? cóż takiego? mów, na miłość Boską!

— Jedna z naszych panien ma starającego się, ba! już prawie po przyrzeczeniu, tylko naszego czekają błogosławieństwa!

— Która? która, Baltazarku! Helena?

— Nie, — Wanda.

— I któż to taki? na Boga, mów! — prosiła staruszka, mocno tem. zaniepokojona. — Kto taki?

— Wielki pan! hrabia! hrabia Korczak.

Ordega czoło potarł mocno, co bywało u niego znakiem niezadowolenia.

— Można to było przewidzieć — odezwał się spokojnie — że wcześniej czy później zaczną się swaty. Cóżby robiła innego pani Emilowa — a i oni wszyscy.

— Znasz pan tego Korczaka?

— Nie; nazwisko mi znane, wiem że mają majątki znaczne, ale nic więcej.

— I kto o tem pisze? — Wanda?

— Wanda i pan Emil. Helenka dopisała się tylko.

— To dziwne, że ona nie pisze nam o tem obszerniej.

— Daj no, mężu, list, niech sama przeczytam jeszcze.

Podczas gdy pani Junoszyna odczytywała ciekawą wiadomość, przyjaciele przechadzali się po pokoju, zastanawiając się nad nią.

— Nie podoba mi się ten hrabia, — mówił Ordega, — niech się żeni równy z równą, to najbezpieczniej. Kiedy ten panek zaleca się do szlachcianki, czy to nie jaki spekulant posagowy.

— Ależ powiedziałaś, że to ród zamożny — a przecież dziewczęta nasze, choć dziś nie ubogie, wielkich fortun nie mają; — odrzekł Junosza, któremu owe hrabstwo Korczaka przypadło trochę do serca.

— Zapewne! dla utracyusza i hrabiego w dodatku — posag to niewielki. Trzeba jednak rzecz tę zbadać... nieboszczyk Stanisław oburzyłby się na myśl, że jego córka zostanie żoną panicza z wielkiego świata...

— Tak, tak, to prawda! Zaklinał nas, byśmy jego dzieci trzymali zdaleka od świata... Ale — cóż począć! — wypadło tak, pomimo naszej woli, sam wiesz jak było.

Ordęga tarł czoło.

— Czy piszą w jakim wieku ten konkurent, bo tacy państwo Emilowstwo gotowi wydać za starca, za zrujnowanego na zdrowiu panicza — wszystko trzeba przypuszczać...

— Piszą, że ma lat trzydzieści kilka. No, przecież wiek dobrany nieźle — Wandeczka potrzebowałaby człowieka wyrobionego i stałego, kilkanaście lat różnicy... dawniej u ojców naszych toćby uważano nawet za mało.

— Trzydzieści kilka lat... ha! ale czy to prawda? Powiadam, że u tych ludzi wszystkiego się spodziewać można.

— Gdzieżby kłamał w taki sposób — nie godzi się posądzać!

— Po sobie sądzisz, Baltazarze! nie znasz ludzi. Ja ich znam... niestety! znam dobrze.

Zamyslili się obaj. Tymczasem pani Junoszyna czytać skończyła.

— No proszę, no proszę! ledwo oczom własnym wierzyć mogę. Wandeczka kocha go — to widzę z jej listu. Takie dziecko... takie jeszcze dziecko.

— Młodsza byłaś od niej Brygisiu, kiedym cię brał, młodszą.

— Wiem ja o tem, mężu, pamiętam, ale trudno mi się z tą myślą oswoić, że Wandeczka za mąż idzie... Takie to niespodziewane, nagłe...

— O tem co nagle się robi, przysłowie mówi nieszczególnie — odezwał się Ordega. Bez waszego pozwolenia i błogosławieństwa do ślubu przecież nie przyjdzie; Wanda jest zimna i trochę lekka, ale tego nie robi. Tymczasem więc możnaby rzecz tę wyświecić. Jeżeli związek okaże się stosownym — szczęść Boże!

— Zapewne! daj Boże sierocie biednej szczęście! Ale jakież my mamy sposoby poznania prawdy? Oni tu nie przyjadą...

— Ja pojedę do Warszawy! — odrzekł Ordega — pojedę i rzecz zbadam.

Myśl ta uderzyła Junoszków niemile. Z Ordegą nie rozstawali się ani razu od lat dziesięciu, a charakterem i stanowczością swoją tak on nad nimi górował, tak kochali go przytem i zrosli się z nim, że rozstać się choćby na krótko wydawało się czemś prawie nie możliwem. Dziś zwłaszcza, gdy w Junoszówce tak pusto i smutno, było im jeszcze trudniej z tem się pogodzić.

— Pan pojedziesz... — przemówiła starszuszka — to my tu chyba poginiemy z tęsknoty!

W tych serdecznych, zacnych ludziach samolubstwo, właściwe starości, brało górę nad troskliwością o dobro wnuczek.

— Przecież to samo da się jakoś inaczej załatwić... — dodał Junosza.

— W ten sposób byłoby najlepiej... — rzekł Ordega — choć i mnie żal by was było pożegnać. Podróż daleka i sprawa nie łatwa — w tydzień ani w dwa toby się załatwić nie dało.

— Pan Emil pisze, że Wanda jest gorąco kochaną, że ów pan Korczak, człowiek bogaty i szanowany, z prawdziwego tylko przywiązania chce się żenić. Dodaje, że Wanda kocha go...

— Wszystko to być może — rzekł Ordega — Wanda jest młoda i ładna, dlaczegóżby nie mogła obudzić przywiązania. Tylko że to świat... to wielki świat!... Stanisław poznał go i nie daremnie bał go się dla dzieci...

Wspomnienie syna rozrzewniło staruszków.

— Ha! jeżeli już inaczej być nie może...

— Przychodzi mi myśl!... — rzekł naraz Ordega — spróbujemy jeszcze tak. Pisze mi Edward w dzisiejszem liście, że wraca do Warszawy. Sądząc po dacie — już tam być musi. U państwa Emilowstwa bywać oczywiście będzie. Niechby on rozpatrzył się w tych stosunkach i doniósł nam jak rzeczy stoją. Krótka zwłoka różnicy nie robi; skomunikujemy się pierwej z nim, a jeżeli okaże się potrzeba — pojedę.

— Masz słuszność, przyjacielu, tak! trzeba zaraz pisać do Edwarda; dziewczęta kochają go jak brata, będą miały do niego zaufanie, on się dowie prawdy.

— Tak, tak! panie — tak będzie najlepiej — podchwyciła staruszka — napiszemy do Edwardka, niech się o wszystkim dowie... To szczęście, że on jest już w Warszawie... Ale, ale — nie wspomina też w liście swoim o owej nieszczęśliwej Polce? co się z nią dzieje?

— Owszem, wspomina. Pisze, iż szkaplerzyk pani przyjęła z radością wielką, że ze łzami ka-zała podziękować.

— A jak się ma, jak się czuje?

— Dogorywa.

Nazajutrz sam arendarz powiózł na pocztę listy do Edwarda.

VII

Wujenka Ernestyna, ciocia Hortensya i babcia jenerałowa, kiedy się uwzięły na co, udać się im musiało.

Okazała się cała zřecznořć ich zabiegów przy swataniu hrabiego z Wandą.

Korczak podobał się Wandzie pędko, czemu się nawet dziwić nie można. Jego ogłada towarzyska, nadzwyczajna uprzejmořć, jaką okazywał, niewyczerpana obfitořć pomysłów, kiedy chodziło o uprzyjemnienie czasu, o zabawę, humor zawsze jednaki, wszystko to, przy tytule i stanowisku nadać mu mogłó duřo uroku w oczach dziewczyny wesołej, lubiącej się przedewszystkiem bawić.

Wkrótce po przyjeździe panien, Korczak w domu pana Emila stał się nie tylko codziennym gościem, ale przyjacieleną rodziny, mającym rozległó prawa i liczne obowiązki.

Powóz i konie hrabiego bywały na rozkazy, ilekroć przyszłó do jakiego spaceru, wykwinłne

bukiety i cukry przyjmowano od niego przy każdej okazji, łoża w teatrze, którą miał sobie stale zamówioną, służyła też najczęściej pani Emilowej, która zasiadała w niej z pannami, ilekroć tylko zdarzyło się przedstawienie jakie ciekawsze. Wszystko to musiało się podobać i byłoby w stanie zjednać sympatyą doświadczeńszej nawet i poważniejszej niż Wanda osoby.

Z tem wszystkiem uważała ona hrabiego jako przyjaciela i miłego towarzysza, nigdy nie przypuszczając w nim konkurenta. Pomimo wszelkich starań o wyglądanie młodo, Korczak mógł być jej ojcem, wiedziała o tem — nie mogła więc jej, na pustyni chowanej, przyjść myśl tak niedobranego związku.

To też, kiedy pani Emilowa nadmieniła raz o tem odniechceni, Wanda się roześmiała, jak z żartu. Z kolei bąknęła coś panna Hortensya, dodając, że hrabia kocha się na zabój w Wandzie. Wzięła to za zwykłą ze strony starej panny złośliwość. Babcia generałowa wyraziła raz w rozmowie zdanie, że młode panny nie koniecznie młodych szukać powinny mężów... Wszystko to wreszcie, wraz z tytułem *pani hrabiny*, żartobliwie jej nadawanym, dało Wandzie do myślenia.

Zaczęła obserwować Korczaka, rumienić się, kiedy ją całował w rękę przy każdej zdarzonej

sposobności, wyobrażać sobie, jakby też wyglądali, jadąc razem w powozie, lub stojąc przed ołtarzem...

— Czy mogłabyś przypuścić tę myśl — zapytała raz siostry — że hrabia stara się o moją rękę?

— Żartujesz! — odrzekła Helena — przecież to niemożliwe.

— I ja tak sądziłam, ale wujenka utrzymuje, że jest przeciwnie.

— Wujenka ma nas widać za takie parafianki, które w siebie wszystko wmówić dadzą.

— Tak myślisz? A gdyby to było prawdą, że on mi nie kocha?

— Jakto? ty, Wando, przypuszczasz coś podobnego! Może cię kochać chyba jak córkę...

Wanda czuła się dotkniętą: nie była przecie tak bardzo młodziutką, by ją traktowano jak dziecko... Zresztą, jako starsza siostra, miała za złe Helenie, że tak stanowczo odrzucała możliwość tego, co jej samej przedstawiać się zaczęło jako do prawdy podobne.

Z tem wszystkiem, rozmowa z siostrą osłabiła nieco wpływ babki, ciotki i wujenki; Wanda zastanawiać się zaczęła nad różnicą wieku, zachodzącą między nią a hrabią, a zręczne przypomnienie Edwarda Ordegi dało powód do porównań, które na korzyść starego adonisa wyjść

nie mogły. Chciałyby bardzo mieć w osobie hrabiego przyjaciela domu, będącego zawsze na rozkazy, zajmującego się umiejętnie wszystkim, co tylko jej przyjemność jaką zrobić mogło, ale stanąć z nim przed ołtarzem wydawało się czemś niestosownem, prawie śmiesznem.

Inaczej sądziły o tem kuzynki naszych panien, miał w nich Korczak gorliwe protektorki.

— Mało znam ludzi równie jak hrabia dystygowanych — mówiła często panna Hortensya, uchodząca, Bóg wie z jakiego powodu, za wyrocznią w kwestyi wychowania i ułożenia. — Co do mnie, gdybym miała ochotę wyjścia za mąż (ludzie mówili, że na ochocie tej bynajmniej jej nie zbywało), tobym przedewszystkiem szukała w mężu dystynkcyi. Młody — będzie zdradzał, balamucił się, gotów o lada rzecz robić sceny; piękny — siebie uważa za osobę, której hołdy składać mają wszystkie kobiety, a jego zarozumiałość co chwila da się we znaki żonie; mądry --- pedant, zanudzić gotów na śmierć nieszczęśliwą żonę, którą ma za nic i upokarza na każdym kroku; ale mąż dystygowany, jak hrabia — to ideał męża, grzeczny, uprzejmy, delikatny, uprzedzający — powiadam ci Wando, hrabia to skarb dla ciebie!

Z innego nieco punktu traktowała tę rzecz wujenka Emilowa.

— Jeżeli się zdecydujesz Wando wyjść za hrabiego, ręczę ci za szczęście. Przy twojem usposobieniu potrzebujesz koniecznie męża bogatego, któryby ci zapewnił wszystkie wygody, o jakich tylko zamaryć można. Sielanka ci nie smakuje, nie powtórzysz tego, o czem marzą gąski sestymentalne: choćby w chatce byle z nim! Hrabia otoczy cię całym przepychem, jaki odpowiada jego stanowisku — będziesz miała salony, lokai, karety, stroje najpiękniejsze, klejnoty. Czegóż chcieć więcej?

Naiwne to zapytanie wywołało odpowiedź Wandy. Jakkolwiek lekka i płocha, nadto była młodą jeszcze, by cynizm podobny mógł ją zadowolnić. Zresztą długie rozmowy z Heleną, prowadzone w tym przedmiocie niegdyś w Junoszówce, pozostawiły przecie pewien ślad w sercu i wyobraźni Wandy.

— Wujenka mnie ma za kobietę, którą tylko bogactwo zadowolnić może — tak nie jest. Dotychczas nie miałam nawet czasu przekonać się o jego wartości. Wsi nie lubię, to prawda, stworzoną jestem do świata, ale chciałabym być w tym świecie szczęśliwą, a na to nie dosyć być bogatą.

— Więc cóż ci się w hrabim nie podoba? co masz mu do zarzucenia?

— Że stary — mogłabym być jego córką.

— A! jeżeli ci o to idzie — bądź najspokojniejszą. Najpierw hrabia starym nie jest, człowiek w sile wieku. A że znacznie starszy od ciebie, wierz mi, to najlepiej. Będzie ciebie kochał, ceniał, na rękę nosił, słuchał każdego skienia, jak nie zrobiłby tego żaden młody mąż. Wierz mi, która z nas chce w domu rej wodzić i być w nim pierwszą, niech wychodzi za człowieka niemłodego. Młody mąż nie potrafi tak żony ocenić, ani przywiązać się do niej, jak starszy — to pewna.

— A zazdrość? — odezwała się Wanda — słyszałam zawsze, że starzy mężowie są zazdrośni.

— Tak, to prawda, ale wierz mi, że trochę zazdrości ze strony męża potrzeba koniecznie, bez niej nie ma wielkiej miłości, a tacy umieją kochać bardzo. A nie bój się znowu, żeby cię Korczak trzymał pod kluczem. On ma różne interesa, często wyjeżdżać musi, to na prowincyą, to zagranicę; jego zazdrość, choćby była, nie da ci się wcale we znaki.

Wanda słuchała uważnie, kombinując w główce te rozmaite zdania i rozmyślając nad nimi. Gra była nierówna. To wszystko, co mówiły teraz kuzynki, opierało się widocznie na doświadczeniu, wysnute było z życia, to zaś, co przeciwko temu postawić mogła Wanda z własnych wyobrażeń i zdań Heleny, przedstawiało tylko marzenia same, teorię, na niczem nie opartą.

Pani Junoszyna zaopatrzyła swe wnuczki w różne nauki moralne, ale nie przewidując, by która z nich bez niej wyboru męża dokonywać miała, o tem nie mówiła wcale. A zresztą — cóż mogła praktycznego powiedzieć staruszka, która życia znała tak mało, pomimo że żyła długo.

Z tych zasad moralnych, któremi rządzono się w Junoszówce i które przenikały wszystkie nauki starego Ordegi, wpływało, jako ideał życia rodzinnego, życie ciche, oddane obowiązkom, oderwane od gwaru i wiru świata, połączone ściśle z pracą i poświęceniem. Ideał ten nie obcym był oczywiście Wandzie, ale nigdy jej wyobraźni nie zaspakajał: potrzebowała ruchu, gwaru miejskiego, życia pełnego wrażeń i różnorodności. Nie dziwno, że, pomimo pewnych skrupułów co do różnicy wieku, całe usposobienie Wandy skłaniało się na stronę Korczaka.

Wujenka Emilowa z ciocią Hortensyą wchodziły także do pomocy babcię generałową.

— Moje dziecko — mówiła babcia — hrabia, to człowiek pobożny; choć nie młody już, pewniejszy z niego mąż, niż z tych młokosów libertynów, darwinistów, bezbożników, dla których nie ma nic świętego.

Podczas gdy w ten sposób przygotowywano hrabiemu dobre przyjęcie u Wandy, same okoliczności składały się na jego korzyść. Na balach

i zabawach młodzież asystowała głównie Helenie, z tych zaś, którzy Wandzie się przedstawili, nikt nie zajął mocniej jej wyobraźni i nikt nie rozpoczął starań o rękę.

Tymczasem Korczak był nieodstępny, zaczęto w mieście mówić głośno o jego blizkim z Wandą małżeństwie, a mówiono bardziej z zazdrością, niż z ironią. Wanda poznała się na tem.

Pani Emilowa była jedną z owych dam warszawskich, z którymi zawsze i wszędzie spotkać się można, gdzie tylko się cokolwiek robi na dobroczynność. Między gospodyniami balów publicznych, na liście kwestarek po kościołach w Wielkim Tygodniu, lub sprzedających bilety, na jakie widowisko dobroczynne, wszędzie figurować musiała *Ernestyna z Korwinów-Kostrobackich Emilowa N.* Teraz na listach owych nazwisko jej stało z dodatkiem: *z pannami Wanda i Heleną Junoszekami.*

Podczas Adwentu, w bazarze urządzonym w salach reutowych na dobroczynność, pani Emilowa miała, zwyczajem swoim, zasiadać w jednym ze sklepów. W tym roku, za ledwo się krzątać zaczęto około urządzenia bazaru, pięciu kupców zgłosiło się do Ernestyny z Korwinów i t. d. prosząc ją do swoich sklepów. Panny Junoszeki dały się już poznać w mieście z piękności, chodziło tu o to, by one chciały się zająć sprzedażą.

Wybór padł na sklep galanteryjny; w dniu otwarcia bazaru widziano w nim piękne panny w nader gustownych strojach, za niemi panią Ernestynę, a obok nich hrabiego Korczaka. Wyprzedaż szła znakomicie. Hrabia codziennie przynosił świeże bukiety dla dam, z najrzadszych w tej porze kwiatów, a olbrzymie pudło cukierków stało otworem; gospodynie traktowały niemi damy kupujące. Pani Emilowa, której mocno na tem zależało, by w żadnym sklepie nie sprzedano za tak wielką jak u niej sumę, dokazywała istotnych cudów, zmuszając zrećźnie młodzież do kupowania różnych u niej drobiazgów i przepłacania ich.

Tylko hrabiego Korczaka nie wciągała do kupna, pewną będąc, że sam się tego domyśli. Rzeczywiście, ostatniego dnia, Korczak przypomniał się, że mu dotychczas nic jeszcze nie sprzedano i prosił, by panny same coś dla niego wybrały. Helena tedy ofiarowała mu marmurowy, pięknie rzeźbiony kałamarz, za który złożył natychmiast sumę dziesięć razy większą niż przedmiot był wart i to lśniącymi pólimperyalami. Gdy przyszła kolej na Wandę, a ta rozglądała się po sklepie, nie mogąc się na wybór zdecydować, pani Emilowa zrećźnie wsunęła jej do ręki małe kryształowe serduszko w złotej oprawie, mające służyć jako flakonik do perfum.

Wanda, nie spostrzegła na razie znaczenia przedmiotu, podała go hrabiemu.

— Pani! — zawołał ten z uśmiechem — gdybym miał serduszko to opłacić według jego wartości, cały majątek jaki posiadam nie starczyłby na to. Pozwoli więc chyba pani, że w zamian oddam żywe serce, a rączkę, która mi to podała, zatrzymam przy sobie.

To mówiąc, przycisnął do ust drżącą rękę Wandy i patrzył w oczy jej, z wyrazem starego Satyra, zalecającego się do Nimfy.

Dziewczę zapłonilo się po uszy; zapytanie to i oświadczyzny wypadły niespodziewanie, nie była dziś na to przygotowaną, zmieszła się, nie mogąc wymówić słowa.

Tymczasem wujenka Emilowa trącała ją w łokieć a ciocia Hortensya, także przy tem obecna, dawała jej gwałtowne znaki oczyma.

— Komu oddałam serce, do tego niech i ręka należy, — wyrzekła wreszcie, zdobywając się na odwagę.

W ten sposób hrabia został przyjętym.

Przez cały czas trwania bazaru, sklep pani Emilowej otaczany bywał, jak wspominałem już, przez młodzież. Oprócz jednak hrabiego, który do niej liczyć się nie mógł, dwóch tylko korzystało z prawa częstego wstępu do wnętrza sklepu — Fredzio i Oporowski.

Fredzio, od czasu dostania odmowy, pozbywszy się krępującej go i narzuconej roli konkurenta, z przyjemnością bywał u kuzynki i w towarzystwie panien, które go dość lubiły, bawił się chętnie. Co do Oporowskiego, ludzie swatali go już głośno z Heleną.

Chociaż było do tego daleko jeszcze, podejrzenia ludzkie w tym razie miały, bądźco bądź, pewną podstawę. Dwoje tych ludzi czuło wzajem do siebie sympatyę widoczną.

Od dnia owej zabawy u wujowstwa, Wanda zaczęła w siostrze dostrzegać zmianę jakąś, objawiającą się coraz wyraźniej. Helena przestała skarżyć się na Warszawę i tęsknić do Junoszówki, listy do dziadków bywały teraz krótsze i rzadsze, ożywiła się widocznie, wracając prawie do dawnej wesołości, która opuściła ją po wyjeździe do miasta.

Jakkolwiek sobą teraz zajęta i niezbyt skłonna do obserwowania cudzych usposobień, Wanda zaczęła jednak śledzić siostrę, chcąc dojść wątku zagadki. Łatwo jej przyszło go odnaleźć, Helena nie umiała się maskować, jej sympatyę i niechęci mogły tylko jedną maskę utrzymać na sobie — maskę względów towarzyskich. Jak łatwo jednak było zgadnąć, że ani wujenka, ani tembardziej ciocia Hortensya nie budziły w niej gorętszego przywiązania, tak łatwo poznała Wan-

da, że Oporowski zyskał odrazu gorącą Heleny życzliwość.

Trudno się było temu dziwić, krewny hrabiego, posiadał takąż jak i on sztukę życia towarzyskiego, ale w braku tytułu przewyższał go wiele innymi warunkami. Młody, piękny, wszechstronnie utalentowany, muzyk, malarz, poeta trochę, miał, jak widzimy, dużo zasobów do zjednania sobie serc kobiecych, i słynął z tego.

Nazywano go wprawdzie także bałamutem, utracyuszem, dziwakiem, ale ujemności te w oczach kobiecych są prawie zaletami młodego mężczyzny.

Zresztą Helena, w długich z nim rozmowach, na wieczorach i w teatrze, miała możność poznania jego przekonań, pojęć i poglądów na życie. Przynosił jej książki do czytania, gawędzili potem o nich oboje, a poglądy ich tak się szczęśliwie z sobą zgadzały, tak się rozumieli nawzajem, że sprawiało to Helenie rozkosz prawdziwą.

— Ty się kochasz w Oporowskim! — zagadnęła ją kiedyś Wanda w półseryo, w półżartem — powiedz prawdę.

— Niewiem jak się to nazywa — odrzekła — wiem tylko, że podoba mi się bardziej niż wszyscy młodzi ludzie, jakich znam.

— Nie wyłączając nawet pana Edwarda?
Helena zawahała się.

— Lubię jednego i drugiego, ale każdego inaczej.

Jakże bolesną byłaby odpowiedź ta, prosta i niewinna na pozór, Edwardowi, którego to właśnie bolało, że choć Helena wyznała mu, że go kocha, to jednak kochać nie mogła *inaczej*. Dziś ta inna forma miłości objawiła się dziewczynie, ale nie on, niestety, był jej przedmiotem.

Jakby wywołany wspomnieniem, Edward wkrótce po tej rozmowie zjawił się w teatrze, gdy całe towarzystwo państwa Emilowstwa zasiadło w loży. Poznany i powitany uprzejmie ukłonem przez pana Emila, a przez obie panny uśmiechami przyjaznymi, nazajutrz przyszedł z wizytą.

Helena witała go z prawdziwie siostrzaną serdecznością, przypomniał jej tak żywo drogą zawsze Junoszkówkę, tak rada była jego przybyciu, że przypadkowo obecny przy tem Oporowski zwrócił się do gospodarza, z pytaniem: kto to jest?

— Towarzysz z lat dziecinnych panien naszych, jakiś nawet kuzyn daleki, doktor Edward Ordega.

Jednocześnie prawie Edward, którego uderzyło wymówione przy wzajemnej rekomendacji nazwisko, pytał Heleny, kto jest ów pan Oporowski.

— Czem on się właściwie zajmuje, nie wiem,—

odrzekła z prostotą Helena — ale jest to artysta, poeta z natury i z duszy, najprzyjemniejszy z gości wujowstwa!

— Żonaty czy kawaler?

— Wdowiec — stracił młodą i piękną żonę. Żebyś pan wiedział ile przecierpiał już w życiu, choć to człowiek tak jeszcze młody. Poznacie się panowie z sobą bliżej, podzielisz pan z pewnością moją sympatyą.

Edward stłumił westchnienie i rozmowę zwrócił na inny przedmiot.

— Jakże się pani świat podoba?

— Z początku raził mię, nie mogłam się z nim oswoić długo. Dziś jużem trochę przywykła, chociaż zdaje mi się, iż w tych murach miejskich będzie mi zawsze ciasno.

— I tęskno pani do Junoszkówki?

— Tęskno do babci i wszystkich naszych, i tem większą zrobiłeś mi pan przyjemność swoim przybyciem. Ale czemuż tak późno — od dawna już spodziewaliśmy się pana.

Edward zaczął opowiadać w krótkości przygody swoje. Gdy skończył, powtórzyła raz jeszcze z akcentem szczerości:

— Ach! jak to dobrze, żeś pan już przyjechał. Ja tu już tak długo nie miałam z kim mówić otwarcie! Teraz, patrząc na pana, marzę, iż je-

stem w Junoszówce... A pamiętasz pan naszą rozmowę w ogrodzie przed wyjazdem?

— O! pamiętam; na dowód zaś, żem nie zapomniał, oto pamiętka ówczesnej rozmowy.

To mówiąc, wyjął z kieszeni notatnik i w nim pokazał Helenie zasuszone trzy gwoździki, które wtedy od niej otrzymał.

— Mój Boże! pan zachowałeś moje gwoździki! czy to warto! Ale jak one teraz wyglądają, zeschły, straciły barwę i zapach.

— Kiedy czasem ludzie się zmieniają, cóż dziwnego, że zmienia się kwiat!

— Prawda; słyszę to nieraz o ludziach, ale ja tego nie rozumiem. Jak można się zmieniać? Kogo kocham — zawsze kochać będę, kto mi był bliskim, pozostanie nim na zawsze.

Mówiąc to, podała mu rękę i uścisnęła ją serdecznie, jak bratu.

— Wszak będziemy się widywali często — nieprawdaż? będziesz nas pan odwiedzał? Ja czasem tyle mam do powiedzenia, tak bardzo pragnęłabym porozmawiać z kimś otwarcie, a o to tutaj tak trudno! Wiesz pan, że Wanda jest po przyrzeczeniu?

— Mówiono mi, ale nie chciałem wierzyć.

— Tak, to prawda. Hrabia Korczak oświadczył się o jej rękę; poznasz go pan u nas, by-

wa codzien prawie. Wanda czeka na odpowiedź babki i dziadka.

— Jakież to zmiany w tak krótkim czasie!— rzekł Ordega.—A pani nie idzie w ślady siostry?...

Uśmiechnęła się.

— Nie powinnam sobie tego życzyć, wszakże cyganka przepowiedziała mi jakąś miłość nieszczęśliwą...

— I pani wierzy w przepowiednię?

— Nie wiem sama, ale czuję, że miłość taka może o śmierć przyprowadzić.

— A jakże pani rozumie miłość nieszczęśliwą?

— Od kiedy jestem w Warszawie, zastanawiałam się nad tem często, bo często bywamy w teatrze. Zdaje mi się, że byłabym wtedy naj-nieszczęśliwszą, gdybym stracić musiała szacunek dla tego, kogom pokochała... To gorsze niż śmierć!

— Dla tego też, chcąc uniknąć zawodów, powinno się serce trzymać na wodzy...

— Więc pan nie wierzysz przeczuciom serca? — zapytała Helena w zadumie.—A jednak to tak miło marzyć, że się ma choć jednego wiernego przewodnika, który nie zdradzi...

Na tem się przelotna rozmowa ta skończyła.

Edward wyszedł z domu pana Emila smutny i zgnębiony. W Junoszwówce robił on sobie nadzieję, że spotkanie się w Warszawie zbliży

do niego serce Heleny; teraz czuł, że to serce oddaliło się jeszcze od niego, że między nimi stanął ktoś, Oporowski może, do którego poczuł instynktownie antypatyę.

Nazwisko to przypomniało mu odrazu ową nieszczęśliwą, w szpitalu paryzkim, opuszczoną przez całą rodzinę w nędzy i chorobie. Może to brat jej, może krewny jaki, a może imiennik tylko, bądźcobądź, brzmienie tego nazwiska przykrość mu sprawiało, nie rad był spotykać się z człowiekiem je noszącym.

Zainstalowanie się w Warszawie młodego lekarza, zaznajomienie się z ludźmi, na których mu zależeć mogło, zajęło Edwardowi dużo czasu. Serce, podrażnione bardziej jeszcze widokiem Heleny, ciągnęło go do domu pana Emila ale mu się opierał jak mógł. Częściej widywał ją w teatrze, przypatrywał się ukochanej, niewidziany przez nią, poił się widokiem tej pięknej, prawdziwie dziewiczej twarzy i odchodził najczęściej z goryczą, gdyż Oporowski zawsze prawie asystował jej w łoży i odprowadzał następnie do powozu, gdy odjeżdżali do domu.

Po Nowym Roku przyszły listy z Junoszówki do Edwarda, o których już wiemy. Upoważniano go, by zbadał należycie wszystko, co się do osoby hrabiego Korczaka odnosić mogło, i doniósł o tem mocno zaniepokojonym dziadkom.

Polecenie to było jednym z tych, od których chętnie się wypraszamy, o ile to tylko jest możliwem. Dla Edwarda jednak nie było innego sposobu, jak podjąć się go i wykonać, zobowiązywały do tego stosunki rodzinne.

Projekt małżeństwa hrabiego z Wandą wydał mu się na razie czemś prawie potwornem; gotów był więc wprost napisać do Junoszków, by przyjeżdżali związkowi temu przeszkodzić. Zastanowiwszy się jednak trochę, powiedział sobie, że sprawę całą zbadać musi wpierw należycie.

Co do osoby hrabiego, nie ulegało wprawdzie wątpliwości, że owe trzydzieści kilka lat były fałszem, ile jednak miał rzeczywiście — nikt nie wiedział, i rzecz była do zbadania nie możliwa.

Co do opinii, nikt o nim nic złego nie mówił. Prawdopodobnie był on jednym z tych ludzi, którzy, dzięki majątkowi swemu, uwolnieni od wielu ciężkich prób życiowych, żyją sobie i dla siebie, hołdując najpierw własnym potrzebom i fantazyom, choć zdarza się im czasem zrobić bliźniemu co dobrego, jeżeli na to nie trzeba najmniejszego bodaj poświęcenia.

Nazwisko hrabiego stało dość często w Kurjerze na liście ofiar dla biednych; wiadano, że należał do wielu instytucyj finansowych, związanych z dobrem kraju (o ile oczywiście kapitał włożony zapewniał mu niezły procent); ku-

pował czasem obrazy na wystawie będące, a choć artyści skarżyli się, że skąpy i płaci mało, mieli w nim, bądźcobądź, nabywcę.

Edward zmuszonym się czuł wejrzeć i w życie zakulisowe hrabiego, co mu ułatwiła nieco znajomość z jego lekarzem. Dowiedział się wprawdzie niewiele, zawsze jednak wątpliwości nie ulegało, że oprócz dość zwykłych grzechów starokawalerskich, na czci i sumieniu Korczaka nie ciążyła żadna większa plama.

— Sybaryta, kobieciarz, samolub, wcale nawet dobrze zakonserwowany, bo zdrowiem nie szafował — oto ogólna charakterystyka człowieka.

W ten sposób ostrożnie badany lekarz zakończył swoją relacją.

Wiedząc już, czego ma się trzymać co do hrabiego, Edward zaczął badać Wandę. Znalazł ją prawie rozkochaną, marzącą o życiu pełnem zabaw i dostatków, zupełnie obojętną na zaloty młodzieży, lub traktującą ją z pewną dumą. Raz zdecydowawszy się, czuła się istotnie szczęśliwą.

— Co począć? — pytał sam siebie Edward; do czego doprowadziłoby strofowanie tej lekkiej z natury istoty, marzącej o karcie i tytule? Czy nie wyniknie ztąd dla staruszków tysiąc przykrości i zmartwień? A zresztą czyż Wanda, wyszedłszy za człowieka młodego, jeżeli tylko bę-

dzie to człowiek rzeczywistej pracy i poważniejszego na świat poglądu, uczuje się szczęśliwą? Ona się znalazła w tak właściwej dla niej sferze, tak do niej całą naturą swoją przyłgnęła, że odrywać ją od tych ludzi, targać związek, który ją uszczęśliwiał, było nieludzkiem prawie — a co ważniejsza daremnem.

To wszystko biorąc na uwagę, Edward przesłał do Junoszkówki niedługą relacją, z której dowiedzieli się starzy, iż hrabia ma wprawdzie więcej niż lat trzydzieści kilka, ale pod innymi względami przedstawia się, jako mąż dla Wandy dość odpowiedni.

Tymczasem szły listy coraz częstsze od niej samej a tak pełne zachwyty, że w końcu starsuszkowie, radzi nie radzi, przesłali swe zezwolenie pod warunkiem, że narzeczony Wandy do Junoszkówki przyjedzie.

Zgodzono się na warunek ten chętnie, tem chętniej, że ani hrabia, ani państwo Emilowstwo na seryo go nie brali.

Zaczęły się przygotowania, zajęto się wyprawą, a miała być świetną, bo właśnie pan Emil odebrał nareszcie sumę spadkową.

— Jakże poradysz teraz sobie z hrabią? — zapytała męża dnia tego pani Ernestyna.

— Jaknajlepiej, dług oddam cały gotówką, gdy zaś przyjdzie do wypłaty posagu, będzie mu-

siał przyjąć moje weksle i w dodatku dopuścić mię do udziału w towarzystwie akcyjnym, o którym ci mówiłem.

— Jakto? — bez pieniędzy.

— Owszem, pieniądze mieć będę, trochę i swoich własnych, a zresztą posag Heleny...

— A jeżeli go stracisz?—zapytała pani, mierząc męża ironicznem spojrzeniem.

— Nie ma obawy. Korczak nigdy nie ryzykuje bez mocnej podstawy. Zobaczysz, że zrobimy majątek!

— Wtenczas może i z mego posagu coś mi się dostanie — nieprawdaż?

— Ależ naturalnie! naturalnie!—powtarzał gorąco Emil, jak by mu ta wzmianka była bardzo niemiłą.

— Czy jednak pewny jesteś, że ci się uda taki interes z hrabią.

— Mam jego uroczyście przyrzeczenie. Trzeba ci wiedzieć, że pracuję nad tem od miesiąca, grożąc najrozmaitszemi przeszkodami w małżeństwie z Wandą. Na wszystko musiał przystać, czego tylko wymagałem, bylebym usunął je z przed niego.

— A teraz przypomnij sobie, czyj to był pomysł owego małżeństwa?

— Twój! twój, kochana Tyniu — powtarzał pan Emil—ty masz zawsze znakomite pomysły.

— Lecz czy nie uważasz tego, że się nam zanoszą na drugie małżeństwo? Helena nie na żarty zajęła się Oporowskim.

— Widzę ją, widzę, ale mi się to zajęcie bardzo nie podoba. Oporowski goły, będzie potrzebował zaraz posagu, liczy może na to z pewnością — paraliżuje to moje plany.

— A jednak i to byłaby piękna partya dla dziewczyny, jeżeli już w żaden sposób nasze projekta co do Fredzia nie mogą przyjść do skutku. Helena jest dzika jakaś, wydać się nie da i upór ma, którego nikt nie przemoże. Przecież pracowałyśmy nad nią wszystkie, by tylko zjednać ją dla tego poczciwego chłopca, i na nic się to nie zdało. Co dziwniejsza, jego tak jakoś usposobiła, że ani słyszeć już nie chce, byśmy ją do tego związku nakłaniały. Co do Oporowskiego, to człowiek najlepszego towarzystwa, świetny, utalentowany, piękny; dla dziewczyny chowanej na pustyni jest chyba mężem, o jakim marzyć nie mogła.

— Między nami mówiąc — rzekł pan Emil — pomimo całej świetności swojej, pan Ludomir jest kawałkiem infamisa; dość posłuchać co mówią o jego pożyciu z nieboszczką, której wielki majątek zmarnował w parę lat, a potem porzucił ją w nędzy...

— Co mówią! — *mon cher*, czego ludzie nie mówią?! Zresztą nie może on być tak bez grosza, jak myślisz — żyje przecie elegancko, na wszystko mu starczy...

— Założyłbym się, że czerpie z kieszeni hrabiego i ztąd właśnie wynika owa widoczna chęć Korczaka do wyswatania go z Heleną. Mnie się to — otwarcie mówię — nie podoba.

— I ja też nie mam szczególnego powodu do życzenia sobie koniecznie tego małżeństwa, przewiduję tylko, że się na tem skończy. Zresztą pan Ludomir posiada taki dar ujmowania sobie ludzi, wymowa jego jest tak przekonywająca, że gdyby nawet przyszło do traktowania ze starymi Junoszami, zachwyciłby ich odrazu, chociaż nie jest mężem według ich pojęć.

— No, no, jak uważam — rzekł na zakończenie pan Emil — to jedno najpewniejsze, że chcąc wam kobietom się podobać — trzeba być koniecznie łotrem. Porządni ludzie nie mają szczęścia.

— Wiesz o tem z doświadczenia — dodała pani, uderzając męża z uśmiechem po rękę — twoje szczęście do kobiet...

— Ale zkad znów! należy do dalekiej przeszłości.

— Nie tłumacz się, wiesz, że nie wglądam w rachunki twojej tarażniejszości pod tym wzglę-

dem. Ale, ale — kasa moja wyczerpała się zupełnie, a dziś właśnie Herse przysłała mi suknię na sobotni nasz wieczór.

Pani Ernestyna wyjęła z biurka elegancki portfel i ze znaczącem spojrzeniem podała go mężowi, który, westchnąwszy, sięgnął do kieszeni.

Dom państwa Emilów należał zawsze do tych, w których się dobrze bawiono, ale nigdy jeszcze karnawał nie był tak wesoły u nich, jak w tym roku. Oprócz tygodniowych zebrań sobotnich, odbyło się już kilka balów, a do końca karnawału było jeszcze daleko.

Junoszanki bawiły się wybornie i gdyby tylko ten jeden obowiązek względem nich ciążył na wuju Emilu, należałoby przyznać, że niktby nie potrafił lepszym od niego być wujem. Nie było prawie dnia bez tańców, gdyż państwo Emilowie mieli stosunki liczne i to z ludźmi zamożnymi, a choć nawet zdarzył się jakiś wieczór spokojny, to i taki przeciągał się późno w noc, tak że przed drugą nigdy się pannom nie zdarzyło iść na spoczynek.

Powiedziałem, że obie bawiły się wysmieniście — bo teraz tak było. Wanda, narzeczona, przedmiot ciągłych hołdów ze strony hrabiego i wielkiej czułości obojga wujowstwa, znalazła się w swoim żywiole; czuła, że ją świat ze wszystkich stron otacza, ten świat, co był oddawna jej ma-

rzeniem. Helena, od czasu gdy Oporowski pociągnął ku sobie jej oczy i serce, od kiedy zaczęła go spotykać wszędzie, gdziekolwiek się zwróciła, stała się rozpromienioną, rozmarzoną, upojoną, jakoby narkotykiem jakim, szczęściem miłości. Miłość ta urodziła się tak nagle, zastała ją tak nieprzygotowaną, że biedne dziewczę za ledwo mogło zdać sobie sprawę ze stanu serca. A na dobitkę, miłość ta rozwijała się w atmosferze pełnej upajających dźwięków, woni i blasków.

Nie było czasu na rozmyślanie, nie było chwili wolnej na zastanowienie się. Helena, z usposobienia wprawdzie wrażliwa i głęboko czująca, ale też z charakterem energicznym i główką, która przywykła do myślenia, została nagle jakby obezwładnioną, pogrążoną w sen jakiś, który się przeciągał nad miarę. Ale ten sen był tak słodki, tak rozkoszny, że prawie bała się obudzić z niego, rada, żeby trwał przez wieczność...

W tym nieustannym gwarze i wirze zabaw, Ordega rzadko kiedy miał sposobność zbliżenia się do Heleny i dłuższej z nią rozmowy. Nie znając domów, do których państwo Emilowie z pannami uczęszczali na zabawy, nie mógł w zabawach tych brać udziału, ilekroć zaś miał się bawić w ich domu, choć zaproszony, nie zawsze z tego chciał korzystać.

Istotnie, stosunek jego do Heleny stał się trudnym. Do roli opiekuna zamłody był i bądź-cobądź obcy; jako konkurent występować nie mógł — broniła mu tego duma. Pomimo tytułu naukowego i wiedzy zdobytej, nie miał jeszcze żadnego stanowiska, ani stałego utrzymania, któreby mu pozwoliło pojąć żonę, nie oglądając się na jej posag. Grać rolę przyjaciela i krewnego było najwłaściwiej, ale jakże to trudno zakochanemu.

Helena, przyzwyczajona do otwartej i szczerzej z nim rozmowy, zdradziłaby się, nawet sama o tem nie wiedząc, ze stanem swego serca, a choćby ze słów nic wnosić nie było można, on by w spojrzeniu wyczytał prawdę, on już i tak ją odgadł, choć żadnych zwierzeń nie było. To tak łatwo poznać się na miłości dziewczęcia!

I cóż miał wobec tego robić? pozostać obojętnym? czy chwalić? czy ganić?

Z Oporowskim rozmawiał kilka razy, obserwował go trochę, chcąc poznać — i poczuł do człowieka tego instyktowną odrazę.

Byłże to powód dostateczny do występowania przeciwko niemu, którego zresztą nie znał wcale, a jako rywala kochać nie mógł w żadnym razie?

Unikał więc prawie Edward częstego bywania u państwa Emilów i przed każdą zabawą, na którą szedł do nich, wahał się długo.

W sobotę jednak, o której wspominała w rozmowie z mężem pani Emilowa, wybrał się skwapliwie. Tęskno mu było, nie widział już Heleny oddawna, widok jej stał mu się teraz potrzebnym do życia.

Helena powitała go, jak zawsze, serdecznie, robiąc tylko tym razem minkę zagniewaną, za to, że o nich zapominał i tak długo się nie pokazywał. Na przebłaganie prosił ją do tańca, ale okazało się, że już do wszystkich większych tańców była zamówiona, miniaturowa książeczka, do której się wpisywali tancerze, nie miała już miejsca na nowe nazwisko.

Oporowskiego w niej nie znalazł Ordega, gdyż młody wdowiec nie brał jeszcze w tańcach udziału.

Niemożność dłuższej gawędki z Edwardem widocznie zmartwiła i zakłopotowała Helenę; odbiło się to tak na jej twarzy, że przechodzący w tej chwili Fredzio stanął zdziwiony tym widokiem.

— Co pani jest? — zapytał z pewnym niepokojem w głosie — czy się co stało? czy jaka wiadomość?

— O! nic! nic wielkiego — odrzekła śmiejąc się uprzejmie — mam kłopot, z którego tylko pan mnie wyprowadzić możesz.

— Służę pani! — jakim sposobem?

— Potrzeba mi jednego daru od pana, o który mi prosić nie wypada.

— Ależ pani! nie ma rzeczy, którejby nie ofiarował pani w tej chwili, jeśli tylko to możliwe i odemnie zależy.

— Tylko od pana.

— A więc tembardziej! niech pani rozkazuje.

— Mam tu w książeczce zapisane nazwisko pańskie przy drugim kontredansie.

— Tak pani — prosiłem o to onegdaj jeszcze.

— Daruj mi pan tego kontredansa i pozwól rozporządzić się nim inaczej.

— Jeżeli pani sobie tego życzy... składam i tę ofiarę, choć nie spodziewałem się tak ciężkiej.

— Dziękuję panu! serdecznie dziękuję. Czy się panowie z sobą nie znacie? — zapytała, zwracając się do Edwarda, i jeszcze Fredzio nie wyszedł z podziwu po niemiłej niespodziance, gdy przedstawiła ich nawzajem, a tak jakoś serdecznie, z tak wyraźną chęcią złagodzenia przykrości zrobionej jednemu i osłonięcia drugiego przed możliwą pretensją, że się obaj uśmiechnęli.

Gdy Fredzio odszedł, odezwała się do Edwarda.

— Dałam panu dowód, jak bardzo chcę byśmy z sobą tańczyli. Ten poczciwy Fredzio nie będzie się może na mnie gniewał, z kim innym nie śmiałabym tak postąpić.

— A któż jest ów pan Fredzio?

— Krewny wujenki i., były mój konkurent; tylko to ostatnie proszę zachować przy sobie, nikomu bym się innemu do tego nie przyznała. Jak on się panu wydaje?

— Jest typem złotego młodzieńca warszawskiego, trudno po tem coś korzystnego wnioskować.

— Tak, to prawda, mówiłam mu już nieraz, że robi z siebie lalkę, ale przekonałam się, że to dobry chłopiec.

— Pani bardzo łatwo o nabycie takiego przekonania; patrząc na ludzi przez różowe okulary widzimy wszystkich w korzystnym świetle, ale jakże się łatwo zawieść w ten sposób!

— Nie wierzy pan, że Fredzio jest poczciwym chłopcem?

— Owszem, nie wątpię o tem, dał nawet dowód, przez ustąpienie mnie swego miejsca.

W tej chwili muzyka zagrała polkę i kilku naraz tancerzy zbliżyło się z pośpiechem do Heleny.

Edward odszedł na stronę i stanąwszy we drzwiach salonu, zaczął śledzić okiem unoszącą się w tańcu dziewczynę, która magnetycznie pociągała ku sobie jego oczy i serce. Dojrzał, że spojrzenia jej zwracały się ciągle w przeciwną

od niego stronę — u drzwi salonu pojawił się Ludomir Oporowski.

Nie mógł zataić tego przed sobą Edward, że jego rywal posiadał znakomite warunki do imponowania i zachwycania w salonach. Jego wyniosła, piękna postawa, artystyczna głowa, wymowne, błyszczące oczy, układ pelen niezaprzeczanej dystynkcyi, wszystko to razem tworzyło całość, którą można wyróżnić wpośród wielu.

Co się kryło pod tą świetną powierzchownością? czy Oporowski lepszym był czy gorszym od swojej opinii? — trudno było wiedzieć. Nie poznałby tego zapewne najbiegłęjszy fizjonomista — niepodobna więc żądać takiego daru przenikliwości od młodej istoty, która się chowała na pustyni.

W braku pewników rozumowanych, występują częstokroć instynkta; Edward instynktownie nie lubił tego człowieka — instynkt Heleny mówił inaczej.

Jakże go ona kochała! było to widocznem w każdym jej spojrzeniu. Zarumieniła się, gdy się do niej zbliżył, pierś jej wznosiła się przyspieszonym oddechem, gdy przemówił, a gdy ją znowu pociągnięto w wir tańca, widocznem było, że ją tancerz nic nie obchodził, że lekkością i wdziękiem przypodobać się chciała tylko Ludomirowi, który wodził za nią okiem nieustannie.

W kontredansie Edward zawiązał z nią rozmowę o Junoszówce, starym jej dworku i jego mieszkańcach, o stepie i w ogóle naturze ukraińskiej; pragnął rozbudzić wspomnienia przeszłości, sądząc że mogą się one stać przeciwwagą urokom wrażeń terażniejszych. Helena mówiła o tem chętnie i gorąco, ale o tęsknocie za starszkami, za wsią, dworem, ogrodem — nie było teraz wzmianki.

Że zaś najbardziej lubimy mówić o przedmiocie naszego przywiązania, więc i rozmowa o Ukrainie skończyła się na Oporowskim, którego marzeniem miała być wycieczka w stepy, w celu studyów malarskich i zdejmowania krajobrazów. Przyznała się Helena Edwardowi, że było już umówionem zatrzymanie się w Junoszówce i obranie jej za punkt główny, z którego dopiero miały się robić wycieczki artystyczne w różne strony Ukrainy...

— Więc pani po zamążpójściu siostry wraca do Junoszówki? — zapytał Ordega.

— Zapewne... — odrzekła z pewnem zakłopotaniem, które dowodziło, że nie sięgała myślą w przyszłość tak daleko; owe zaś plany artystycznej wędrowki Oporowskiego, w której ona miała mu być przewodniczką, były to sobie marzenia luźne, mało jeszcze mające podstawy realnej. Miało to być kiedyś... w przyszłości.

Edwardowi jednak mówiły one dużo.

Po przetańczonym kontredansie udał się do ubocznej sali, bo mu widok Heleny, zamiast ukojenia, gorycz dzisiaj przynosił.

Państwo Emilowie zajmowali mieszkanie obszernie i elegancko urządzone. Z dużego salonu jedne drzwi prowadziły do buduaru, gdzie znużone tańcem damy poprawiały usterki włosów i sukni, oraz orzeźwić się mogły napojami chłodzącymi; przez drugie drzwi przechodziło się do apartamentów gospodarza, w których amatorowie preferansa i wista mieli zawsze przygotowane dla siebie pole, a spragnieni dymu tytoniowego mogli go użyć do syta; trzecie drzwi wreszcie wiodły do pokoju, w którym podczas balów umieszczano muzykantów. Zwykle wieczory tańczące odbywały się tylko przy fortepianie i skrzypcach.

Edward usiadł przy jednym ze stolików zielonych, na którym czterech emerytów z urzędowemi twarzami walczyło z sobą, jak przystało na ludzi poważnych, sztywnie, zimno i milcząco. Możliwość ich wziąć za manekiny, grające w karty, gdyby nie zjadliwe uśmiechy, pojawiające się niekiedy na bladych ustach, nie ostre spojrzenia rzucone na przeciwnika, które dowodziły ukrytej namiętności.

Niektóre z tych spojrzeń zwróciły się i na Edwarda, bezmyślnie patrzącego im w karty; wstał więc i przeszedł do gabinetu gospodarza, gdzie wśród kłębow dymu świeciły białe krawaty, z fantazją powycinane kołnierzyki i nieposzłakowanie ułożone fryzury i grzywki młodzieży. Tu rozmawiano dość gwarno, choć przeważnie monosylabami i lakonicznie.

— Ty! Gutek!

— Co?

— Jak się bawisz?

— Ujdzie.

— A wczoraj u prezesowstwa?

— Pod psem.

— A jakaż kolacya?

— Nieśmiertelne kotlety z groszkiem.

— Straszna rzecz! — mówił młodzieniec rozciągnięty na kanapce, wyciągając swe długie w płtykach trzewikach nogi na środek pokoju. — Żeby się już raz ten karnawał przeklęty skończył.

— A czegoż chcesz od niego?

— Ósmą noc pracuję jak farmaceuta — nie oplaci się, słowo ci daję.

— Panny ładne, przyznaj.

— Co mi po tem! — gołe.

— Nie wszystkie. Masz Junoszanki.

— Wielkie święto! — jedna tylko do wzięcia.
a i ta już zakochana po uszy w Oporowskim.

— To go odsadź.

— Daj mi pokój, jestem na to za ciężki — i mówiący usiłował pokręcić wąsa, który pomimo największych o niego starań rość porządnie nie chciał, snąć był na to za ciężki.

— Ja bo mam zakład o kosz flakonów u Stępka, że Fredzio nie da za wygranę i dokaże swego. Słyszysz Fredziu?

— Do mnie mówisz? — zapytał kuzynek pani Emilowej, zapalając w tej chwili papierosa, przy czem blask świecy, odbijał się efektownie od lśniących długich bardzo paznogi.

— Tak, do ciebie — czekamy aż nas zaprosisz na ślub z piękną Halką Junoszanką.

— Proszę cię... — odparł Fredzio kwaśno — bez tej poufałości; dobre to gdzieindziej, ale nie tutaj. Więc, cóż chciałeś mówić o panie Helenie Junaszance?...

— Patrzcie go! słyszeliście jaką mi palną naukę moralną. Niezawodny znak! kocha się! Ależ brawo! Fredziu, tem pewniejszy jestem wygranej. Gdybyś nie odbił Oporowskiego, wstydziłbym się za ciebie.

Fredzio, jakby mu ta rozmowa cała nie w smak była, puścił kłęb dymu, obrócił się na pięcie i zdążał ku drzwiom gabinetu. Przechodząc, ujrzał siedzącego na boku Edwarda. Wstrzymał się i po krótkim namyśle zbliżył się ku niemu.

— Pan widzę nie tańczysz?

— Tak, po kontredansie, który zawdzięczam panu, dałem za wygraną, widząc, że tancerzy nie brak.

— Ów kontredans dał mi możność pozna-
nia się z panem, a bardzo sobie tego życzyłem.
Tyle słyszałem o nim od panien, z taką sym-
patyą zawsze wspominały... szczególnież panna
Helena.

— Istotnie, stosunek nasz rodzinny, bardzo
dawny, przyjaciołmi nas zrobił od dziecka.

Fredzio zawahał się, jakby chciał coś mó-
wić, ale się lękał, gdy w tej chwili z salonu do-
leciało hasło mazura.

— Przepraszam pana — rzekł — obowiązek
mnie wzywa.

I skłoniwszy się grzecznie, pośpieszył do sa-
lonu.

Edward musiał sobie przyznać, że pomimo
błazeńskiej fryzury, w tym złotym młodzieńcu
było coś więcej niż w bezmyślnych, zidyocia-
łych jego towarzyszach.

Edward tańczyć nie chciał, zwłaszcza że
i Wanda, podobnież jak Helena, zamówioną była
do wszystkich tańców. Ale mazur był jego sła-
bą stroną, wesołe jego dźwięki rozpedziły chmu-
ry z czoła zawołanemu mazurzyście. Stał więc
u drzwi salonu, by się przynajmniej przypatrzeć

tańczącym, ale ledwo się mógł rozejrzeć wkoło, przybiegła Helena wziąć go do figury. Okazało się wkrótce, że mało jeszcze znany towarzystwu, był on najlepszym tancerzem, a wobec jego pięknej postawy, werwy, siły i lekkości w tańcu, poszli w kąć znani danserowie, bo wyglądali, jakby każdy z nich miał jakąś wadę w nogach, albo powstał z ciężkiej choroby.

Więc już nietylko Helena i Wanda, ale prawie wszystkie panny po kolei wybierały go do figur, a po kanapach i fotelach biegł szept wyraźny zaciekawienia. Gospodarstwo na wszystkie strony opowiadać musieli kto to taki?

Kilka mam, obdarzonych córkami, zanotowało sobie nawet adres młodego doktora, by go wezwać w razie potrzeby. Tryumf Edwarda był równie świetny jak i niespodziewany; to też urzędowi galopanci, widząc że są zaćmieni, wyciągali nogi w gabinecie gospodarza i monosylabami a z przekąsem odzywali się o młodym doktorze.

Wszystko to było dlań najzupełniej obojętnem, cała wesołość tańca nie mogła przytłumić w nim tajemnego bólu, jaki odczuwało serce. Helena była dlań straconą. Uśmiechała się wprawdzie rozkosznie, tańczyła z nim najchętniej, ale sama swoboda niczem niezmacona, jaką nacechowane było postępowanie jej z Edwardem,

mówiła wyraźnie, że oprócz siostrzanych uczuć, niczego się od niej spodziewać nie mógł.

Tegoż jeszcze wieczora miał zdobyć smutną pewność w tym względzie. Zauważył on, że od kolacyi, przy której Oporowski siedział przy Helenie, zaszła jakaś dziwna zmiana w jej humorze; zaniechała tańcow, twarz jej promieniła się jakimś niezwykłym wyrazem a oczy zachodziły jakby łzami. Ślicznie jej było z tem wzruszeniem tajonem, z płomieniami na licach, z drżeniem, wstrząsającym pierś dziewczycą, z okiem zdającym się błędzić gdzieś w przyszłości, pociągającej urokiem niezwykłym.

Zmiana była tak widoczną, Helena tak łatwo zdradzała się z tem, co się w jej sercu działo, że Edward nie mógł się na tem nie poznać.

Pod koniec wieczoru znalazł się przypadkiem koło Wandy.

— Czy pani nie dostrzegła zmiany w usposobieniu dzisiejszem siostry? — zapytał ją po chwili rozmowy.

— Oczywiście, — ona się z niczem ukryć nie potrafi, a teraz wcale się jej nawet nie dziwię, przebywa chwile pełne wrażeń.

— Czy tej zagadki nie pomoże mi pani rozwiązać?

— Owszem, dla pana nie mamy tajemnic. Pan Oporowski oświadczył się dziś Helenie.

Edward zbladł, ale hamując gwałtowne wzruszenie, zapytał jeszcze.

— Cóż pani na to?

— Ja? zdania mojego nie wypowiadam, bo w tym razie nie miałyby żadnego znaczenia. Ani ja, ani nikt na świecie nie potrafi wpłynąć na Helenę. Wuj i wujenka po kilku próbach zaniechali usiłowań w tym względzie. Dziadka i babkę potrafi ona także przekonać i zjednać sobie z pewnością. Co do mnie, kochając Helenkę, lękam się o jej szczęście, ale milczę, bo nasze przekonania i poglądy zawsze się różniły. Ona ma naturę ojca naszego — był to człowiek nieugięty.

Milczeli przez chwilę oboje.

— Wie pan, panie Edwardzie, że jestem teraz pewną przyjazdu do Warszawy wszystkich naszych z Junoszówki.

Niech się tylko dowiedzą o losie Heleny, przybędą z pewnością — ona była zawsze ukochanym dzieckiem. Cieszę się z tego podwójnie, bo już temsamem usunie się potrzeba podróży naszej na Ukrainę, która narzeczonemu memu wydaje się końcem świata. Zrana wyprawiam list do Junoszówki i jestem pewną, że będziemy ich mieli wkrótce.

— A termin ślubu pani jeszcze nie oznaczony? — zapytał Edward, usiłując rozmową o przed-

miocie dlań obojętnym zagłuszyć ból przygniatający mu serce.

— Dotychczas nie jeszcze, ale przybycie gości naszych z Junoszówki termin ten przyspieszy z pewnością.

— Więc i pani z upragnieniem czekać musi odwiedzin, które zbliżyć mają tak uroczystą w życiu jej chwilę?

— O, tak! Radabym, żeby to nastąpiło jak najprędzej, gdyż nazajutrz po ślubie mamy jechać do Paryża. Przynależ mi to hrabia najuroczyściej.

VIII

Z właściwą mu energią i pracowitością zabrał się Eward Ordega do zdobywania sobie w Warszawie stanowiska.

Pomimo warunków jakie posiadał, mianowicie: nauki, zdolności i powierzchowności sympatycznej, obok charakteru sumiennego i już wyrobionego — początki na tej drodze były trudne i zniechęcające. Koledzy patrzyli nań z pewną zazdrością, jak na intruza i przybysza, mogącego z czasem niebezpieczną wytworzyć im konkurencję; klientela wyrabiała się nie łatwo, z powodu zupełnego braku stosunków, a nadobitek, pierwsze praktyki lekarskie, jakie mu się nadarzyły, dały rezultat nieszczęśliwy.

Wezwano go kilka razy do takich chorych, którym już nic pomódz nie mogło, więc śmierć podatek swój otrzymała. Ktoś zastrzelił się, drugiego apopleksya dotknęła, trzeci zagorzał śmier-

telnie — znowu brano Ordeę, najczęściej w nocy, z łóżka, po to tylko, by żadnej ztąd nie odniósł korzyści, ani moralnej ani materyalnej, narażonym był jeszcze na pisanie protokółów sądowych i składanie świadectwa, co do zaszłych wypadków, przed władzą.

Koledzy odsyłali do niego wszystkich chorych ubogich; gdy zaś ci ostatni przekonali się, że młody lekarz traktuje ich z całą bezinteresownością a serdecznie, zaczęli się coraz tłumniej garnać doń pacyenci tego rodzaju, którzy mu ani imienia, ani pieniędzy przysporzyć nie mogli.

Przygotowany na to wszystko, Ordeęga nie tracił nadziei, ani się zrażał złym początkiem. Cały czas wolny od takiej praktyki poświęcał pracy nad sobą samym, starał się o wyrobienie sobie wstępu do klinik i szpitalów, a późno w noc wertował najnowsze książki i dzienniki lekarskie.

Pewnego dnia, w poście, gdy powróciwszy z obiadu do domu, zabierał się do czytania świeżo nabytego dzieła, dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju i do gabinetu wszedł Fredzio.

Jak wiemy, znali się oni trochę ze spotkania w domu pana Emila, odwiedziny te wszakże niespodziewane zdziwiły gospodarza.

— Może panu przeszkadzam w czem? — odezwał się Fredzio; — wdzięcznym będę za szcze-

rość, bo chociaż jestem próżniak, wiem o tem, że dla innych ludzi czas bywa drogi; a przyszedłem nie jako chory, tylko z wizytą.

— Tem mi przyjemniej pana witać — rzekł Ordega, skinieniem prosząc by usiadł. — Jest to czas przeznaczony na odpoczynek.

— Czas, którego nie mają ludzie jak ja, odpoczywający od rana do wieczora.

— Po karnawale — wtrącił uprzejmie Edward.

— Gdzietam panie! — zawsze! Należę do tych pracowitych próżniaków, którzy karnawał mają nieustannie. Niewiem jak kogo, mnie to już śmiertelnie znudziło i myślę w tych dniach uciekać z Warszawy.

— Pan wyjeżdżasz? — na długo?

— Nie wiem, ani nawet dokąd. Jadę gdzieś za granicę... szukać wiatru w polu.

— Myślisz pan, że żartuję? — zawołał, widząc uśmiech Edwarda — bynajmniej! Dokuczyło mi tu wszystko, chcę się przewietrzyć, odżyć trochę. Matka chciała, bym się żenił koniecznie i gospodarzył, ale jakoś do jednego i do drugiego nie jestem przygotowany. Gospodarka dziś wymaga pewnej nauki — ja nie mam o niej pojęcia; więc może wstąpię do jakiego zakładu agronomicznego w Halli albo Gandawie, nie wiem jeszcze gdzie, dość że dokuczyło mi próżniactwo,

a zabaw, tańców i salonów naszych mam już póty!

Tu podniósł rękę wyżej ucha.

— Przyznasz pan — dodał — że jak na krótką znajomość naszą, jestem bardzo otwarty. Miałeś mię pan z pewnością za takie zero okrągłe, jak każdy przeciętny złoty młodzieniec; wołałem więc sam przyznać, że tak jest i że ja to widzę.

— Skoro pan zdolny jesteś do tak ostrej krytyki samego siebie, to już jest dla mnie dowodem, że się niesłusznie do owych przeciętnych zaliczasz.

— Jeżeli więc pan tak o mnie myślisz, nie bierz mi za złe, że w dalszym ciągu równie z nim będę otwartym i szczerym.

— Owszem, proszę. Radbym panu w czem służyć.

— Na ten raz, nie o mnie tu idzie, ale o kogoś, kto mię interesuje żywo — a i dla pana nie jest obojętnym...

Edward spojrział pytająco zdziwionem okiem.

— Domyślasz się pan, że mówię o panie Helenie Junoszance, dawnej znajomej i podobno krewnej pańskiej. Chciano mnie z nią żenić i ja też — czego mi pan za złe wziąć nie możesz — gotów byłem na ten raz poddać się woli rodziny, przekonany, że żadnej trudności nie spotkam

ze strony panienki tak młodej i na wsi chowanej. Miałem tę głupią zarozumiałość mojego cechu, żem się uważał jako *irresistible*. Dostałem odkosza, który otworzył mi oczy, ale udzielono mi go tak jakoś serdecznie, z taką prostotą, bez cienia złośliwości, że będąc obojętnym prawie przedtem, przestałem nim być odtąd. Istotnie, żadna z kobiet jakie znam nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, i nigdy chętniej niż w tym razie nie zdecydowałbym się posłuchać matki mojej, pragnącej koniecznie ustalenia mojego losu. Ale stało się, panna Helena dała mi wyraźnie poznać, że moją być nie może a i ja sam spostrzegłem się, żem jej nie wart. O mnie więc nie ma mowy; zostanę dla niej z przyjaźnią i szacunkiem, jakiego jeszcze żadna panna we mnie nie wzbudziła, a może kiedyś upomnę się i o jej szacunek dla siebie. Idzie teraz o nią. Kocha się w Oporowskim — to widoczne, a byłoby dla niej nieszczęściem, gdyby za niego wyszła. Bez żadnych więc widoków własnych, jak pan widzisz, chciałbym ją ustrzedz od tego — i tem się tłumaczy moja wizyta dzisiejsza u pana. Gdybym ja wystąpił przeciwko niemu, — posądzono by mnie o interesowność; zresztą nie mam prawa. Pan masz je, jak sądzę, z tytułu starej znajomości i pokrewieństwa, chciałem więc tylko zapewnić go sumiennie, że Oporowski to *mauvais*

sujeł w całym znaczeniu tego wyrazu, to, mówiąc po polsku, łotr wierutny, i panna Helena byłaby zgubioną, gdyby mu zawierzyła.

— Znasz go pan dobrze? — zapytał Ordega.

— Jak dla niego — aż nadto dobrze. Po tem, co o sobie panu powiedziałem, nie mogę w żaden sposób bawić się w katońską surowość względem innych, bo byłbym po prostu śmiesznym. Ale są przecież wszędzie granice, i właśnie, mojem zdaniem, Oporowski przeszedł wszelką możliwą granicę. Gdyby tylko grzeszył tem, o czem wszyscy wiedzą, to jest był rozpustnikiem, graczem, utracyszkiem, uwodzicielem, nieczetnym dłużnikiem — milczałbym, bo to wszystko jeszcze przebaczonem być może, niejedyn taki usatkwował się i był porządnym później człowiekiem. Ale przyznasz pan, że ciężar tych grzechów zależy dużo od okoliczności i warunków, w jakich się je popełnia; Oporowski umiał grzeszyć tak, że złota młodzież, do której koła należeć pragnął, stroniła od niego, a nawet nie podawano mu niekiedy ręki...

Tu opowiedział Fredzio kilka faktów na poparcie swojego zdania, których Ordega wysłuchał w smutnem milczeniu.

— Przyznaj pan, że strzedz rodzinę przed taką osobistością, jest obowiązkiem każdego człowieka. W panu widząc przedstawiciela rodziny

panny Junoszanki, przyszedłem obowiązek ten wypełnić.

— Znałeś pan jego żonę? — zapytał po chwili Edward.

— Znałem, — była to piękna kobieta, bogata i szalenie do niego przywiązana.

— Czy ma jeszcze rodzinę jaką? siostry może?

— Nie — ma tylko ojca, do którego się nie przyznaje, gdyż stary dożywa gdzieś wieku na łasce u obcych. Człowiek to był kiedyś dostatni, ale syn stracił całe jego mienie, podobnież jak i posag żony.

— Pytam o rodzinę — mówił Edward — dlatego, że podczas pobytu mego w jesieni w Paryżu, spotkałem niejaką panią Oporowską w szpitalu ubogich, nieszczęśliwą suchotnicę, od wszystkich swoich opuszczoną.

— To była pewnie żona Ludomira! Słyszałem, że umarła w nędzy.

— Nie może być — rzekł Edward — ta o której mówię, żyła jeszcze przed miesiącem, donosił mi o tem lekarz ordynujący, z którym korespondowałem. Może i dotąd żyje.

— Ha! zapewne to ktoś inny — choć wiesz pan, po Oporowskim wszystkiego się można spodziewać. On byłby zdolnym nosić żałobę przed śmiercią żony, gdyby mu tak wypadło z interesu.

— Co za myśl!

— Wierz mi pan, że prawdopodobna. Wkrótce będę w Paryżu i postaram się rzecz sprawdzić na miejscu; od pana zaś dostanę może list polecający do tego lekarza, któryby mi otworzył drogę. Wszak mi nie odmówisz?

— Owszem, skorzystam z tej okazji, by przesłać koledze pewne informacje, których żądał, co do urządzenia szpitali u nas. Kiedy pan myśli wyjechać?

— Za dni kilka.

— Więc przedtem jeszcze będę u pana i list mu przyniosę.

Rozstali się; Ordega zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju, smutny i niespokojny.

To co mu Fredzio mówił o Oporowskim, powinnyby go raczej zadowolnić niż zasmucić, gdyż wynikała z niego niemożność małżeństwa Heleny z tym człowiekiem. Ale Ordega kochał ją nie samolubnie i bolał naprzód nad zawodem, jakiego doznać miało gorące i ufności pełne serce dziewczyny.

Pozycja jego zresztą była trudna i przykra. Jako przyjaciel rodziny i prawie krewny Junoszków, czyż mógł on pozostać obojętnym świadkiem zawiązującego się tak nieszczęśliwie stosunku, który groził zgubą Helenie? czy mógł nie przyłożyć ręki do zdemaskowania człowieka, w którym ona ideał swój upatrzyła, podczas gdy on zasługiwał tylko na pogardę?

Ale z drugiej strony, czy godziło się, kochając Helenę, występować złowrogo przeciw temu co ona miała za szczęście swoje, wydzierać jej wiarę w człowieka, który mógł być przecie lepszym od swej opinii?

Ordęga instyktownie nie lubił Oporowskiego, to co mówił o nim Fredzio zasługiwało na wiarę, był tego pewnym, ale ostatecznie faktów nie widział, a zazdrość umie zaślepić bardziej, niż inne namiętności.

W tem błędnem kole myśli obracał się pan Edward długo; ściemniło się już zupełnie na ulicy i w pokoju, a on przechadzał się jeszcze krokiem niespokojnym, trąc niekiedy czoło niecierpliwie, jakby napróżno szukał rady.

W salonie pani Emilowej w tym czasie panował również mrok wieczoru, nierozpraspany żadnem światłem sztucznem, a wśród tego romantycznego otoczenia, w dwóch przeciwnych końcach sali, dwie pary gwarzyły tajemniczo.

Hrabia z Wandą układali wspólnie plan swej podróży poślubnej; Oporowski z Heleną, nie mogąc jeszcze tak blizkich snuć projektów, marzyli o możliwości szczęścia.

— Szczęście! — mówił melancholicznie pan Ludomir — rzadki to kwiat, którego w dotychczasowej wędrówce mojej nigdy nie spotkałem, chociaż mi go zazdroszczono i miano mię za

szczęśliwego wybrańca losu. Nie wiem naprawdę, czy kto ma więcej odemnie nieprzyjaciół, choć sądząc z pozoru, wszyscy mi życzliwi...

— Czem się to dzieje? — zapytała ze współczuciem Helena.

— Bo i do ludzi trzeba mieć szczęście — a ja go nie miałem nigdzie. Zresztą i moja w tem trochę wina! Ludzie nie znoszą tego, co się od nich odróżnia, co przewyższa ich charakterem, zdolnościami czy pojęciem. Każda samodzielność musi mieć wrogów, mierność tylko może być od nich wolną. Należałem do tych, co idą nie tam gdzie inni, powodują się własnem zdaniem i uczuciem, opinii rzucają rękawicę — ztąd nienawiść, obmowa, prześladowanie... Jeżeli panią dotąd nie doszły czerniące mię wieści, jestem pewny, że dojdą, nawet takie, które domagać się od niej będą wiary... i...

— Nie znajdą jej! — dokończyła Helena.

Oporowski ujął rękę dziewczęcia i usta swoje do niej przycisnął z niemem podziękowaniem.

— Ja panu wierzę! — mówiła dalej z przejęciem się — a u mnie wiara taka silniejsza nad wszystko — szczególnie zaś nad sądy ludzkie. Choćbym nie miała sama sposobności ocenić, na jak błażej często opierają się one podstawie i z jakiego płyną źródła — doświadczenie mojego

ojca mogłoby mi wystarczyć. On był także nie-szczęśliwym z winy ludzi.

— Ilekroć mówi mi pani o ojcu swoim, przedstawia mi się on tak żywo, tak wyraźnie, jakby duch jaki blizki i pokrewny... I ja, niestety, poznałem co to jest świat! i mnie odebrał on szczęście i poił goryczą... Moje ożenienie, naprzykład, byłoby może również szczęśliwszem i dało mi więcej spokoju, gdyby nie opieka ludzka nie-proszona... Przedmiot to dla mnie tak bolesny, że nie miałem dotąd odwagi poruszać go przed panią...

— Więc nie mówmy o tem!

— O nie! pani. Sumienie dręczyłoby mię wyrzutem niespełnionego obowiązku, gdyby jakakolwiek karta mojego życia została przed panią zakryta... Za ufność, jaką sobie pozyskałem niezasłużenie jeszcze, powinienem się odwdzięczyć szczerością zupełną. Zresztą, będą o tem ludzie mówili pani szeroko, żem się ożenił dla posagu, był najgorszym mężem, tyranizował moję żonę, o śmierć ją nawet przyprowadził; są to rzeczy niby powszechnie znane, o których nikt z moich przyjaciół nie wątpi a ja nie protestuję — nie chcę im robić tego honoru. Ale przed panią muszę sam powiedzieć co o tem myślę...

— Ludzie kłamią! — odezwała się z zapalem Helena.

— Pani — rzekł poważnie i smutno Ludomir — rzadko kiedy w kłamstwach ludzkich nie kryje się ani odrobina prawdy. Jest więc odrobina owa i w tem, co mówią o mojem małżeństwie: ożeniłem się rzeczywiście dla posagu, żona moja była istotnie nieszczęśliwą — ta tylko zachodzi różnica, że jedno i drugie nie z mojej poszło winy.

Helena z pewnym niepokojem spojrzała na mówiącego, jakby żałując, że się przed nią oskarżał. W tej nieproszonej spowiedzi był ton jakiś dla niej przykry, niby fałszywy.

— Tak, pani. Ożeniłem się, mając lat dwadzieścia, z osobą starszą odemnie, choć piękną, bez tego przywiązania, bez harmonii dwóch dusz, która stała się odtąd marzeniem mojem. Ojciec kazał mi pod błogosławieństwem, bym się woli jego nie opierał, gdyż chodziło o ratunek majątku; matka, chora już wówczas ciężko, mówiła, że nie umrze spokojnie, jeśli ojca nie posłucham; cała rodzina nalegała, a gdy się broniłem w imieniu praw mego serca, mówili wszyscy, że obowiązki rodzinne są wyższe i że będę wyrodkiem, gdy ich nie uszanuję. Przyszła żona moja była, jak powiedziałem, piękna, kochała mię — ja miałem lat dwadzieścia; skończyło się tak, jak w podobnych warunkach skończyć się musiało. Wzięliśmy ślub. Taki był początek mojego nieszczęścia.

W miarę jak życie rozwijało się przedemną coraz szerzej i nabywałem doświadczenia, którego mi przedtem brakło — uczucie popełnionego na wstępie do życia błędu wzmagало się z dniem każdym. Między mną a żoną moją nie było żadnej wspólności uczuć ani poglądów; mnie pociągała ku sobie sztuka, poezya, nauka, słowem świat wyższych wrażeń i polotów; dla niej wszystko to było obojętne, śmiała się z mojego zamilowania do muzyki i malarstwa, wzgardliwie nazywała poetą; gdy zaś ludzie z tego korzystali, by moje artystyczne usposobienie wytłumaczyć jej w sposób nikczemny — zaczęła być zazdrosną, gryźć się tem i mnie ustawicznie podejrzeniami przesładować.

Straciłem u niej wiarę zupełnie — a pierwszy lepszy plotkarz doznawał zaufania; oszczerstwo za oszczerstwem, intrygi szkaradne stanęły między nami, jak złe duchy; ja byłem najnieszczęśliwszy i ona także. Nieustanna irytacya i męczarnie bezzasadnej zazdrości przyprawiły ją o chorobę, i ta towarzyszyła całemu pożyciu naszemu. Może jaki dramat albo powieść powiedziały już pani, czem jest dla męża żona, chora i zazdrosna... Ja powiem tylko, że pożycie podobne jest piekłem, którego żadne pióro opisać nie zdoła...

Westchnął i zadumał się. Helena, pozbywszy się chwilowego niepokoju, słuchała go z gorącym przejęciem się i łzy kręciły się jej w oczach. Przed wyobraźnią serdecznego dziecka pustyni stanęła postać jej ojca, którego tak gorąco kochała za to, że był nieszczęśliwym, że zły świat zatrzał mu życie. I zdawało się jej teraz, że nawet powierzchowność pana Ludomira przypomina tę drogą, ukochaną postać.

W rzeczywistości, piękna twarz Oporowskiego, nosząca charakter zdrowia i zadowolenia, najmniejszego nie miała podobieństwa do portretu ś. p. Stanisława Junoszy. Tylko, przejęty rolą swą, pan Ludomir potrafił nadać twarzy swojej wyraz szczerego przygnębienia i smutku, a padający na nią mrok wieczorny dodawał mu siły.

Pomimo całej pozornej szczerości jego głosu i wyznań, doświadczone oko poznałoby niezawodnie, że i on pozuje, co zresztą dostrzedz w nim było można zawsze i wszędzie. Wychowana na pustyni Helena poznać się na tem nie mogła, owszem, bajroniczna poza pana Ludomira rozogniała jej wyobraźnię i serce. Nie była w tym względzie pierwszą.

— Spowiedź moja, mówił po chwili piękny bajronista, musi być niezupełną. Grób, którym się dzieje małżeństwa mojego zakończyły, upo-

mina się o należne mu poszanowanie; o niejednej rzeczy, mogącej mnie obronić, milczeć wypada. Powiem tylko, że kobieta, z którą mię los tak nieszczęśliwie powiązał, umierając, wymogła na mnie przyrzeczenie, że się postaram w innym, szczęśliwszym związku znaleźć pociechę i zapłatę za tyle lat zmarnowanych. Nie miałem wiary, by szczęście mogło do mnie uśmiechnąć się jeszcze, ale dziś wierzę w to święcie! czuję błogosławione jego tchnienie... Do świata, który tak ciężko dał mi się we znaki, z pustyni, do której tęskniłem zawsze, przyszło ono — dobre, piękne, serdeczne, takie o jakim marzyłem!

Tak mówiąc, ujął obie ręce Heleny i z zapalem do ust je przyciskał. To samo powtórzyło się i w drugim kącie salonu, gdzie siedzieli hrabia i Wanda, tylko, gdy serduszko Heleny biło silnie z szczęścia, radości i obawy jakiejś tajemnej, Wanda z zupełnym spokojem podawała Korczakowi ręce, a myśl niedalekiego ślubu łączyła się tylko z troską o piękną suknię i z odgadywaniem przedślubnych darów.

Drzwi się otworzyły; wszedł lokaj niosący dwie lampy, a w ślad za nim pani Emilowa, ze złośliwym uśmiechem poglądająca na dwie pary zakochane.

— Panie Ludomirze! — przynieśli mi z księgarni romans francuzki, o którym mówiliśmy; może spróbujemy?

— Jestem na rozkazy pani.

Otworzono fortepian, pani Emilowa szybko wybrała sobie muzykę wtóru z nut przyniesionych; wkrótce piękny barytonowy głos Oporowskiego ozwał się w salonie; z najczystszyim akcentem wymawiane wyrazy opiewały tęsknotę i miłość bez granic.

Wanda szepnęła wesoło Korczakowi.

— Pan Ludomir będzie naprawdę wymarzonym dla Heleny mężem: gra, śpiewa, maluje, artysta całą duszą! Los nie mógł stosowniejszego dla niej zrobić wyboru!

— A dla pani czy się okazał równie zręcznym?

— To się jeszcze pokaże! — szepnęła wesoło, rzuciwszy narzeczonemu uśmiech, który, jak złota wędka, ujął serce starego kawalera.

Takich uśmiechów nie znano chyba na pustyni, pochodził on już z wytrawnej szkoły świata. W szkole tej Wanda zadziwiająco istotnie robiła postępy.

IX

Wiadomość o konkurencie Heleny i jego oświadczeniach zrobiła w Junoszwówce wrażenie wielkie. W pierwszej chwili wszyscy wykrzyknęli jednogłośnie: musimy jechać do Warszawy!

Z tem, że Wanda była zaręczoną a przyszły małżonek jej ociągał się widocznie z przyjazdem na pustynię, jakoś się już staruszkowie oswoili. Ona zawsze tęskniła do świata i ciasno jej było w cichym dworku, znalazła się teraz dopiero w swojej sferze, a z listów jej poznawano z łatwością, że do towarzystwa dziadków nie tęskni. Choćby nawet wypadło zrzec się przyjemności oglądania jej w ślubnej sukni, Junoszowie przystaliby już na to, zraziła trochę obojętnością swą ich pocziwe serca, okazała się niewdzięczną dla tych, co ja ukochali, jak dziecko własne.

Ale pocieszano się zawsze tem, że zostanie im wnuczka młodsza, że do nich wróci, by zno-

wu żywością swą i weselem napęłnić osmutniały dworek.

Gdy więc jak grom niespodziewanie spadła wiadomość, że mogą i tę pociechę starości swej stracić, staruszkowie byli mocno zalterowani i zdało się im, że świat ich krzywdzi i że mu się raz stanowczo oprzeć należy.

Wobec tego uczucia, względ na szczęście Heleny ustąpił na stronę, nie myślano jeszcze o tem, czy ów pan Oporowski będzie dla niej dobrym czy złym mężem, był dla nich z góry niepożądanym, natrętnym, wrogiem prawie, od którego trzeba się było bronić.

Pomyślano tedy na seryo o wyjeździe do Warszawy, by po odbytych ślubie Wandy, natychmiast, razem z Heleną, wrócić do Junoszkówki.

Niestety, starość nie może być pewną wykonania swych planów, siły nie zawsze już odpowiadają chęciom a wzruszenia wszelkie, zamiast podniecać je i potęgować, jak to bywa za młodu, działają wrogo, odbierając możność do spełnienia czynu.

Pani Junoszyna, ze zmartwienia, zgryzoty i płaczu, zaniemogła tak, że się do łóżka położyć musiała; mąż zostawić jej w tym stanie nie śmiał w żaden sposób, że zaś pośpiech był koniecznym i każda chwila drogą, postanowiono, że po-

jedzie Ordęga sam, i cokolwiek bądź znajdzie w Warszawie, Helenę do Junoszkówki przywiezie.

Skoro raz na tem stanęło, pan Marek oświadczył, że wyrusza nazajutrz dodnia i wyjechał istotnie, wpieryw, nim Junoszowie z myślą tą oswoić się potrafili.

Pomimo wieku swego, miał on zdrowie żelazne a w działaniu każdym energię wielką. Nie żałując też trudu, przesiadając z wózka na wózek pocztowy, gdyż kolei jeszcze do Brześcia nie było, stanął w Warszawie w dniach kilku, gdy go się tam jeszcze nikt nie spodziewał.

Rozmówiwszy się z synem, który mu wiadomości potrzebnych udzielił, pan Marek nazajutrz przed południem wybrał się, w stroju swem odświętnym, do domu pana Emila.

Lokaj kończył właśnie porządki jakies, gdy go przybyły zapytał, czy państwo w domu.

— Nie ma nikogo — odrzekł nieco lekceważąco, rzuciwszy okiem na niepozorny strój pana Marka.

— Gdzież są?

— Albo ja wiem! pani z pannami poszły na spacer a pan od rana na mieście; niezadługo już pewno wróci.

— To ja zaczekam — rzekł Ordęga, wchodząc do przedpokoju.

Lokaj chciał przeciw temu zaprotestować, ale pewność siebie i powaga w głosie nieznajomego

nać zaimponowały mu, gdyż zamilkł i, choć niechętnie, drzwi salonu przed nim otworzył.

Elegancja tego pokoju nie zrobiła na mieszkańcu Junoszkówki żadnego wrażenia; otoczenie podobne nie było mu niegdyś obcem, ale pozostało zawsze obojętnem. Usiadł pan Marek w fotelu i pograżył się w dumanie jakiegoś, nie zwracając zgoła uwagi na świecące dokoła brzozy, meble wytworne i aksamity.

Wprawne oko miejskiego sługi poznało po tej obojętności gościa, że nie jest to żadna figura podejrzana, którąby niebezpiecznie było w salonie zostawić, więc obejrzawszy się nań raz jeszcze, wyszedł, drzwi zamykając za sobą.

A Ordega dumiał o dalekiej przeszłości, której wspomnienie mu przyszło, wraz z widokiem tego salonu. Bywał on nauczycielem w domach możnych, znał się dobrze z życiem i ludźmi tej sfery a wyniósł z niej gorycz wielką, która, przez tyle lat spędzonych na pustyni, dotychczas jeszcze nie mogła ulotnić się z serca.

Teraz wrażenie jej odnowiło się, dzięki owym dziewczątkom, które pod okiem jego urosły i pod kierunkiem jego rozwijały się długo, a oto kilka miesięcy spędzonych wśród ponęt świata niszczyło jego wytrwałą pracę. Odbicie tego działania widział w listach Wandy i Heleny, mówiących mu daleko więcej niż obojgu Junoszom,

bo umiał czytać, jak to mówią, między wierszami i życie znał lepiej niż oni.

W dumaniu takim przeszło z pół godziny, aż rozległ się dzwonek w przedpokoju, a w ślad za tem, w sali przylegającej do salonu, od którego drzwi były wpół uchylone, odezwały się głosy dwóch osób.

— Pani przeziębła?

— O nie! — w ręce mi tylko zimno.

— Trzeba czempredziej zdjąć rękawiczki — najlepszy sposób; dopomogę pani.

— Dziękuję! — zrobię to sama.

Po chwili dał się słyszeć odgłos pocałunków.

— Panie Ludomirze! — odezwała się Helena z odcieniem urazy w głosie.

— Ogrzewam rączki pani, bo aż żal patrzeć, tak przeziębły.

— Dziękuję za współczucie dla nich, ale już im ciepło.

Z temi słowy stanęła we drzwiach salonu, nie uprzedzona widocznie, że w nim kogo zastanie. Na niespodziany widok Ordegi, zrazu zapłonila się silnie, potem z okrzykiem: dziadunio! dziadunio drogi! podbiegła ku niemu i rzuciła się w objęcia starca, który głowę jej przycisnął do piersi i z uczuciem czoło całował.

— A babcia? dziadek? — nie przyjechali?

Ordega opowiedział czemu.

— Spodziewaliśmy się was wszystkich! — zawołała Helena z żalem.

— Czy to znaczy, że ci tęskno było do nas, Halko?

— Oczywiście! — jużem was tak dawno nie widziała!

— Jest na to sposób. Wydamy Wandzię za-
mąż a potem wrócimy z tobą do Junoszków.
Nieprawdaż?

Helena zawahała się jakoś z odpowiedzią, a tymczasem, dowiedziawszy się o gościu, nadeszły Wanda z panią Ernestyną, zjawił się Oporowski, wkrótce i sam gospodarz.

Wystąpiono przed Ordęgą z całym zapasem owej uprzejmości salonowej, która usiłuje naśladować serdeczność; zatrzymano go na obiad, posadzono przy stole na pierwszym miejscu, zwracano ku niemu tylko rozmowę, ale pod niezręczną maską radości kryło się zakłopotanie całego towarzystwa. Panny obie były jakby zawstydzone i nie swoje, gospodarze powarzeni a starający się nadrabiać miną Oporowski, kłął w duszy chwilę, w której tak niefortunnie zjawił się dziś w tym domu.

Przy pierwszym przedstawieniu go Ordędze, starzec spojrział mu badawczo w oczy, a tak jakoś dziwnie, jak patrzyć może sędzia na oskarżonego. Przy obiedzie to samo spojrzenie spo-

tykał pan Ludomir często, a było mu ono przykrem niewymownie.

Ów stary przyjaciel i nauczyciel Junoszanek zupełnie inaczej rysował się w jego wyobraźni. Spodziewał się poznać zatabaczonego staruszkabakałarza, postać dobroduszną i uśmiechniętą, którego lada słówkiem obiecywał sobie ująć, a zręcznem pochlebstwem pozyskać całkowicie: tymczasem sama już postawa i piękna głowa Ordęgi, nosząca znamię rozumu i powagi, różniły się bardzo od tego obrazu, badawcze zaś oko zdradzało taką przenikliwość i umiejętność czytania w duszach ludzkich, jakich istnienia na pustyni ani przypuszczał pan Ludomir.

Po obiedzie całe towarzystwo przeszło do salonu, dokąd przyniósł lokaj na srebrnej tacy czarną kawę i likiery. Ordęga podziękował za jedno i za drugie, ofiarowanego sobie cygara także nie przyjął, tłumacząc się, że pali jedynie fajkę i to tylko u siebie w pokoju. Pocił się pan Emil, spotykając się ze spartańską surowością swego gościa, który go nią zbijał z tropu, że zaś sam lubił drzemkę poobiednią, po kwadransie wspólnej rozmowy zagabnął Ordęgę.

— Ponieważ kochanego pana dobrodzieja nie puścimy już dziś od siebie — może teraz, po obiadku zechce wypocząć chwilkę? Gabinet mój, sofka, fajeczka na usługi!

— Dziękuję bardzo — odrzekł gość — w dzień nie sypiam nigdy. Ale, jeżeli państwo pozwolą, zaproszę się do pokoju pańienek, z którymi mam trochę do pogadania.

— Ależ panienki będą z tego uszczęśliwione! — odezwała się pani Emilowa — one tak pana kochają. Proszę dom nasz uważać za własny i postępować w nim z zupełną swobodą.

Ordega z poważną grzecznością ucałował rękę gospodyni i za chwilę Wanda i Helena powiodły go do swej sypialni.

Powtórzyła się tu scena serdecznego powitania, po której dziewczęta usiadły przy gościu swym, onieśmiałe obie i milczące.

On spojrzał kolejno na jedną i na drugą, uśmiechnął się lekko i rzekł:

— Uważam, że obecność moja jest wam jakby nie na rękę; nie jesteście ze mną starym tak, jak to bywało dawniej w Junoszwówce i do czego przywykłem. Cóż to znaczy?

Ujął ich ręce i patrzył znów w oczy wychowanek swoich z łagodnym uśmiechem. One nie mogły się zdobyć na odpowiedź żadną!

— Więc ja wam powiem, co to znaczy. Pocznuwacie się do pewnej winy względem nas starych i to was onieśmiała. Dopóki chodziło tylko o pisanie listów — szło łatwiej; dziś gdy patrzymy sobie oko w oko, żywiej przypomniła

się wam pustynia, w której urosłyście szczęśliwe, gdzie kochaliśmy was jak dzieci najmilsze, a którą świat wielki wygnał wam z serca.

— O nie! nie, dziaduniu! — zaprotestowały obie panny jednocześnie — nie przestałyśmy was kochać!

— Czyż można posądzać nas o taką niewdzięczność — dodała ze łzami w oczach Helena.

— Tak, byłaby to istotnie niewdzięczność wielka, gdybyście zobojętniały. O mnie tu nie idzie — jestem człowiekiem obcym, choć wy dla mnie nigdy nie byłyście obcemi. Ale dziadek wasz i babcia mają prawa wielkie do waszej miłości, nie wiecie nawet, jak drogiemi dla nich jesteście — a mnie właśnie, jako obcemu, wolno powiedzieć, że postępowaniem swoim zrobiłyście ich zacnym sercom niezasłużoną krzywdę...

— O cóż nas dziadunio obwinia? — zapytała Wanda.

— Najpierw ciebie Wandziu o to, że sercem swem i ręką rozporządziłaś prawie samowolnie. Kochające dziecko nie postąpiłoby tak z rodzicami — a Junoszowie są dla was ojcem i matką.

— Przecież zawiadomiłam ich o wszystkim! — broniła się Wanda — tłumaczyłam się, prosiłam o pozwolenie i błogosławieństwo... Gdyby nie taka odległość wielka Warszawy od Junoszówki,

byłabym już dawno padła do nóg dziadkowi i babci.

— Prawda, że daleko... ale czyż to może być, na seryo mówiąc, przeszkodą dla kogoś co kocha? Można było się dostać z Junoszówki do Warszawy, by się bawić i używać przyjemności świata — możnaby więc było przyjechać i z Warszawy do Junoszówki, by zasięgnąć u starszków rady, i otrzymać ich błogosławieństwo przed tak ważnym krokiem w życiu, jakim są zaręczyny. Przecież to tyle znaczy co i ślub, bo uczciwe słowo waży tak wiele jak i przysięga... Tymczasem wszystko to odbyło się listownie tylko, więc zimno, jakby tam na pustyni mieszkali jacyś opiekunowie z urzędu, których tylko dla ceremonii się pyta. Zresztą, zwątpiwszy już o tem, czy dasz im poznać przyszłego swego męża, starszkwowie chcieli się wybrać sami do Warszawy, narażając się, pomimo wieku, na trudy i niewygody podróży, ale siły wypowiedziały posłuszeństwo, bo na starość opuszcza nas wszystko... nawet miłość dzieci.

Wanda podniosła chustkę do oczu, w których ukazały się łzy nieudane. We wzruszeniu tem było więcej może jakiegoś niepokoju sumienia, rozdrażnionej ambicji, upokarzającego poczuwania się do winy, niż serdecznego żalu;

nie mniej jednak Wanda doznała przykrości szczerzej.

— No, no — mówił dalej starzec — nie chciałem ciebie zasmucać, ani dotykać. Zresztą — już się stało. Jeżeli się poczuwasz choć trochę do winy lekkomyślności, bo innej ci nie zarzucam — trzebaby pomyśleć nad jej naprawieniem. Do Junoszków wprowadzie daleko, ale przecie jest to przestrzeń do przebycia — a godziłoby się dogodzić starcom, którym bliżej może do grobu, niż do was...

Podczas gdy Ordega to mówił, spozierając od czasu do czasu na Helenę, ona siedziała ze spuszczonei oczyma, czerwieniła się, to bladła na przemiany, a po szybko podnoszącej się piersi poznać było można, że walczy z silnem wzruszeniem.

Przez chwilę milczeli wszyscy, aż starzec odezwał się znowu.

— Postanowiłem odrazu wypowiedzieć wam, dziewczęta moje, co mi na sercu leżało, by już potem niczem pobytu w Warszawie nie zachmurzać. Pamiętajcie tylko, że nie jest godnem zanego serca, dla nowych miłości odrzucać dawne; gdyby bowiem to się godziło, jakież przywiązanie nasze miałoby wartość niezmienną, prawdziwą? Ten kogo dziś Kochamy nie miałby żadnej pewności, że będzie kochanym za rok, za dwa

łata, gdy nowy się znajdzie przedmiot przywiązania... Bywa tak, niestety, na świecie, ludzie się zmieniają, serca stygną, ale źle, że się tak dzieje i — wierzcie mi dzieci, życiu naszemu nadają ceny nie te kapryśne zachcianki serca, ale uczucia stałe, utrzymywane aż do grobu, jak naprzykład przyjaźń moja dla waszej rodziny. Kochałem ojca waszego, kocham was, kochać będę dziatki wasze, jeśli je mieć będziecie, i gdy wszystko wokoło zmienne i nietrwałe — na przyjaźni takiej polegać można, jak na Zawiszy!

Panny patrzyły na starego przyjaciela z tem uwielbieniem i czcią, jaką w nich dawniej często ku sobie budził. Czują, że każde jego słowo jest prawdą istotną, nie tylko z przekonania płynącą, ale życiem całym popartą. Gdy tak mówił poważnie a ze wzrastającym zapałem, twarz jego nabierała nowego wyrazu, oczy świeciły niezwykle, wyglądał na natchnionego kapłana, albo poetę.

— A ty, Halko, — co mi masz do powiedzenia? — rzekł po chwili — przykład siostry i ciebie zachęcił? Świat sprzysiągł się widzę, by Junoszkówkę zrobić prawdziwą pustynią! A my, cośmy hodowali was, jak ptaszyny ukochane, mamy na starość płakać nad pustą klatką, której mieszkanki daleko het w świat poleciały! Tak wam śpieszno, dzieci, do ciężkich obowiąz-

ków życia... A pamiętasz jeszcze ten wiersz naszego poety:

Oj! nie zawsze i nie wszędzie
Młode orle tak ci będzie,
Jako teraz u macierzy!...

Bądźcobądź przyjechałem tu, by cię Halko zabrać z sobą. Byłoby to grzechem wielkim, gdybyście razem opuściły tych, co jedną myślą o was żyją. Gdyby tęsknota przedwcześnie do grobu ich sprowadziła, ległoby to na waszem sumieniu — a zbyt wielki i bolesny byłby to ciężar. Nieprawdaż Halko?

— Prawda! — odrzekła w zadumie Helena.

Wanda, przypuszczając słusznie, że Ordega radby się z jej siostrą rozmówić we cztery oczy, dyskretnie wyszła z pokoju...

— Nie miałaś przedemną tajemnic Halko, — mówił starzec — przywykłem uważać cię za dziecko szczere i otwarte, którego czysta dusza nie ma z czem się taić, a myśląca główka chętnie zasięga rady przyjaźni i doświadczenia... Nie widzieliśmy się pół roku tylko, lecz przez ten czas przebyć musiałaś dużo wrażeń nowych, przemyśleć niemało, a zarazem zastanowić się nad sobą. Powiedz mi więc, jak mam rozumieć tę wiadomość, która nas przestraszyła — i oświadczyń pana Oporowskiego, i pewną poufałość z tobą, którą w nim nie rad widzę?... Czy i ty zapomniałaś o tem, że ci, którzy od dziecka

czuwali nad twem sercem i głową, mieli prawo wiedzieć o wszystkim, co się w tobie budzi i rozwija?

— Dziaduniu! — odezwała się szczerze Helena, patrząc z zarumienieniem, ale śmiało, w oczy starca — ja nie wiem sama jak do tego przyszło! Wszak pisywałam do was często i długo nie tając niczego... Trudno mi było oswoić się z nowym życiem i ludźmi, którzy nas tu otoczyli; tęskniłam szczerze i byłam rada wrócić do was jaknajprędzej — wiedzieliście o tem z moich listów. Ale... od chwili poznania pana Ludomira zaszła we mnie zmiiana jakaś... przestałam rozumieć sama siebie... Choć was, drodzy moi, pragnęłam ujrzeć serdecznie — myśl o powrocie do Junoszówki napełniała mię prawie trwogą... Życie tutejsze i ludzie stali się naraz miłemi, zabawy zaczęły mię nęcić ku sobie... Nie pisałam o tem, nie chcąc was smucić i nie wiedząc sama, co się ze mną dzieje. Gdy się pan Ludomir oświadczył.. myślałam, że mi serce z piersi wyskoczy, że oszaleję z radości — bo o tem nie marzyłam nawet! Wtenczas dopiero poznałam, co to znaczy...

— Pokochałaś go, biedna dziewczyno!

— Kocham go! — zawołała, kryjąc twarz na piersi starca — kocham i jestem szczęśliwa!... bardzo szczęśliwa!

— Wierzę ci — rzekł Ordega — rozkoszne to są chwile, kiedy serce otwiera się, jak kwiat, na przyjęcie pierwszej miłości. Ale uczucie to, co się rodzi nieświadomie prawie i nieraz podstępnie, jak złodziej, wkrada się do serca, najczęściej tylko pustkę i zniszczenie w sercu tem zostawia — jeśli wolę naszą poddamy mu całkowicie i rozumowi zamkniemy usta. Znasz że ty, dziecko moje, człowieka którego pokochałaś?

— On prawy! on szlachetny! — odparła Helena z zapalem — jego uczucia i przekonania są takie, że poznawszy je, pokochasz go dziaduniu! Ma wielu nieprzyjaciół, którzy go czernią; może i do was doszły już jakie złe wieści... ale to fałsz... ja mu wierzę! On nie zdolny popełnić najłżejszego kłamstwa!...

— Nie znam go, Halko moja, lecz postaram się poznać i jeżeli tak jest, jak mówisz — szczęśliwi będziemy, żeś pokochała i pozyskała miłość uczciwego i dobrego człowieka. Ale i w takim razie czeka was obojga próba, którą wytrzymać trzeba. Za moich czasów, od oświadczyn do ślubu często długie przechodziły lata, jeśli wymagała tego potrzeba albo wola rodziców. Od was ofiary takiej domagać się będzie sumienie i święty obowiązek wdzięczności. Jeśli uczucie jest prawdziwe i głębokie — przetrwa tę próbę i wyjdzie z niej zwycięsko, silniejsze

i uświęcone poczuciem spełnionego obowiązku; jeśli ostygnie i rozwieje się — lepiej by się to stało wcześniej! Nie masz większego na ziemi nieszczęścia nad niedobrane stadło.

Z tego tematu zaczęta rozmowa przeszła z kolei na Junoszkówkę, na smutne życie, jakie tam pędzono i tęsknotę, która widocznie dolegała Junoszom. Wróciła Wanda, dziewczęta znów usiadły po obu stronach starca, i gawędzono długo a poufnie o wszystkim.

Dopiero nadejście Korczaka, którego Ordega chciał poznać jaknajprędzej, zgromadziło towarzystwo całe w salonie. Przyszedł i Edward a po nim Oporowski, nadeszło i parę osób obcych; wieczór upłynął zwykłym trybem na rozmowie, muzyce i śpiewie. Tylko Oporowski, zamiast romansów francuzkich, śpiewał dziś wyłącznie Moniuszkę — i na widoczną intencją gościa z pustyni — rozmawiano ciągle po polsku.

Około północy dopiero goście się rozeszli i obaj Ordegowie, milczący i zadumani, udali się do mieszkania doktora.

— Wolałbym — odezwał się stary — by dziewczęta nasze nigdy Warszawy nie poznały...

— Jakże się ojcu wydali ci panowie?

— Nie podoba mi się ani jeden, ani drugi. Nigdybym nie był dawniej przypuścił, że Wanda

pokochać będzie mogła człowieka takiego, jak Korczak...

— Ona go nie kocha...

— To tem gorzej! Wierz mi, gdyby nam dano żyć dwa razy tyle, co żyjemy — jeszczeby życie robiło nam niespodzianki. Przedemną stoi teraz zagadka: czyśmy się ze Stanisławem nie omylili, chowając dziewczęta jego w takiej głuszy... Bodaj czy ze światem nie powinniśmy postępować jak z ospą, którą wcześniej w żyły dziecka wszczepiacie, by mniej niebezpieczną była w przyszłości.

X

Wyjazd Fredzia zagranicę zaniepokoił całą jego rodzinę.

Dopóki robił wycieczki podobne dla samej rozrywki, ubolewano tylko trochę nad wielkimi wydatkami, jakie to pociągnąć musi, ale zresztą nikt mu tego za złe nie brał.

Gdy nazwisko Fredzia głośno brzmiało wśród złotej młodzieży, a jego wybryki znane były całemu miastu — matka jego, pani generałowa, zżymała się wprawdzie na to, ale ani ona, ani nikt z rodziny nie uważali tego za jakieś dla siebie nieszczęście. Młodzieniec w tem nieporządnem życiu trwonił czas, pieniądze i zdrowie, co wszystko razem korzystniej mogłoby być użytem. Widziano w tem zwykle *szumienie* młodzieńcze, którego końcem miało być bogate małżeństwo.

Ale terazniejszy wyjazd Fredzia spowodowany był odmiennymi od dawnych okolicznościami.

Chłopak, jak wiemy, zakochał się w Helenie Junoszance, po wzięciu od niej harbuza, i ta pierwsza w życiu miłość tak nań zbawiennie wpłynęła, że obrzydził sobie dotychczasowe towarzystwo, bezmyślne hulanki i puścił się w świat, szukać w nim jakiegoś sposobu odrodzenia się, choćby nim być miała przedwcześnie zarzucona nauka.

Znam matki i rodziny, które cieszyłyby się zmianą podobną — i miałyby słuszość; ludzie patrzą na życie przez najrozmaitsze szkła. To, którem posługiwano się w rodzinie złotego młodzieńca, przedstawiało rzeczy w tak opaczny sposób, że właśnie owa miłość nieszczęśliwa ale piękna i ów zamiar szlachetny Fredzia, wyglądał jak coś przerażającego.

Matka, tłumacząc sobie to wszystko rozpaczą, truchlała na myśl o obłąkanym synu; gdy zaś Fredzio w liście pisany z Wiednia wspominał ze szczerą tęsknotą o Helenie, dodając, że z przykrością wielką myśli o jej małżeństwie z Oporowskim — cała rodzina została zaalarmowana, a pani Ernestynie powierzono wielką misję odprawienia z kwitkiem Oporowskiego i zdobycia serca Heleny dla Fredzia.

Pani Emilowa nie mogła, ani nawet nie chciała opierać się woli rodziny swojej. Mąż jej panu Ludomirowi był niechętny, jak już o tem wiemy,

czując, że sprawa posagu będzie tu na pierwszym miejscu. Ona sama sprzyjała Oporowskiemu, jako krewnemu Korczaka i człowiekowi, który należał do ozdób jej salonu, ale zresztą był on dlań obojętnym.

Dziś, gdy stało się widocznem, że stary Ordega na konkurenta patrzy krzywo, a z drugiej strony domagano się tak energicznie usunięcia go bądźco bądź — pani Ernestyna stanęła łatwo po stronie przeciwników pana Ludomira, a z nią razem rozpoczęli kampanią przeciw niemu: ciocia generałowa, złośliwa panna Hortensya, pan Emil, a nawet Wanda, która się przekonała z kilku niedyskrecyj swego narzeczonego, że mu niewiele zależy na udaniu się planów kuzynka, dla którego był dość obojętny.

Od chwili tedy skojarzenia się tej ligi rodzinnej, co dzień prawie słyszała Helena rady, namowy i przymówki, zwrócone przeciw Oporowskiemu.

— Widzę to wybornie, — mówiła raz pani Ernestyna — że pan Ludomir mocno się panu Orzędze niepodoba. Przyznam ci się Halko, że to mi daje wiele do myślenia. Twój dziadunio, jak go nazywasz, zna świat i ludzi dobrze, jego instynktom i wytrawnemu oku trzeba wierzyć. Co do mnie — nigdy nie miałam wysokiego wyobrażenia o tym konkurencie — i lękam się o twoje

szczęście. Namysł się, Halko moja, bo widzisz, poznałaś go u nas... miałabym na sumieniu...

— Niech wujenka będzie spokojną! — odrzekła Helena — wszakże do ślubu a nawet do zaręczyn naszych daleko i, jeżeli do tego przyjdzie, to chyba w Junoszówce dopiero. Zresztą, wyście mnie nie namawiali i ja, przyjmując oświadczyzny pana Ludomira, nikogo się o to nie pytałam. Cokolwiek więc będzie — za następstwa ja sama tylko odpowiem.

Innego dnia, po wyjściu Oporowskiego, odezwał się pan Emil.

— Wiecie moje panie, że Ludomir chybił swego powołania. On powinien być aktorem. Postawę ma sceniczną, oko duże, głos dźwięczny i silny — a komedyant z niego znakomity! Mógłby występować zarazem w operze i w dramacie z powodzeniem... Muszę mu tę myśl podsunąć... Ale — co ja mówię! zapomniałem, kochana Halko, że tu jesteś także, ty, co go traktujesz na seryo... Przepraszam cię.

— Myślałam dotąd — odrzekła Helena — że i wujaszek traktuje na seryo pana Ludomira, wiedząc, iż on stara się o siostrzenicę nie dla żartu przecie...

— No, widzisz — trudno kogoś we własnym domu lekko traktować, cokolwiek się o nim myśli. Od tego jest przyzwoitość towarzyska,

która się głównie opiera na maskowaniu myśli rzeczywistych i udawaniu tego, co wypada z roli.

— To też wyjaszek kochany tak znakomicie udawać i rolę grać umie, że... lękałabym się, czy pan Ludomir zdołałby pokonać tak zdolnego współzawodnika do laurów scenicznych...

— Patrzcie ją, co to za ostry języczek! — zawołał pan Emil, i zbliżywszy się do siostrzenicy, żartobliwie dotknął jej ucha i pocałował w czoło.

Kiedys znowu przy herbacie, otrzymano zaproszenie na pogrzeb jednej z licznych znajomości państwa Emilowstwa.

Była przytem i panna Hortensya. Gdy karta żałobna z rąk do rąk podawana, przyszła z kolei do niej, złośliwa panna odczytała z ironicznym akcentem te słowa:

„Stroskany mąż zaprasza znajomych i przyjaciół...“ — Jak to czule wygląda! Założę się, że jeszcze grób tej biednej żony trawą nie porośnie, a ów stroskany małżonek znajdzie sobie pociechę, jak naprzykład nasz pan Ludomir. Tak jesteśmy skore do pocieszania podobnie zrozpaczonych, że o ich rozdarte serca jestem zupełnie spokojną...

Helena nie lubiła panny Hortensyi, chętnie by więc odparła jej ostrą przymówkę, ale nie-

stety, cios wymierzony był w najdrażliwszą stronę. Musiała zamilknąć.

— To wszystko dowodzi tylko braku religii — dodała obecna przy tem generałowa. — Za moich czasów panny bały się libertynów i bezbożników — a dziś, oni im się podobają. Rozedrzeć serce uczciwemu młodziencowi, a potem rozkochać się w pierwszym lepszym komedyancie — to u nas łatwo! Straszne czasy! straszne czasy!

Korzystający w ten sposób z każdej chwili sposobnej, członkowie nowopowstałej ligi nie domyslali się nawet, jaką robią przysługę Oporowskiemu. Te wszystkie przymówki i przestrogi, zamiast zniechęcać Helenę dla pana Ludomira, podniecały jej sympatyę dla niego, zdwajały siłę oporu. Wszak ostrzegał ją, że ma nieprzyjaciół wielu, że nie zaniedbają oni i teraz intrygować przeciw niemu; ona zaś zapewniła go, że zabiegi ich będą daremne.

Spostrzegłszy szybko nieprzyjazne przeciwko sobie knowania, Oporowski przybrał stosowną do okoliczności pozę melancholiczną, z którą było mu bardzo do twarzy. Biorąc ją za prawdziwy wyraz zbolalej duszy, nieopatrzne dziecię pustyni Bóg wie jak daleko mogłoby posunąć współczucie dla ukochanego, gdyby nie stary Ordega, który baczące na wszystko mając oko, umiejętnie ostudzał wzmagającą się gorączkę młodego serca.

Lepszy psycholog od pana Emila i jego towarzyszek, wiedział pan Marek, że przeciw konkurentowi, jakkolwiek był on niepożądanym, nie należało występować zbyt ostro, traktował go grzecznie, choć zimno, a gdy Helena mówiła o nim z zapalem — słuchał spokojnie i z tą wyrozumiałością, jaką powinien mieć wiek dojrzały dla uniesień młodości.

Tym sposobem, nie żądając tego bynajmniej, pozyskał znowu dawne dziecięce zaufanie swej wychowanki, która spowiadała mu się dobrowolnie ze swych wrażeń i marzeń.

Mógł w dalszym ciągu ubolewać nad tem stary pedagog, że dziewczę zawdzięczające mu całą prawie istotę swą moralną i umysłową, przy niewinności serca i czystości myśli, tak bardzo bezbronnem było wobec wszelkiego fałszu i podstępu.

Z jego teoryi wynikało, że podobna niewinność i czystość instyktownie ostrzegać powinny przed złem i przed udaniem. Zapomniał wszakże, iż jedno i drugie umie tak zręcznie naśladować prawdę i dobro, tak chytrze opanowywać nieopatrzone serce, że instykt ów milknie i zamiera.

Z całym oddaniem się serdecznem, z egzaltacją dziewiczej duszy, ukochała Helena Oporowskiego, uwierzyła w szlachetność, bezinteresowność, zacność salonowego rozbójnika, któ-

ry, walcząc pięknymi pozorami, wyzyskiwał samolubnie wszystkich i wszystko, dla zadowolenia własnej namiętności i ambicyi.

W długich poufnych rozmowach, jakie mieli z sobą starzec i dziecko, Ordega uzbierał Helenę na rozpoczętą już dla niej walkę życia, budząc wysokie poczucie godności niewieściej i siły woli, której dziewczyna nie była pozbawioną. Tylko, gdy pani Emilowa i jej współnicy, staraniem swoim wywoływali opór i wolę tę przeciwko własnym buntowali zamiarom, Ordega umiał ją skierować szczęśliwiej, ku wytworzeniu samodzielności, opierającej się panu Ludomirowi.

Z początku Helena pod przymusem tylko i niechętnie godziła się z myślą powrotu do Junoszówki, jak się godzi z twardym obowiązkiem lub koniecznością. W skutek łagodnych przedstawień Ordegi, uczuła wkrótce, że inaczej być nie powinno, że nie godziło się rozporządzać swem sercem i ręką bez udziału i zezwolenia opiekunów takich, jakimi byli dla niej Junoszowie.

Zrazu wola człowieka, którego pokochała, była dla niej najwyższem prawem, gdy więc Oporowski domagał się niemal szybkiej decyzji i zazdrościł Korczakowi, że nie kazano mu długo czekać na zaręczyny — Helena marzyła o tem

także, gotowa prawie pójść za przykładem siostry.

Pod wpływem Ordegi przyszło zastanowienie, że pan Ludomir powinien sam uznać obowiązki jej wobec dziadków, i jeśli prawdziwie kocha, nie cofnąć się przed ofiarą, jakiej one wymagały.

Gdy dawniej, zastanawiając się nad stanem swego serca, Helena czuła się gotową na wszystkie dla niego poświęcenia — teraz, kochając go nie mniej niż przedtem, mówiła sobie: powinien i on dla mnie coś poświęcić, jeżeli kocha.

Oporowski z pewnem zdziwieniem patrzył na tę powolną metamorfozę, domysłając się wszakże jej sprawcy.

— Ten stary dziwak bruździ mi — mówił do Korczaka.

— Ha! należało być na to przygotowanym! Ale w czemże się jego niechęć objawia.

— Bałamuci Helenę. Aż do czasu jego przyjazdu wszystko szło dobrze, byłem pewny, że się cała rzecz, pomimo ceregieli ze staruszkami, da załatwić tak prędko, jak twoje małżeństwo z Wandą. Tymczasem teraz, z dniem każdym rosłą trudności, moja Halka nabiera kaprysów, tęskni do dziadków, do ich pustyni, a gdy pro-

testuję, wspomina o próbach miłości i przywiązania! Czy słyszałeś coś podobnego?!

— Owszem — mówił śmiejąc się Korczak — nie tylko słyszałem, ale spotykałem się z tem... w starych romansach. Wiem jednak, że tegoczesne próby łatwiejsze są do wytrzymania, niż dawniej były. Zamiast walczyć ze smokami lub niewiernymi i zażegnawać czary jakich krwiożerczych opiekunów, pojedziesz sobie na tę daleką Ukrainę, umizgniesz się do dwojga starszków, jak to umiesz, najesz się ich klusek i pierogów — i będziesz miał pannę, oraz jej półmilionowy posażek, o który ci głównie chodzi.

— No, zapewne, nie wątpię, że się tak skończy, ale to pielgrzymowanie wcale mi nie na rękę.

— Wierzę, wolałbyś razem z nami odbyć wędrówkę poślubną do Paryża.

— Ani tam! — pośpiesznie rzekł pan Ludomir. — Paryż mi dokuczył.

— Ach! prawda! — zapomniałem, że spędziłeś w nim kawał czasu ze swoją pierwszą małżonką! Ale, *à propos!* ktoś mię atakował za ciebie, że zbyt prędko pocieszyłeś się po jej stracie... Jak to dawno zostałeś osierocony? Żebym na drugi raz umiał się należycie bronić...

— Rok upływa. — odrzekł Oporowski niechętnie — Co to kogo może obchodzić?

— Zapewne — ale masz to szczęście, że się tobą wiele osób interesuje, niekoniecznie z przyjaźni. Rok powiadasz? No, to czegoż chcą! — będę się teraz kłócił z każdym, że zachowałeś wszystkie względy przyzwoitości... zwłaszcza, gdy jakiś czas przecie poczekać jeszcze musisz na drugie słodkie jarzmo małżeństwa.

Korczak sprawy swego kuzyna nie brał bynajmniej do serca, znając jego charakter i opinią, nie mógł zbyt gorąco popierać człowieka, który mało przedstawiał gwarancyi, że go w blizkiej przyszłości nowym wybrykiem jakim nie skompromituje.

Należący do ludzi posługujących się chętnie półśrodkami, hrabia czynił zadość swemu sumieniu już tem samem, że do małżeńskich zamiarów Ludomira nie mieszał się wcale. Natomiast własne interesa umiał tak zręcznie poprowadzić, że termin ślubu oznaczono już stanowczo po Przewodniej niedzieli.

Po ślubie mieli państwo Korczakowie wyjechać zaraz za granicę, Ordega zaś z Heleną do Junoszkówki, dokąd wkrótce przybyć postanowił Oporowski.

Zbliżała się Wielkanoc, wyprawa Wandy była niemałym uprzyjemnieniem postu dla pani Ernestyny, która wraz z Hortensyą zajmowała się nią gorąco. O samej narzeczonej nie po-

trzebuję chyba dodawać, że mocno ją cieszyły te wszystkie przygotowania, pochłaniając cały czas wolny od wizyt Korczaka. Ale i Helena żywy w tem brała udział. Babcia Junoszyna nauczyła swe wychowanki wielu robót przeróżnych; korzystała teraz ze swojej umiejętności Helena, by siostrze ofiarować kilka pamiątek własnej pracy. Misterne jej hafty i roboty na kanwie podziwiała nawet panna Hortensya, skąpa zwykle w pochwałach i uchodząca za wyrocznie w kwestyach gustu.

Owe przygotowania przedślubne Wandy smutno jakoś i rzewnie usposabiały Helenę. Przypominała sobie lata dziecinne, wraz z siostrą spędzone w Junoszówce, wspólne zabawy i nauki i wszystkie owe drobiazgi, składające się na jednostajne życie pustyni. A myśl, że te lata, bądźco bądź szczęśliwe, upłynęły bezpowrotnie i Wanda do Junoszówki nie powróci — smutkiem przejmowały serce młodszej siostry. Pomiędzy różnic zachodzących między niemi, dziewczęta kochały się nawzajem, a przywiązanie to we wrażliwej i uczuciowej Helenie z niemałą rozwinęło się siłą.

We wspomnieniach jej teraz stawał często przed okiem wyobraźni Edward Ordega, towarzysząc ich zabaw i spacerów. Wanda posądzała ją nawet dawniej o głębsze, nie siostrzane tylko,

dla niego uczucie. Widzieliśmy, że aż do czasu poznania pana Ludomira, młodziutka jeszcze Helena nie znała miłości, niewątpliwie jednak młody Ordega miał w niej przyjaciółkę szczerą i niezmienną.

Ucieszyła się też serdecznie, gdy pewnego wieczoru pan Marek przyprowadził z sobą syna.

— Czyż to się godzi, panie Edwardzie, tak o nas zapominać? to nie dobrze! nie po przyjacielsku! Gdybyś pan wiedział, ile razy w tych czasach myślałam o nim, przypominając sobie różne sprawy nasze z pobytu w Junoszówce! Ze wspomnieniem o panu wiążą się najmilsze moje pamiątki z naszej kochanej pustyni!

Edward czuł, że mu serce bije silniej na te słowa.

— Myślałem — rzekł — iż pustynia przestała być dla pani kochaną...

— O nie! nie przestanie być nią nigdy! będę zawsze wierną dawnej przyjaźni. Ale o panu nie można tego powiedzieć, od pewnego czasu przychodzisz do nas tak rzadko, jak gość etykietalny, jakbyśmy sobie byli obcymi!

— Są inni, obcy rzeczywiście a nie etykietalni goście; nie chcę im zawadzać — odrzekł z ukrytym żalem Edward.

Helena zarumieniła się.

— Złe to tłumaczenie... pan dobrze wiesz, że prawdziwy przyjaciel nie może być nigdy gościem niewczesnym lub niepożądanym. Zresztą i Wanda chciała się z panem widzieć już dawno; mamy jej družbować... jeżeli nie masz pan nic przeciwko temu... — dodała z filuternym uśmiechem.

Raz przełamawszy lody, rozmowa popłynęła żywo i z obustronnem zajęciem, a gdy się do niej przyłączył pan Marek, a potem i Wanda, zdawało się dziewczętom, że są w Junoszówce, w swoim dawnym kółku rodzinnem.

Nadejście Oporowskiego złudzenie rozwiąło.

Pan Ludomir był dziś markotny jakiś, co nie uszło uwagi Heleny. Przypuszczając, że go nowa przykrość spotkała, zaczęła go śledzić badawczo okiem.

Udało się im nareszcie zbliżyć do siebie.

— Czy ma pan zmartwienie jakie?

— Istotnie — martwi mnie bliskość ślubu panny Wandy i wyjazdu pani...

— Wszakże... mieliśmy się wkrótce zobaczyć?

— Każdy dzień niewidzenia pani będzie dla mnie ciężką próbą, o której smutno mi pomyśleć.

— Może dotąd jeszcze odległość naszej pustyni pana trwoży?

— Kto jak ja — odrzekł dramatycznie pan Ludomir — przeszedł przez wiele zawodów w życiu, aż mu błysło nareszcie światelko szczęścia, ten się trwoży wszystkiego.

Zadumali się oboje.

— Panno Heleno! — odezwał się po chwili — gdyby mi kazano jechać na koniec świata, ruszyłbym bez wahania, wiedząc, że znajdę tam panią... Ale, czy mi nie wolno będzie towarzyszyć państwu w podróży do Junoszkówki?... Nie mam praw narzeczonego — wiem o tem, ale czyżbym nie mógł na ten raz przyswoić sobie praw przyjaciela?...

Helenie serce zabiło na samą myśl o takiej wspólnej podróży.

— Nie mówiłeś pan o tem z dziaduniem — szepnęła.

— Nie jeszcze; gdyby się pani zechciała podjąć pośrednictwa w tym razie, byłbym pewniejszy dobrego skutku.

— Spróbuję!...

Spojrzeniem pełnem wdzięczności gorącej podziękował pan Ludomir, żałując, że obecność kilku osób nie pozwalała mu w tej chwili uścisnąć białej rączki, leżącej na straży serca.

Tegoż wieczora jeszcze Helena przedstawiła prośbę swoją Ordędze.

— Więc nowe ustępstwo z twojej strony?...— z odcieniem łagodnej ironii rzekł starzec. — Jak to trudno panu Ludomirowi cokolwiek dla ciebie poświęcić...

Helena zarumieniała się.

— Sam z nim o tem pomówię — dodał — zostaw to mnie; wszakże jestem adwokatem twoim, Halko, i o nic mi więcej nie idzie, jak o twe szczęście...

— Wiem o tem! — rzekła Helena, schylając się do ręki starca.

On ją objął ramieniem i pocałunek złożył na czole.

XI

W rześście oświetlonym i pełnym eleganc-
kiej publiczności kościele Wizytek, odbył się
ślub Wandy Junoszanki z hr. Korczakiem.

Wszystko było modne i wytworne, tylko pro-
jektowany dawniej a wchodzący w zwyczaj ele-
ganckiego świata wyjazd młodej pary zagranicę,
zaraz po ślubie, nie przyszedł do skutku na usil-
ne żądanie pani Ernestyny. Nie mogła ona
opuścić tak wybornej sposobności zabawienia się
i wymogła na nowożeńcach, że choćby tylko
w zamkniętem kole rodziny i najbliższych znajo-
mych, odbędzie się po staremu ich wesele, z mu-
zyką i tańcami.

To zamknięte koło złożyło się z tylu osób,
że obszerne mieszkanie pana Emila zaledwie je
pomieścić mogło. Pani Ernestyna, posiadająca
prawdziwy dar do organizowania zabaw podob-
nych, wystawnie a z możliwą oszczędnością, wy-
stąpiła tym razem bardzo dyplomatycznie. Mó-

wiono wszystkim, że wesele to wyprawiają siostrzenicy swej wuj i wujenka, jako najbliżsi krewni, z których domu sierota zamąż wyszła; tymczasem nowożeńiec, użyty przez panią Emilową niby do porady przy urządzeniu wesela, zajął się nietylko dostarczeniem cukrów i wina w wielkiej ilości, ale zamówił muzykę, przysłał wóz cały zwierzyny i dziczyzny wszelakiej, całe kosze najwytworniejszych owoców; słowem wesele to, przynoszące honor domowi pana Emila, kosztowało go mniej, niż nie jeden zwyczajny wieczorek karnawałowy.

Bawiono się ochoczo, a obok panny młodej, jaśniała niepospolitą pięknnością Helena, budząc ogólne wrażenie podziwu...

Ponieważ oprócz zwykłych gości państwa Emilowstwa, było dziś dużo osób przybyłych z prowincyi i miast innych, krewnych nowożeńca, piękność ukraińską otoczyło grono młodzieży, niosąc jej hołdy tak gorące, że Oporowski do reszty tracił humor.

Nie dość, że mu nie pozwolono towarzyszyć pannie w podróży jej do Junoszówki — mógł się jeszcze lękać, że po zabawie dzisiejszej znajdzie współzawodników, i kto wie, czy sam tylko powędruje na ową pustynię.

Chcąc być pewniejszym swego, ustąpił namowom Wandy, oraz gospodyni domu, i stanąwszy

w szeregu tańczących, starał się towarzyszyć Helenie jaknajczęściej.

Przekonał się też wkrótce, że obawy jego płonne; dziewczę składane sobie hołdy przyjmowało obojętnie, a dziś z tem żywszą i wyraźniejszą sympatyą patrzyło na niego, że za dwa dni rozstać się z sobą mieli. Mówili więc o Junoszówce, o projektowanym jego przyjeździe; Ludomir pozował na tęsknego kochanka, obejmując dziewczę długim, powłoczystem spojrzeniem, a gdy na ramieniu jego oparta unosiła się Helena po sali w zawrotnym walcu, on szeptał jej do ucha wyrazy pieszczone, od których piękna twarzyczka promieniła się radością i oczy jaśniały szczęściem.

Rozmarzona długotrważącą zabawą, nie mogła zmrużyć oka ani na chwilę, gdy wszyscy udali się wreszcie na spoczynek. Tego dnia wieczorem odjechać mieli Korczakowie, nazajutrz z rana ona z Ordęgą wyjeżdżała do Junoszówki; najsprzeczniesze uczucia budziły się w sercu dziewczęcia, smutek i radość, żal i nadzieja sen odpędzały z jej powiek.

Liczne grono rodziny i przyjaciół zebrało się na dworcu kolei wiedeńskiej, aby pożegnać wyjeżdżających nowożeńców. Byli tu oczywiście i państwo Emilowie i obaj Ordęgowie, Hortensya, Oporowski, wielu mężczyzn i dam. Pomimo

wesołości i pustoty swego usposobienia, młoda pani Korczakowa ze łzami żegnała się z siostrą, a Helena tak się na dobre rozżaliła, że pan Emil, odwożąc ją wraz z żoną w karecie do domu, musiał użyć całego zasobu swego dowcipu, by siostrzenicę rozruszać i rozweselić.

Dla rozweselenia się i zajęcia czemś, udała się jedyna już teraz panna Junoszanka do swego pokoju i zaczęła składać swe rzeczy w kufer podróżny. Gdy jej wypadło w ciągu tego zajęcia przejść parę razy przez pokój bawialny, pan Emil i jego żona, rozmawiający z sobą półgłosem a z widocznem jakimś zakłopotaniem, urywali nagle rozmowę.

Wpadło to w oko Helenie, ale nie zajęło uwagi jej na czas dłuższy. Mogła też przypuszczać, że owo porozumiewanie się małżonków miało związek z jutrzejszą jej podróżą; chodziło może o jakie rachunki z panem Markiem, tem bardziej było to dla niej obojętnem.

Upłynęła tak godzina. Złożywszy rzeczy swe wszystkie, chciała właśnie Helena zawołać służącego, by kufer zamknął i sznurem go obwiązał, gdy we drzwiach pokoju zetknęła się z wchodzącą panią Ernestyną.

Trzymała ona w ręku papier jakiś, a z twarzy poznać było można łatwo, że przybywa z ważną wiadomością.

— Kochana Halko — przemówiła pani Emilowa, siadając na kanapie i wskazując jej miejsce obok siebie — wiesz, żeśmy cię pokochali jak własne dziecko i miło by nam było, gdybyś z domu naszego dobre wywiozła wspomnienie...

— Czyż wujenka może o tem wątpić?

— Nie wątpiłam aż do tej chwili, licząc na twe zacne serduszko. Ale niestety, los chciał obarczyć nas, w wigilję twojego wyjazdu, smutną bardzo powinnością... Mój mąż nie miał odwagi zakomunikować ci sam tak przykrej wiadomości — złożył to na mnie... Halko droga... przed godziną otrzymaliśmy telegram...

— Czy z Junoszkówki może?! — krzyknęła dziewczę zwracając się nagle i blednąc.

— Nie, moje dziecko, uspokój się — telegram z Paryża.

— Z Paryża? — powtórzyła machinalnie, — cóż to mnie może obchodzić? — od kogo?

— Od Fredzia — masz, czytaj...

Helena wzięła do ręki telegram, zaadresowany do pana Emila, pisany po francuzku i zawierający te słowa:

„Śpieszę zawiadomić, że pani Oporowska żyje. Odwiedziłem ją w szpitalu. Sądzę że zapobiegam nieszczęściu. Szczegóły przyślę listownie.“

— Cóż to znaczy? — zapytała Helena, nie rozumiejąc jeszcze nic, pomimo odczytania.— Jaka pani Oporowska?

— Żona pana Ludomira, któregośmy wszyscy mieli za wdowca, bo się za takiego podawał...

— Jakto? on?... nie! to jakieś nieporozumienie! omyłka jakaś! Pan Ludomir nie ma żony!...

— Niestety! — z gorzkim uśmiechem rzekła pani Ernestyna — i myśmy byli tego przekonania. Okazuje się, iż on nas wszystkich zwodził; licząc na to, że chora żona umrze w szpitalu — starał się o twoją rękę.

Helena uśmiechnęła się, jak ten co słucha o rzeczy niemożliwej i nie wątpi o swej słuszności.

— Żona pana Ludomira umarła przed rokiem, wujenko, to być nie może!

— A jednak tak jest, dlatego Fredzio pisze: *sądze, że zapobiegam nieszczęściu*, mając na myśli twoje projektowane małżeństwo.

— A więc to fałsz! — zawołała energicznie Helena — pan Ludomir kłamać nie umie, jest to człowiek uczciwy, a przecież największy łotr nie zwodziłby tak ludzi! Albo to omyłka jakaś dziwna, albo pan Alfred dał się użyć do szkaradnej, niegodnej intrygi!

W tej chwili we drzwiach pokazał się pan Marek Ordęga.

— Dziaduniu! — wykrzyknęła gwałtownie Helena, biegnąc ku niemu — ty nie mogłeś mieć udziału w tej sprawie! Patrz o co jest oskarżony pan Ludomir?

I podała mu papier. Twarz jej płonęła szlachetnem oburzeniem, oczy błyskały gorączkowo a pierś wznosiła się przyspieszonym oddechem.

— Starzec przeczytał telegram, westchnął i rękę bezwładnie opuścił.

— Cóż dziaduniu? — powiedz! powiedz, że to fałsz!

— Chciałbym Halko, ale... nie mogę.

— Jako?! — ty dziaduniu przypuszczasz, że to prawdą być może? Przecież to niesłychane! niemożliwe!

— Niestety! dziecko moje — nie znasz jeszcze świata...

— Nie znam go! — ale czuję, że podobnego czynu dopuścić się może chyba tylko...

Nie dokończyła, zabrakło jej wyrazu, któryby mógł należycie napiętnować taką zbrodnię.

— Ale nie pan Ludomir! — nie! nigdy! — wołała, szybko chodząc po pokoju.

— Któż cię, Halko przekonać potrafi?! — rzekła pani Ernestyna...

— Kto? — on! on sam! — nikt inny, tylko on!

— Ha! zapewne nadejdzie za chwilę...

Ordęga obracał w rękę trzymany papier, jakby wątpił o świadectwie własnych oczu; pani Ernestyna patrzyła bezmyślnie w okno, Helena nie przestawała gorączkowo chodzić po pokoju.

Odgłos dzwonka rozległ się w mieszkaniu.

— To on!... — drżącym głosem odezwała się dziewczyna, blednąc jak płótno, — to on... Muszę rozmówić się z nim sama, w cztery oczy... pozwólcie mi! niech go spotkam w salonie... Czy tam jest kto?

— Nie ma nikogo — rzekł Ordęga.

— Więc dobrze... — pójde! — i wzięwszy fatalny telegram z rąk Ordęgi, udała się do salonu.

Wchodził właśnie Oporowski, piękny i wyświeżony, jak zwykle, a ujrawszy Helenę tylko w pokoju, zbliżył się do niej śpiesznie z najpiękniejszym swym uśmiechem i rękę jej ująwszy, do ust przycisnął.

— Jaką pani dziś zimną ma rączkę — rzekł, zatrzymując ją w dłoni.

Ona usunęła rękę i głosem spokojnym, na jaki się tylko zdobyć mogła, przemówiła:

— Mam pana o coś zapytać, panie Ludomirze.

— Czekaam i słucham! — odrzekł z wytwornym ukłonem.

— Wuj Emil otrzymał przed godziną taki telegram... Co pan o tem powie...

Złośliwy demon jakiś obdarzył dziś pana Ludomira dobrym humorem. Najzupełniej nieprzygotowany do tego, co go czekało, wziął do ręki śmiało telegram, a spojrzawszy nań zadrżał i zbladł. Niespodzianka zaskoczyła go tak nagle, że tych mimowolnych objawów przestachu nie mógł zamaskować niczem...

W piersi Heleny serce zamarło; przestach kochanka powiedział jej więcej, niż jakiegobądź słowa. Człowiek będący ofiarą omyłki albo intrygi nie przeląkłby się w ten sposób — uczuła to i Helena.

Tymczasem Oporowski odzyskał władzę nad sobą.

— Oto nowy dowód, — rzekł gorzko — jakich mam wrogów i jak oni umieją nie cofać się przed niczem, gdy idzie o potępienie moje! Nie pierwszy to raz — i zapewne nie ostatni. Pani mówiłaś mi kiedyś, że takie oszczerstwa nie znajdują u niej wiary... — mówił to pośpiesznie i gwałtownie.

— Tak! — mówiłam — i zadam chętnie fałsz tej wiadomości, jeżeli pan mię zapewni, że to oszczerstwo i kłamstwo. Panie Ludomirze — mówiła z mocą niezwykłą dziewczyna, patrząc mu w oczy śmiało i przenikliwie — nie wierzę ani ludziom, ani temu papierowi, ale pytam pana, jako człowieka uczciwego, szlachetnego, który brzydzi się

kłamstwem, powiedz, czy w telegramie tym jest choć słowo prawdy?

Pan Ludomir umiał być dyplomata. Wobec wiadomości wypisanej czarno na białym, która wkrótce popartą być miała listem szczegółowym Fredzia, głośłowne zaprzeczenie nie na wiele by się przydało. Salwując honor teraz, chwilowo, trzeba było przecie wycofać się z gry niewygodnej i zrzec się Heleny, oraz jej posagu. A zrzekać się nie chciał — uznał więc za najstosowniejsze odwołać się do serca, do prawa łaski.

— Panno Heleno! — rzekł tragicznie — całe życie byłem prawym człowiekiem, raz pierwszy skłamałem, przez miłość dla pani!... Tak jest! żona moja dogorywa, od kilku miesięcy nieprzytomna prawie, trawiona nieszczęsną zazdrością, nieznosząca mego widoku... Odbiegłem od tego łoża boleści, przy którym zeszyły najpiękniejsze lata moje, zgnębiony i smutny śmiertelnie!... Los dał mi poznać panią i uśmiechnął się nadzieją szczęścia... Wiem! powinienem był odepchnąć tę pokusę, ale nie mogłem!

Chciał mówić dalej pan Ludomir, a mówił z przejęciem się i łzami w oczach, ale Helena już go nie słuchała.

Drżąca jak liść, blada, opierając się ręką o stół, upadła na kanapę ze śmiechem i płaczem spazmatycznym, które zrazu ciche, spotężniały

gwałtownie, napelniając salon hysterycznymi jękami.

Wbiegła pani Ernestyna, za nią wszedł Ordęga, zajęto się biednym dziewczęciem, a pan Ludomir pośpieszył wycofać się z salonu, przeświadczony już o zupełnej porażce.

Cała noc przeszła na czuwaniu przy łóżku chorej. Obaj Ordęgowie pozostali w jej pokoju, pani Ernestyna czekała na skinienie Edwarda, by ślać z receptą do apteki lub zarządzać w domu środki odpowiednie; żal jej było trochę Heleny, a chciała też wobec starego Ordęgi oczyścić się z możliwego zarzutu lekkomyślnej opieki.

Starania młodego lekarza odnosiły powoli skutek. Gorączka Heleny osłabła nad ranem, ustały jęki, płacze i nerwowe drgania, wysiłony nadmiernem wyteżeniem organizm opanowywać zaczęła dobroczynna reakcyja, nastąpił sen.

Po południu Edward wpadł do swego mieszkania, w którym zastał już oczekujących nań chorych. Załatwiwszy się z nimi w stale oznaczonych godzinach przyjęcia, wyszedł na miasto.

W tajemnicy przed ojcem i przed wszystkimi, postanowił on skarcić Oporowskiego. Wrzał przeciw niemu całą siłą oburzenia, a ze względu na stosunki z domem Junoszków, czuł się upoważnionym do żądania satysfakcyi od oszusta, za narażenie Heleny na złe języki.

Niedawno właśnie przybyło do Warszawy dwóch jego kolegów uniwersyteckich. Udał się do nich Edward i przedstawivszy rzecz całą, wyprawił ich do pana Ludomira z wyzwaniem. Że zaś to był już wieczór, pośpieszył do chorej, gdzie zaczekać miał na wiadomość o skutku poselstwa.

Niedługo czekał. W hotelu Europejskim, w którym mieszkał Oporowski, powiedziano świadkom, że przed godziną wyjechał on z Warszawy koleją petersburską, nie wiadomo dokąd.

Helena miała się lepiej, lekka gorączka, nadeszła znowu wieczorem, nie groziła przejściem w stan zapalny. Pozostało tylko osłabienie wielkie i silne przygnębienie moralne. Nie odzywała się prawie do nikogo, odpowiadając tylko słabym głosem na zapytania; czasem brała w ręce dłoń pana Marka i kładła ją sobie na czoło, a gdy schylił się nad nią z pieczołowitością ojcowską, uspokajała go uśmiechem bolesnym.

Tak przeszło jednak dni kilka, nim mogła podźwignąć się z łóżka; lecz z chwilą, w której poczuła wracające siły, zaczęła się domagać jaknajprędzszego wyjazdu z Warszawy.

— Poczekajmy jeszcze! — mówił pan Marek — przełękliby się dziadek i babka, ujrzawszy cię tak zmienioną.

— Daleka podróż nie dla pani jeszcze! — przedstawiał gorąco Edward — teraz już z dniem każdym siły się wzmagają, ale trzeba czekać cierpliwie.

— Ach! wy nie wiecie, że mnie samo powietrze Junoszówki, sam widok naszego dworku uzdrowiłby zupełnie.

Miasto, z jego gwarem nieustannym, drażniło ją teraz, a widok miejsca, w którym przeżyła chwilę szczęścia, opłaconą bolesnem rozczarowaniem, był dla niej męczarnią. Siedziała więc w pokoju swoim smutna i milcząca, niechętnie odzywając się do kogobądź, oprócz starego Ordegi.

On też był jej nieodstępnym prawie towarzyszem.

— Nieprawdaż? — spytała go raz — że nie godzi się wierzyć w przepowiednie i wróżby?...

— Oczywiście — odrzekł stary. — Człowiekowi żadnemu nie dana jest wiedza przyszłości.

— A jednak, dziaduniu, na wyjeździe z Junoszówki, cyganka przepowiedziała mi prawdę: nieszczęśliwą miłość i łzy... same łzy...

— Niczyje życie, dziecko moje, nie jest wolne od łez i bólesci, ale przed tobą jeszcze życie całe; przyszłość pozwoli ci zapomnieć o doznanym zawodzie.

— Zapomnieć?... — powtórzyła, z powątpiewaniem wstrząsając głową — czyż można zapomnieć?

— Przeboleć można wszystko.

— Ale nieprawdaż, dziaduniu, że spotkała mnie boleść największa, jakiej serce doznać może?

— Niewątpliwie — jedna z największych; tem więcej okażesz hartu woli i charakteru, jeżeli z próby tej wyjdiesz zwycięzko.

Odtąd nie było już nigdy mowy o tym bolesnym wypadku. Pan Ludomir zginął dla Heleny, jakby istnieć przestał na świecie. Żadne pytanie, wzmianka żadna nie zdradzały, że myśli o nim, samo jednak ostrożne wymijanie wszystkiego, co tylko mogłoby potrącić o przedmiot drażliwy, mówiło, że biedne dziewczę, zamknąwszy ból swój w sercu, czuje go wciąż i o doznanym zawodzie zawsze pamięta.

Z żywemi oznakami sympatyj, żalu i współczucia pożegnali państwo Emilowstwo odjeżdżającą z panem Markiem siostrzenicę, wyrażając nadzieję zobaczenia się z nią wkrótce.

Jak do tego przyjść miało — nikt nie mówił, ale niezwykła serdeczność pani generałowej mogła dać wiele do myślenia.

Od chwili zerwania z Oporowskim, przychodziła ona codzien prawie do domu kuzynów, okazując Helenie, którą nazywała teraz drogiem dzieckiem swoim, czułość prawie macierzyńską.

Mówiła z nią o Fredziu, wspominała o jego dla niej przywiązaniu, domyślała się, że nie zaniedba, po powrocie z zagranicy, wybrać się do Junoszówki.

Było to wszystko bardzo przykrem dla Heleny, która nie mogła zapomnieć o telegramie Fredzia i straciła wiarę w bezinteresowność jego przyjaźni. Jakkolwiek wielką może być zasługa ludzi, ostrzegających nas przed tym, kogośmy kochali i w kim całą ufność pokładali -- nigdy prawie nie zyskują oni naszego serca tak dalece, by na dnie jego nie zostało ani odrobiny żalu do nich i pewnej mimowolnej niechęci.

Z prawdziwą serdecznością żegnała Helena tylko Edwarda Ordeę. Szlachetne, pełne delikatności współczucie, jakie on jej okazał w ostatnich czasach, zapisało się głęboko w sercu dziewczyny. Jego przyjaźń była zawsze serdecznym węzłem, łączącym ją z ową ukochaną pustynią, do której wracała teraz z miłością i tęsknotą, jak rozżalone dziecko do matki.

XII

Upłynął rok od wypadków opisanych. Na pustynię zawitała wiosna.

Dla duszy wrażliwej na uroki natury nie ma chyba piękniejszej, rozkoszniejszej chwili, nad to jej przebudzenie się ze snu zimowego.

Jaka radość wszędzie! jaki ruch i gwar!

Powietrze nie posiada nigdy więcej ożywczej mocy, słońce miłszego blasku, zieloność żywszej barwy.

Wody uwolnione z więzów lodowych pędzą z szumem, wrzeniem i blaskiem; po ogrodach i gajach, wśród drzew na wpół jeszcze rozwiniętych, gwarne radosne świegotanie; wysoko w błękitach przeciągają sznurem żórawie, napęlniając powietrze odgłosem chórów powitalnych. Wiosna! wiosna! zdaje się wołać całe stworzenie, czując rozkoszny powiew nowego życia.

Witano ją też zwykle, jak gościa upragnionego, we dworze państwa Junoszków; przynosiła

z sobą nowe zajęcia w polu i ogrodzie, nową pracę, po długim wypoczynku zimowym.

Dzisiaj widzimy u nich ruch zdwojony, bo to Wielki Tydzień zbliża się ku końcowi, więc do zwykłych zajęć wiosennych przybyły i przygotowania świąteczne.

Ruchliwa, pełna życia staruszka gospodyni oddaje się temu z energią i zamiłowaniem; jej wyborne baby, placki, mazurki, stanowiłyby przysmak znakomity dla najwymyślniejszego podniebienia. Babcia posiada mnóstwo sekretów kuchennych i gospodarskich, zachowywanych w pamięci albo zapisanych na pożółkłych i szerniałych prawie kartkach papieru, do których czasem zagląda.

Patrząc na te obfite zapasy mąki, jaj, masła i korzeni wszelkiego rodzaju, z których staruszka wytwarza swe tradycyjne pieczywo, możnaby ze zdziwieniem zapytać — po co ten zbytek dla kilku mieszkańców dworu? Istotnie, oprócz samego gospodarza, który miał apetyt dobry i jadał dużo, wszyscy zresztą poprzestawali na małe; co się więc robi z tem bogactwem *święconego*, w postaci ciast i mięsiwa?

Otóż, wiedzieć należy, iż zwykłe kółko domowe powiększało w czasie świątecznym dwóch oficjalistów pana Junoszy z żonami i dziećmi; oprócz tego, przez cały ten czas, procesyonal-

nie ciągnęli do dworu z życzeniami gospodarze ze wsi, parobcy, baby i dziewczęta — a wszystkich trzeba było czemś ugościć. Nareszcie i to miało swoje znaczenie, że ciasta wielkanocne przechowywały się aż do Zielonych Świątek, zapasy więc były konieczne.

W pracy około przyrządzenia tego wszystkiego, ciągnącej się zwykle od Wielkiego Czwartku aż do Soboty, żywy brały udział w latach poprzednich Wanda i Helena, które też przy tej sposobności oznajmiały się z sekretami babki. Po smutnych świątach zeszłorocznych, na które żadna z nich z Warszawy przybyć nie mogła, tem milej było teraz starszycie widzieć przy sobie krzątającą się ochoczo Halkę; przypominało to jej szczęśliwsze lata dawne.

W ciemnej sukience wełnianej, przepasana białym fartuszkim, z włosami jak dawniej splecionemi we dwa warkocze, bez żadnych dodatków mody, dziwnie różną była Helena od tej światowej panny, którą obwoływano w Warszawie królową balów; ale też i dawniejszej, dziecinnej jeszcze Halki nie poznać już w niej dzisiaj. Doznane uczucie pierwszej miłości i bolesny zawód, którym je opłacała, nie przeszły bez śladu: został on w spojrzeniu głębszem, bardziej myślącym niż rozmarzonym, w twarzy piękniejszej dziś wyrazem, w układzie poważniejszym

i spokojniejszym. Dziecko dojrzało na kobietę, z pączka rozkwitła róża, majestatycznie piękna. Nie było komu podziwiać jej na pustyni, ale ona nie szukała podziwu ani pochwał, owszem, dziwnie dla niej błogą i ożywczą była cisza i osamotnienie Junoszówki.

Upłynął rok — łatwo to napisać lub powiedzieć — trudniej bywa przeżyć i przeboleć. Ile godzin w roku, ile minut w tych godzinach, tyle czasem łez okrutnych do serca się stoczy, tyle razy ból doznany może dać się uczuć.

Wiemy o tem z doświadczenia, a przecież, gdy powieściopisarz, wtajemniczywszy się w jaką boleść bohaterki lub bohatera, powiada potem, że rok upłynął i rana serdeczna goić się zaczęła — doznajemy niemilego zawodu: co? już? tak prędko?

Oczywiście, są ciosy, które przeboleć trudno, nieszczęścia, o których żywą pamięć zabieramy z sobą do grobu, ale nie pod każdym cierpieniem ugiąć się wolno, a im czyja natura moralna silniejszą jest i żywotniejszą, tem więcej posiada ona siły odpornej, tem pręcej do normalnego życia powraca.

Inna rzecz *zapomnieć*, a inna *przeboleć*.

Nie zapomniało dziecko pustyni bolesnego ciosu, jaki mu świat wymierzył w serce, ale wśród szczęśliwych warunków otoczenia, w at-

mosferze spokoju i miłości rodzinnej — przeboleło.

Przyszło to stopniowo. Trzeba było najpierw uszanować spokój zacnych staruszków i nie zasnuwać ich widokiem ciągłego żalu i łez — Helena musiała więc kryć się za swą boleścią...

Potem, sama moralna potrzeba pracy wprowadziła ją powoli w koło zwyczajnych zajęć domowych, zmuszając do ruchu i pamięci o nawyknieniach i wymaganiach staruszków, a odrywając od myśli dręczących.

Brak wszystkiego, coby mogło drażnić nerwy i rozpalać wyobraźnię, życie zgodne z naturą, wrażenia spokojnie i jednostajne, rozmowy z Ordegą a czasem i lekcye z nim, przenoszące ją w świat szerokich zadań i wielkich nieszczęść, w sferę spraw ogólnych kraju i narodu — wszystko to przyczyniło się do ukojenia i powrotu do normalnego stanu.

Jeżeli system wychowawczy Ordegi nie zabezpieczał od zawodów i złudzeń w życiu — to niewątpliwie dawał możność oparcia się rozpaczy i odzyskania równowagi moralnej, po doznanych klęskach życiowych.

Do równowagi takiej wróciła powoli Helena, i dobrze jej było we dworze dziadków, którzy nawzajem odżyli po jej przyjeździe.

Wieści ze świata przychodziły teraz na pustynię dwiema drogami: od Wandy i od Edwarda.

Trzeba oddać sprawiedliwość Wandzie, że o rodzinie swej nie zaponmiała, a dzielić się z siostrą wrażeniami zbieranemi po szerokim świecie stało się jej potrzebą i przyjemnością zarazem.

Staruszkowie pozbyli się po trosze urazy do starszej wnuczki, a listy jej, przychodzące zwykle co miesiąc lub częściej, długie i szczegółowe, wielką im sprawiały przyjemność.

Kilkotygodniowy pobyt w Paryżu, wyjazd następnie do Włoch, wędrówki po Szwajcaryi i kilku miejscach kąpielowych, których hrabia potrzebował dla siebie, ustawiczna zmiana miejsc i widoków, dawała Wandzie obfity materiał do korespondencji.

Dzięki naukom Ordegi, pisała ona po polsku dobrze, styl miała wyrobiony i poprawny, listy jej mogły się nadawać nawet do druku, jako lekkie i dowcipne *wrażenia z podróży*.

Czego jednak daremnie szukała Helena, to poufnych jakich zwierzeń siostry, któreby mówiły, czy się czuje szczęśliwą? Ją to obchodziło bardziej, niż opisy najciekawszych rzeczy i ludzi; pragnęła przekonać się, że obawy jej co do szczęśliwego losu siostry były płonne, że małżeństwo ziściło nadzieje Wandy. O tem jednak nic nie mówiły listy, jak gdyby Korczak był

nie mężem, ale tylko towarzyszem podróży, zabaw. Wiało od nich pustką i chłodem.

W pół roku po wyjeździe z Warszawy, znalazła Helena w liście siostry wiadomość o Oporowskim. Korczakowie spotkali się z nim w Wiedniu. Żona umarła mu, tym razem już naprawdę, a on miał się żenić z córką jakiegoś bankiera, którą rozkochał i wykradł, będąc pewnym przebaczenia i zezwolenia ojcowskiego.

Przyszła wiadomość i o Fredziu, który studyował agronomią w jednym z zakładów specjalnych niemieckich. Pisała o nim pani Korczakowa z żywą sympatją, zapewniając siostrę, że wart on jest jej pamięci a zasługuje i na współczucie, gdyż kocha ją dotąd, nie robiąc sobie żadnych nadziei.

Helena wieści te przyjęła obojętnie.

Za to listy Edwarda z Warszawy, pisywane do ojca, albo do wszystkich razem, budziły w niej każdym szczegółem swoim żywe zajęcie.

Bo też, w porównaniu z listami Wandy, dziwnie były treściwe i bogate. Jasniał w nich umysł poważny i wykształcony, interesujący się wszystkimi objawami życia, umiejący patrzeć w głąb rzeczy i analizować fakta.

Czuć było — w tem zajęciu się sprawami społecznymi i obyczajowymi — serce gorąco przywiązane do kraju i dbające o jego dobro.

Pociągało to i zjednywało dla sympatycznego korespondenta Helenę. Jego poglądy i przekonania tak były jej blizkie i pokrewne, jego inteligencya przedstawiała się jej tak jasną i spokojną, że w miarę odczytywania tych listów czuła rosnącą w sobie ich potrzebę, jakby znajdowała w nich pokarm dla ducha.

Edward, którego praktyka lekarska rosła ustawicznie, nie obiecywał prędkiego przyjazdu do Junoszkówki, nie spodziewał się go i ojciec, choć może pragnął tego w duszy. Helena, wszakże w każdym liście szukała takiej zapowiedzi, jakby jej co mówiło, że przyjaciel jej, którego towarzystwa była spragnioną, przyjedzie odwiedzić ich, choćby na krótko.

Nadzieja ta rosła w miarę zbliżania się Świąt Wielkanocnych, ale przyszedł list nowy — i rozwiął ją.

Po kilku dniach pracy około pieczenia ciast świątecznych, w sobotę o południu, obie gospodynie, babka i wnuczka, opuściły kuchnię i zajęły się z kolei przygotowywaniem stołu w pokoju bawialnym, jako największym.

Staruszka, krzając się około tego, podniosła jakoś oczy na Halkę i zdało się jej, że jest blada i znużona.

— A widzisz, widzisz moje dziecko — mówiłam, że cię to wszystko zmęczyć może; nie

chciałaś słuchać, i jeszcze, Boże uchwaj, zasłabniesz na święta.

— Nic mi nie jest, babciu kochana! Będę zdrowa, jak zawsze.

— Daj Boże! ale główkę masz gorącą — to nie dobrze! Czy cię nie boli?

— Boli trochę, to od pieca, babciu — zresztą nie chodziłam dziś jeszcze na spacer.

— A prawda! — świeże powietrze! — nie ma jak świeże powietrze na ból głowy... Ot, niech Iwaś założy parę koni do wózczyka i przejedź się sobie w pole; dobrze!

I nie pytając dalej, wydała staruszka odpowiednie rozporządzenie, choć Helena chciała do końca towarzyszyć jej w zajęciach świątecznych.

— Już ja sobie sama poradzę, ty jedź! Przywieziesz nam fiołków, odetchniesz trochę powietrzem, to ci ulży.

Jeżeli dawniej przejażdżka po stepie należała do największych przyjemności Heleny, to teraz była nią tembardziej, że pustynia nowego nabrała uroku, po zetknięciu się ze światem.

Dziś dzień był słoneczny, ciepły, prawdziwie wiosenny, step, jak długi i szeroki, połyskiwał świeżą aksamitną trawą, skowronki unosiły się nad nim, świegocąc radośnie, powietrze zdawało się nektarem upajającym.

Helena jechała, powożąc się sama, owym wózeckiem dwuosobowym, na którym w początku powieści poznaliśmy obie siostry, używające spaceru. Pamięć tych wspólnych z Wandą wycieczek, nasuwała teraz zwykle osamotnionej myśli o niej, potem myśl ta przechodziła nieznacznie na inne przedmioty a kończyła się niejasnym marzeniem o własnej przyszłości.

Dzień dzisiejszy szczególnie, usposabiał do marzeń; Halka znalazłszy się wśród zielonych łąków, wstrzymała konie i z lubością wsłuchiwać się zaczęła w pieśń skowronków, dźwięczącą wśród uroczystej ciszy.

A wiesz, czytelniczko, czym jest ta jednostajna piosenka małej ptaszyny, którą lud nazywa śpiewakiem Matki Boskiej? — jest to wiekuiste zrywanie się serca ludzkiego w przestwory błękitu, nad poziom codziennego życia, pod niebo naszych ideałów, naszych marzeń o szczęściu.

Wśród gwaru i ruchu życia milknie ta nuta serdeczna, jak i świegot skowronka; lecz niech tylko otoczy nas cisza a serce znowu unosi się w górę, znowu donośniej dźwięczy zwykła piosenka o szczęściu.

Wśród burzy, wichrów i ulewy, kryje się drobna ptaszyna w swem gniazdku i czeka... Niech tylko słońce zaświeci, niech grzmoty ucichną, jeszcze krople deszczu nie oschły na trawie

a ona już leci w górę, już znowu śpiewa to samo, wiecznie to samo!

Czyż z nami było inaczej? Czyż nasze uparte, niemożone, wracające ustawicznie marzenia o szczęściu, nie są, — pomimo swej pozornej rozmaitości — zawsze te same, jednostajne w swej treści?

Może ztąd i nasza sympatya do ptaszyny, zakochanej w słońcu i błękitach?...

Helena nie pytając się o to, puściła wodze marzeniom a skowronek nucił rozkosznie do wtóru jej pieśni.

Że w tych marzeniach o przyszłości przesuwiała się przed okiem wyobraźni dziewczęcia postać Edwarda — rzecz to dla nas nowa, bo Helena, kochając go dawniej jak brata, nigdy jednak o nim nie marzyła. Nie było to wszakże i dziś jednym z owych marzeń gorączkowych, płomiennych, o jakie przyprawiał ją Oporowski; na myśl o Edwardzie nie doznawała ona niepokoju, drżenia serca, palących twarz rumieńców, owszem, marzenie to było balsamem łagodnym i kojącym. Edward przedstawiał się teraz Helenie jako człowiek, którego trzeba było czcić i uwielbiać, o którym mogła być pewną, że zostanie zawsze prawym, szlachetnym i godnym zaufania.

Gdy tak, słuchając ptaszyny, pozwoliła Helena świegotać własnemu sercu, dalekie echo zwróciło jej uwagę.

Zrazu nieujęte prawie, niby brzęk komara, wzmagало się i stawało wyraźniejszem co chwila, nareszcie można było i okiem dojrzeć wózek, posuwający się szybko po drodze stepowej, w kierunku Junoszków!

Jakby na hasło, serce Heleny zaczęło bić żywiej.

Wpierw jeszcze, nim poznać mogła podróżnego, ono odgadło kto przybywa.

A ktoby widział powitanie owe dwojga młodych przyjaciół wśród stepu, w promieniach wiosennego słońca, ktoby poznał na twarzach zarumienionych wrażeniem obustronnej niespodzianki — powiedziałyby sobie: tak witać się mogą tylko pokrewne dusze, tęskniące do siebie nawzajem i wspólnym związane uczuciem.

Po pierwszej chwili spotkania, która wywołała na jaw uczucia młodej pary, Helena zaprosiła do swego wózka Edwarda i powrócili razem, gawędząc wesoło i przyjaźnie, jak dawniej bywało.

Junosza z panem Markiem stali właśnie przed domem, zajęci jakąś rozmową gospodarską, gdy wózek wtoczył się na dziedziniec.

— A to co? — Wszelki duch Pana Boga chwali! Edward!

— I ja chwale! — zawołał Edward, śpiesząc w otwarte dla niego ramiona starców.

— Ale cóż to znowu? Zkądże ty Halko wzięłaś tego królewicza, co? Brygisiu! chodź no! chodź!

Drobnym kroczeniem wybiegła pani Junoszyńska z domu i aż w dłonie klasnęła z podziwu i radości.

— A to niespodzianka! — To zuch nasz doktorek! A bodaj cię Bóg błogosławił!

Radosne okrzyki powitania zmieszały się w jeden chór, od którego ożywił się dworek i jego mieszkańcy. Nastrój ten wesoły, tak odpowiedni i porze roku i nadchodzącej uroczystości, tem większą wszystkim sprawiał rozkosz, że przebyli niemało trosk i niepokojów serdecznych.

Więc kiedy nazajutrz, przy stole święconym, gospodarz zaintonował pieśń starodawną: *Wesoły nam dzień dziś nastał, którego z nas każdy żądał*, słowa te były prawdziwym tłumaczem uczuć całego kółka i jego nadziei, które zdawały się zbliżać ku urzeczywistnieniu.

Czy się urzeczywistniły?

Łatwo się każdy domyśli. Jak zaś do tego przyszło?

Ba! żeby godnie na to pytanie odpowiedzieć, musiałbym rzucić pióro powieściopisarza i skreślić poemat miłości. A grałyby w nim niemalą rolę, obok serc spragnionych szczęścia — i uroki pustyni i pieśni słowicze, i rozmarzająca duszą cisza, i drzew tajemnicze szумы, i marzenia nocy księżycowych... i wszystko słowem, co stanowi poetyczną kanwę starej a wiecznie nowej historii serc młodzińczych.

Historia w tym razie była tem godniejszą poematu, że rachuba żadna nie mieszała się do idealnej harmonii; związek zaś dwóch serc, dwóch intelligencyj i charakterów tem pewniejszą miał przyszłość przed sobą, że wzmocniło go poprzednie doświadczenie, a stworzyła nie gorączka zmysłów i wyobraźni, lecz wspólność uczuć, przywiązań i dążeń.

Był i jeden szkopuł, bo gdzież się bez tego obejdzie.

Edward chciał wrócić do świata, w którym rozwinęła się pomyślnie działalność jego, gdzie widział dla siebie bogate pole do pracy i zasługi. Mieszkańcy pustyni nie chcieli o tem słyszeć, straszną im była wszelka myśl o rozłące.

— Młodzi jesteście! — mówił staruszek Junosza — przed wami jeszcze świat i życie całe; my stoimy u kresu, lata nasze krótkie! Nie skazuj-

cież nas na osamotnienie, dajcie się nacieszyć widokiem waszego szczęścia.

Pan Marek milczał, bo i młodzi i starzy mieli słuszość, a wybór nie był łatwy.

Rozwiązanie tej kwestyi zostawiono przyszłości. A tymczasem zaczęto przygotowania przedślubne.

Państwo Korczakowie tyle razy przyjazd swój zapowiadali, że należało chyba liczyć na ich przybycie przed uroczystością rodzinną.

Przyszła też nakoniec stanowcza zapowiedź blizkich odwiedzin Junoszkówki, ale ją przyjęto z uczuciem pewnego smutku, którego wszyscy doznali, choć nie mówiono o tem głośno. Wanda przybywała sama... mężowi jej zajęcia jakieś nie pozwalały opuścić Warszawy. Z listu hrabiny wiała niezwykła tęsknota do wsi i ciszy, co—wobec upodobań dawnych i usposobienia tej wielbicielki świata i wrzawy — wyglądało na znużenie i rozczarowanie...

— I po co wam śpieszyć do miasta! — mówił Edwardowi Junosza — lekarzem jesteś a widzisz, że nasza pustynia goi serdeczne rany, ni-by jakie źródło lecznicze. Gdzieindziej przy źródłach takich są lekarze — ty bądź naszym... Korzystajcie dzieci ze szczęścia — póki czas!

Gdy tak raz z sobą mówili, nadeszła Helena.

— Chodź-no, chodź Halko, powiedz nam, przypomnij, jak to u Mickiewicza pierwiosnek odpowiada poecie:

Dni nasze jak dni motyla...

Jak to dalej?

Helena bywała zwykle pamięcią dziadka i teraz, nie namyślając się, dokończyła:

Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie...

— Pamiętajcie o tem dzieci! — rzekł starszek — dla was dziś kwiecień, myślcie więc o sobie i swoim szczęściu; jutro przyjdzie samo i nie wołane. Tak, tak, święta to prawda:

Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie!

INSTYTUT
BADAN ICHNIOLOGICZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-240 Warszawa
Tel. 26-88-63, 26-52-31 w. 42



F
1025